



Znaki szczę goline

Pierwsza autobiografia pokolenia urodzonych
około 1980 roku – dzieci polskiej transformacji



PAULINA WILK

Znaki szczerze gólnie

PAULINA WILK

Wydawnictwo Literackie

Spis treści

Karta redakcyjna

1. Ekspres Moskwa–Berlin
2. Przemeblowanie
3. Rzeczy pierwsze
4. Romans europejski
5. Ruchome piaski
6. Uśmiech Gagarina
7. Na drabinie
8. Pożyczone szczęście
9. Szklanka cukru
10. Pobite gary

Opieka redakcyjna: WALDEMAR POPEK

Redakcja: JUSTYNA CHMIELEWSKA

Korekta: ANNA DOBOSZ, ANETA TKACZYK, MAŁGORZATA WÓJCIK

Projekt okładki i stron tytułowych: PRZEMYSŁAW DĘBOWSKI, WOJCIECH KWIECIEŃ-JANIKOWSKI

Redakcja techniczna: BOŻENA KORBUT

Skład i łamanie: Infomarket

Fotografie wykorzystane w książce:

© Kuba Kamiński: torowisko (1), mur odgradzający jednostkę wojskową (4), Dworzec Centralny w Warszawie (5), warszawskie blokowisko (9);

© PAP/CAF/Zbigniew Matuszewski: Warszawa, 1990 (2);

© EASTNEWS/Wojtek Łaski: Pewex, Warszawa, 1986 (3);

© ČTK/PAP/Hořejší Pavel: stacja metra w Pradze, lata osiemdziesiąte XX wieku (6);

© PA/PAP/Yui Mok: wejście do metra w Londynie (7);

© EASTNEWS/IWP: kuchnia, Warszawa, Ursynów, połowa lat osiemdziesiątych (8);

© PAP/Ireneusz Sobieszczuk: wybory do Sejmu i Senatu, Warszawa, 1989 (10).

© Copyright by Paulina Wilk

© Copyright for this edition by Wydawnictwo Literackie, 2014

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-08-05333-1

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.

ul. Długa 1, 31-147 Kraków

tel. (+48 12) 619 27 70

fax. (+48 12) 430 00 96

bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40

e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl

Księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)



1

Ekspres Moskwa–Berlin

Ostatni wagon przeleciał z hukiem. Wybiegliśmy na tory. Złapał nas jeszcze ciągnący się za pociągiem ciepły wiatr, pachniał zrudziałymi podkładami i suchym pyłem. Z tornistrami na plecach i workami na kapturze zwisającymi z nadgarstków łaziliśmy po kamieniach, wypatrując złotówki. Leżała między kamieniami na nasypie. Spłaszczona, lekko wygięta, ale niezupełnie gładka – z widoczną wciąż cyfrą „jeden” i plecionymi listkami wokół. Kładliśmy ją więc znów na szynie i bawiliśmy się, skacząc po podkładach, aż do następnego pociągu. Do chwili, gdy dzwonki na przejeździe zaczynały hałasować, a ich czerwone ślepia mrugały niewyraźnie, tylko trochę rozjaśniając pokryte kolejowym brudem reflektory. Wiedzieliśmy, że mamy dość czasu – pociąg dopiero wyłonił się zza zakrętu kilka kilometrów dalej. Powoli odchodziliśmy w krzaki, jedynie chudy Piotrek zostawał do ostatniej chwili. Przykładał ucho do szyn i słuchał narastającego syczenia. Śmiał się szczerbatą opaloną buzią i wreszcie biegł do nas. Patrzyliśmy, jak pierwsze koła uderzają w monetę, i po wszystkim każdy przysięgał, że widział dokładnie, jak mignęła, wylatując w górę, w bok, na prawo, na skos.

Niewiele dla nas znaczyła – coraz cieńsza, coraz gładsza złotówka, leciutka, zrobiona z aluminium. Jakby właśnie tyle była warta: chwilę zabawy po szkole, w pół drogi na osiedle. Złotówkę pod pociąg mógł dać każdy, choćby Piotrek, który trzeci rok nosił ten sam sweter, z dawno za krótkimi rękawami. Złotówkę wysupłałby ze swoich cuchnących dresów nawet Benek – dobroduszny facecik odgrywający rolę lokalnego pośmiewiska. Mieszkał niedaleko plebanii, mówił z trudem, ale uwielbiał liczyć. W każdą niedzielę dyżurował przed kościołem, niczym drogowskaz, i przeliczał wiernych przychodzących na mszę. W tygodniu stawał przy przejeździe i czekał na pociągi. Liczył im wagony, mamrocząc pod nosem, albo patrzył tylko, z uniesionym podbródkiem, gospodarską powagą i powykrzywianymi rękoma założonymi z tyłu, na plecach. Jakby to właśnie dzięki temu jego dogłądaniu pociągi przyjeżdżały na czas, nie zbaczając z toru i nie gubiąc żadnego z wagonów. Potem stał jeszcze chwilę, odwracał się, ciągnąc ciężko nogę, i odchodził, kuśtykając.

A my, gdy już się dość z niego naśmialiśmy, mówiliśmy „do widzenia!” i szukaliśmy swojej złotówki, tak lekkiej, że upuszczona na chodnik nie wydawała nawet brzdęku.

Najlepiej miażdżył monety ekspres Moskwa–Berlin, który przejeżdżał po trzeciej po południu. To był w ogóle najlepszy pociąg, najważniejszy. Mijał nas najszybciej i najbardziej obojętnie, z taką gwałtownością i powagą, że odsuwaliśmy się od torów dalej niż zwykle. Śledziliśmy wagony, wypatrując sypialnych i kuszetek opisanych w obcych językach. Na tym ekspresie najlepiej też było wróżyć. Zaczynaliśmy od lokomotywy: „szczęście, nieszczęście, paczka, list...”. Jeśli słowo „nieszczęście” padło na ostatni wagon, robiło się nieswojo. Każda inna możliwość była zadowalająca: szczęście, paczka i list. Wszystkie fantastyczne i równie nieosiągalne dla kilkuletniego dziecka.

Mówiliśmy: „O, jedzie Moskwa–Berlin!”, bez względu na to, w którą stronę pędził – na wschód czy na zachód. Wtedy, w połowie lat osiemdziesiątych, punkt ciężkości naszego świata leżał jeszcze w Związku Radzieckim, więc to jemu dawaliśmy pierwszeństwo. Zresztą na wschód jeździł zwykle szybciej, jakby miał tam coś pilnego do załatwienia. A wracał wolniej, gdy już wszystko się zdarzyło i chciał tylko dotelepać się do Warszawy, przystanąć i odetchnąć. Machaliśmy pasażerom stojącym w korytarzach, jak się macha jakimś wielkim, ważnym sprawom. Nie marzyliśmy o dalekich podróżach. Jeszcze nie. Na razie

mieliśmy inne granice do przekroczenia. Te najważniejsze, codzienne – tory oraz szosę.

Z jednej strony byliśmy my – dzieci z rodzin wojskowych, mieszkające w blokach za okalającym osiedle murem i nieistniejącym od dawna, ale żywym w pamięci biurem przepustek. Z drugiej – oni, cywile. W domach jednorodzinnych, z ogródkami i psami w budach, prywatnymi warsztatami, pokojami na piętrze i własnymi piecami. Rozdzielały nas tory, a także szosa z kierunkowskazami na Warszawę i Terespol. Oni nazywali nas „poligonem”, my mówiliśmy o nich: „za torami”. My mieliśmy za plecami potężną jednostkę wojskową, koszary, park wozów bojowych i leśny poligon. Oni – gęstniejącą sieć dróg biegnących ku wielkiemu miastu.

To my mieszkaliśmy po „złej” stronie torów, na fundamentach carskich koszar, a naszą militarno-polityczną obecność reszta miasteczka znosiła w niechętnym milczeniu od blisko pół wieku. Czasem w głosie którejś nauczycielki albo mamy kolegi dało się słyszeć ton wyższości, pretensji, może nawet odrazy, ale na co dzień nie odczuwaliśmy różnic, bo łączyło nas akurat tyle, ile obu stronom było potrzebne.

U nas był dobrze zaopatrzonej sklep, ze świeżym pieczywem z wojskowej piekarni i regularnymi dostawami mięsa, po które przychodzili ludzie zza torów. Ale po warzywa szło się do nich – do sklepu Brudnej Cześki, gdzie wypacykowane ekspedientki, podobne do siebie jak rodzone siostry, obsługiwały klientów migiem, ładując ziemniaki i ogórki brudnymi dłońmi o pomalowanych jaskrawo paznokciach. Podobno doliczały tu i tam po kilka gramów na swoją korzyść, ale długo nie miały konkurencji, szczególnie gdy chodziło o przedświąteczne pomarańcze.

Rywalki nie miała też nasza sala kinowo-widowiskowa w klubie garnizonowym, pachnącym lakierowanym parkietem i świeżo mieloną kawą. Ludzie z miasteczka schodzili się na *Kopalnie króla Salomona*, *Krokodyla Dundee*, *Wejście smoka*, recitale Krystyny Prońko, Krzysztofa Krawczyka czy Alicji Majewskiej i siadali w rozkładanych czerwonych fotelach. Najwyższe rzędy zajmowali zwykle poborowi, w nieświeżych mundurach moro, ryczący radośnie przy byle okazji.

Kino radziło sobie nieźle, dając po dwa seanse w weekend, od *Przeminęło z wiatrem* po *Przesłuchanie*. Padło dopiero wraz z głębokimi przeobrażeniami, pod naporem wielkomiejskiej konkurencji.

Przychodnie mieliśmy osobne – jedną w jednostce, drugą za torami – ale pediatrę wspólnego. Doktor Stawski i jego śliczna płaska pieczętka, którą chował w srebrnym pudełeczku, wędrowali regularnie w tę i z powrotem, dyżurując po obu stronach rzeczywistości. Z ostemplowanymi receptami chodziłyśmy z mamą jednak daleko za tory, aż pod szkołę, gdzie na ulicy Aptecznej stała jedyna w okolicy apteka. Pachniała mieszanką strachu i ulgi, rozbrzmiewała stukotem drewniaków na posadzce i hukiem szuflad wypełnionych lekarstwami w brzydkich, złowrogich opakowaniach. W drodze powrotnej dostawałam na pocieszenie małą torebkę z vibovitem i sumiennie wylizywałam żółty, słodko-szczypiący proszek.

To na naszym osiedlu działała największa sezonowa atrakcja – odkryty basen. Przychodziły do niego tłumy. Był zbiornik główny, z wieżą i trampoliną do skoków, wypełniony ciemnozieloną i lodowatą wodą, oraz położony na skarpie brodzik dla dzieci, gęsto pokryty spadającymi z drzew brzoźowymi listkami. Wylegiwaliśmy się tam w weekendy całymi rodzinami, na wypalanej słońcem trawie. Staliśmy w kolejkach do rozgrzanych upałem drewnianych przymierzalni. Zjadaliśmy kanapki, popijaliśmy ciepłym gazowanym ptysiem o smaku pomarańczowym i pędziliśmy znów do wody. Najlepsze były niedzielne popołudnia, gdy basen pustoszał, a rodzice schodzili do kawiarni klubu garnizonowego i siadali przy stolikach na tarasie. My, z mokrymi jeszcze włosami, przełaziliśmy przez otwarte okna i wpatrywaliśmy się

w stojące w przeszklonej chłodziarce butelki coca-coli. Piliśmy po troszeczkę, dawkując sobie radość w wąskich literatkach. Napychaliśmy buzie słonymi paluszkami i zalewaliśmy słodkim, gazowanym płynem. Nie było większej pyszności. Ani po naszej, ani po tamtej stronie torów nikt nigdy nie miał w ustach niczego lepszego.

Jeśli nie liczyć lodów gałkowych o smaku śmietankowym, czekoladowym i truskawkowym, po które gnaliśmy wszyscy do cukierni w niedzielę, zaraz po letniej mszy. Kościół i cukiernia mieściły się w tamtej części miasta. Kościół stał na górze. Był prosty, ceglany i nieotynkowany, co nadawało mu ascetyczną powagę. Z początku nie wiedziałam, jak wygląda w środku. Intensywne barwy – pomarańcze i czerwienie wymalowane przez Jerzego Nowosielskiego – smukłe sylwetki apostołów i opiekuńczo rozłożone ramiona smutnej Matki Boskiej zahipnotyzowały mnie nieco później, gdy już było wolno. Zostałam ochrzczona w dalekim mieście, a do późnych lat osiemdziesiątych na msze jeździliśmy często do innej miejscowości, żeby oszczędzić tacie nieprzyjemności w sztabie.

Latem pędziliśmy z bratem spod dzwonnicy długą ulicą aż pod cukiernię i zasapani zajmowaliśmy miejsce w kolejce. Rodzice dołączali spokojnym krokiem, niosąc termos. Pełen lodów i kategorycznie przez mamę zakrecony stał potem na kuchennym parapecie, nietykalny aż do popołudnia, gdy niewielkie porcje lądowały w blad różowych pucharkach, obsypane wiórkami kokosowymi. Czemu zawsze tak się po te lody spieszyliśmy? Chyba z obawy, że dla nas nie wystarczy. Że zabraknie.

Świadomość braku, poczucie, że nie wszystko i nie zawsze można mieć – to było wspólne, naturalne. Podobnie jak czekanie, znane wszystkim bez wyjątku. Krążyliśmy z koleżankami na rowerach wokół sklepu spożywczego przez kilka dni, jak komitet powitalny. Bo miały przyjechać arbuzy – dawno niewidziani przyjaciele z dalekiego bułgarskiego miasta. Czekaliśmy, choć żadna nie miała pieniędzy. Może zamierzałyśmy zaalarmować rodziców. A może robiłyśmy to dla samego czekania. Dla radości, że już jest – coś, co przychodzi rzadko. Jak te chińskie sukienki z postaciami haftowanymi kolorowymi nićmi – wszystkie miałyśmy identyczne, z jednego sklepu i jednej dostawy. Stroiliśmy się w nie z jednakową dumą, a łydki opinałyśmy identycznymi podkolanówkami z małą, robioną na szydełku falbanką. Nie przeszkadzało nam, że jesteśmy tak samo ubrane. Razem świętowałyśmy niespodziewaną przyjemność, tak jak siłą dziecięcej wspólnoty nie cierpiałyśmy grubych wełnianych rajstop w prążki oraz kapci z gumową podeszwą, noszonych mimo dawno wytartej na palcu dziury. Razem tuliłyśmy brązowe maskotki Pankracego z wszytą w plusz pozytywką i razem przełykałyśmy w przedszkolnej stołówce obowiązkowe płatki owsiane na mleku. Wspólnie też zazdrościłyśmy Michałowi kolorowych getrów z utwardzaną podeszwą. Nikt inny takich nie miał ani wcześniej nie widział. Spoglądałyśmy na tę wełnianą niesamowitość ze zdumieniem, jakby ktoś właśnie powiadomił nas o istnieniu innych planet. Drzwi świata bajecznych wzorów i możliwości uchylały się rzadko, przypominając, że wszystkiego mamy mało, tylko marzeń – nieskończenie wiele.

Getry Michała były jednak wyjątkiem i nie mogły zachwiać naszym podwórkowym ładem, mierzonym realnymi, tutejszymi zdobyczami. Wszyscy mieliśmy mniej więcej to samo i w podobnych ilościach, a bardziej niż niezwykłe zdarzenia liczyło się, kto dobrze gra w nogę albo układa najładniejsze kwiatowe ołtarzyki pod kawałkiem szkła. Konkurencja była ważna, o ile dotyczyła lokalnych zasobów: wyszlifowanych o asfalt kapsli z zatopionymi w nich flagami różnych krajów, sanek z porządnymi metalowymi płozami zamiast drewnianych, roweru ze szprychami oplecionymi kolorową włóczką. Żelki z lukrecją, które Karola wynosiła z trzeciego piętra na podwórko, gdy jej tata wracał z koncertów w Japonii czy Kanadzie, robiły piorunujące, ale tylko chwilowe wrażenie. Były smakiem niezrozumiałym i obcym, dla którego nie porzucilibyśmy kogla-mogła kręconego przez mamę. Mieliśmy wtedy własny

ranking cudów i najwyżej stały w nim wedlowski torcik oraz śliwki w czekoladzie. O swoich pragnieniach wiedzieliśmy niewiele, ale już w nas rosły. Bo gdy bawiliśmy się w międzynarodowe wyścigi, każdy chciał być Stanami Zjednoczonymi, a Polską – nikt.

Naszą ukochaną dobranocką był *Zaczarowany ołówek*, kreskówka, której bohater – pogodny chłopak z blond czupryną – posiadał cudowne narzędzie. Cokolwiek narysował swym ołówkiem, stawało się prawdziwe. Szybko nakreślone linie wypełniały się kolorami i ożywały, usuwając trudności, ułatwiając przygody i zaspokajając każdą potrzebę. Chłopak nigdy jednak nie rysował kapryśnie ani łapczywie. Jego pomysły brały się z realnych problemów, nie zachcianek. Ołówek był antidotum na brak, nie różdżką chciwości. A to, co chłopiec rysował, dowodziło jego błyskotliwości – rozwiązywało kłopoty i przynosiło korzyść innym. Wkrótce wszyscy mieliśmy się znaleźć w świecie flamastrów w odbłaskowych kolorach, świecących temperówek i różowych piórników, które wystawią na próbę nasze przyjaźnie i sprawią, że zaczniemy biec po więcej.

Na razie jednak mamy dużo wolnego czasu zapełnianego skromnym, ale wystarczającym repertuarem. Są boiska i place zabaw, drzewa pozwalające na siebie włączyć, ogródki działkowe z porzeczkami, agrestem i podkradanymi dla przygody winogronami. Jest stacja kolejowa, na którą chodzi się przywitać wracającą z pracy mamę, i ogrodzenie jednostki, pełne sekretnych przejść, którymi można przekradać się do królestwa zakazanych zabaw. Są okopy i amfiteatr, trawiaste boisko i drewniana „chatka Baby Jagi”, oblepiona dzieciakami od rana do wieczora. Są trzepaki i śmietniki – w sam raz do gry w podchody i ślepego dziada. Dwa kanały telewizji, ściśle wyznaczające rytm naszych sobotnio-niedzielných poranków i codziennych zabaw przed blokiem. Z okna wychyla się najpierw jedna mama, oznajmiając *Wieczorynkę*, a potem jeszcze kilka głów tym samym hasłem przywołuje opornych.

Na razie jeździmy rowerami odziedziczonymi po starszym rodzeństwie – jubilatami i wigrami, urządzamy wyścigi spod garaży do basenu i z powrotem. W letnie popołudnia gramy w gumę kupioną za grosze w pasmanterii. I czekamy, aż wojsko w czynie społecznym przywiezie nam świeży żółty piach do piaskownicy, a żołnierze pozwolą wdrapać się na pakę ciemnozielonego stara.

Na razie stoimy ramię w ramię, upozowani do świątecznej fotografii. Ja mam na sobie strój krakowianki i niezadowoloną minę, bo liczyłam na coś więcej niż wyszywana cekinami kamizelka, biała bluzka z wstążką pod szyją i chudy wianuszek z kolorowymi tasiemkami. Agata ma różową pelerynkę księżniczki i srebrną różdżkę owiniętą folią aluminiową. Ania czerwony kapelusz w białe kropki, bo przebrała się za muchomora. Chudego Piotrka prawie nie widać spod czarnego płaszcza, kartonowego kapelusza z dużym rondem i papierowych okularów na gumce – tylko szczerbaty uśmiech demaskuje prawdziwą tożsamość Zorro. Mariusz też się śmieje, jak na pajacyka przystało, choć sięga już ręką do kolorowej szlafmicy, która zsuwa mu się na oczy i łaskocze w brwi. Znam to uczucie, przed rokiem miałam na sobie ten sam kombinezon i szlafmycę w kolorowe romby. Stroje na bal przebierańców, tak jak swetry i cyrkle, dostawaliśmy po kimś i przekazywaliśmy dalej.

Zaraz pójdziemy tańczyć i siadać na kolana Mikołajowi z wacianą brodą. Dostaniemy takie same świąteczne paczki: z delicjami szampańskimi, wafelkiem Prince Polo, czekoladą mleczną i mandarynkami. Będziemy je studiować i porównywać, potwierdzając świąteczną sprawiedliwość. Jedni od razu rozerwą szeleszczącą folię, inni – po obejrzeniu zawartości – zawiążą znów wstążkę i niemal nietknięty skarb powierzą mamie. Będziemy zjadać zawartość powoli, przez kilka tygodni, ostrożnie wydzielając sobie kawałki czekolady i delicje.

Na razie nie różni nas nic istotnego. Nic, co byśmy zauważali i czuli.

Do szkoły przychodziliśmy z obu stron miasteczka – i my, i nauczyciele. Żony wojskowych, które przyjeżdżały za mężami z drugiego końca kraju i nie znalazły zatrudnienia w administracji albo kasynie, kończyły przyspieszone kursy pedagogiczne. Panie od biologii, matematyki i wuefu przechodziły przez szosę i tory, a potem siadały za biurkiem, już nie jako przyszywane ciocie z klatki obok, tylko jakieś obce postaci, które miały nad nami władzę.

Z dzieciakami zza torów szybko się zaprzyjaźnialiśmy, bo mieliśmy te same zabawy i zmartwienia. Pojedynki na wkopanych w ziemię oponach, dotykanie kościotrupa w sali od biologii, budowanie domów z liści na leśnej polanie. Łączył nas wspólny strach przed panią od muzyki, która kazała krzyżować ręce za oparciem krzesła („Prostujcie plecy!”) i karała boleśnie, jeśli na opuszkach palców znalazła odcisnięte ślady dziurek fletu prostego („Nie ściskać instrumentu!”). Zaliczaliśmy obowiązkowe fikołki na śmierzących materacach, równo pod gwizdek srogiego nauczyciela. Kanapki jedliśmy z tego samego chleba i jabłka takie same. A gdy ktoś przyniósł banana, to pani prosiła, żeby zjadł dyskretnie albo się podzielił i nie robił innym przykrości. Na urodziny rozdawaliśmy kolegom z klasy cukierki – raczki albo kukułki – a oni śpiewali *Sto lat*.

W Dniu Milicjanta szliśmy całą klasą do budynku komendy i oglądaliśmy cele z legowiskami zbitymi z desek pomalowanych pomarańczową farbą. Na Barbórkę starannie skręcaliśmy z krepiny kolorowe kwiaty i robiliśmy górnicze czapki z brystolu malowanego czarną farbą. Mamy głowiły się, skąd wziąć krepinę, a nasze prace stały później na szkolnych regałach i kurzyły się dumnie, bo żadnych kopalni ani górników do obdarowania w okolicy nie było. Byli za to żołnierze, cały pułk. I uroczyste defilady – w maju, na Dzień Zwycięstwa, i w październiku, na Dzień Ludowego Wojska Polskiego. Wmaszerowywaliśmy parami do jednostki, w której ja i koledzy z osiedla czuliśmy się jak gospodarze, więc objaśnialiśmy dzieciakom zza torów, w którym budynku pracuje tata, którędy do czołgów i gdzie huštamy się na linach w małym gaju. Ale i my czuliśmy wyjątkowość chwili, gdy wchodziliśmy przez otwartą bramę, a potem szliśmy dalej, szeroką aleją. Bo na co dzień chodziło się bocznym chodnikiem, przez biuro przepustek, a zamkniętej bramy pilnował wartownik. Jedną z defilad prowadził tata, stałam wtedy przed trybuną honorową. Nie ja to zapamiętałam, ale starszy brat, który mnie wówczas pilnował. Mam jednak inne wspomnienie: naradzamy się z koleżankami, która podbiegnie do którego żołnierza. Trzymamy już goździki w rękach i czekamy tylko na sygnał. A potem ruszamy pędem do wybranego chłopaka w mundurze. Podnoszą nas wysoko i mocno ściskają.

Tak jak na festynach, gdy pewnym chwytem podciągali nas do góry i wsadzali do czołgu. Na czołgi, gaziki i wozy strażackie czekaliśmy wszyscy. Władze miasta i jednostki wspólnie urządzały festyny w naszym amfiteatrze, od rana obstawionym wojskowymi namiotami, które zmieniały się w punkty handlowe. Mama prowadziła kiermasz książki, tata organizował konkursy z nagrodami, brat grał mecz koszykówki o skrzynkę oranżady, zestaw proporczyków i kalkomanie, a ja oglądałam koniki z kotylionami, odbywałam przejażdżki bryczką wokół boiska i wypatrywałam czołgu. Konkurencja była duża, każdy chciał posiedzieć chwilę w środku, z ciężkim i ciepłym hełmofonem na głowie. A potem zobaczyć, jak strażacy leją pianę na udawany pożar.

Na pierwszym klasowym zdjęciu wszyscy jesteśmy do siebie bardzo podobni: uroczyście wyprostowani, w zwykłych szkolnych fartuszkach i tenisówkach. Dziewczyny z wysoko związanymi kucykami, chłopcy potargani. Piotrek krzywi się pod słońce, Marzena wyciąga się dumnie, wysoki Wojtek patrzy w obiektyw wzrokiem przyszłego amanta, a Mateusz kuca chybotliwie, pokazując plamy na kolanach dresowych spodni. On jeden przeprowadził się z naszego osiedla za tory. Wszyscy – my i oni –

uważaliśmy go za swojego, ale pozostał niczyj. Był jedynym znanym mi wówczas indywidualistą, nie szukał oparcia w grupie, choć z wszystkimi się lubił. Jego rodzice: piękna, serdeczna mama i przypominający Indianina długowłosa tata byli wolnymi duchami. Żyli oryginalnie i śmiało, przy okazji manifestując uładowanej okolicy, że można inaczej. Wzięłam od nich kota o imieniu Jespar, nauczonego pić wodę z klozetu.

A z Mateuszem czułam bliskość, bo oboje byliśmy na szarym końcu czterdziestoosobowej listy obecności, na literę „W”.

Jako dzieci z rocznika 1980 dobrze znaliśmy powtarzane przez dorosłych pojęcie wyżu demograficznego. Dla nas oznaczało tyle, że nigdy nie byliśmy sami, bawiliśmy się gęsto, a w ławkach siedzieliśmy ciasno. W piaskownicy trzeba było się zjawić w porę, żeby móc kopać w jednym z czterech rogów, gdzie piasek był zawsze wilgotny, a zamek z fosą najbezpieczniejszy. Jeśli ściana pod blokiem była już zajęta, to zamiast grać w króla, szło się popatrzeć na kort tenisowy. Tam wstęp mieli tylko wybrańcy, ćwiczący pod okiem krępego, umięśnionego trenera z bródką. Boisko do koszykówki zawsze zajmowali starsi chłopcy, więc my grałyśmy obok, w dwa ognie – niepoważną igraszkę w porównaniu z ich wyskokami i rzutami do stalowych obręczy. Wolna huśtawka to był fart, bo zwykle czekało się w kolejce, żeby poskakać z rozbujanego siedziska w miękkie piach. A osiedlowa wypożyczalnia sprzętu sportowego dysponowała dwiema deskorolkami, kilkoma parami łyżew i kijami do hokeja, dwoma zestawami do badmintonu i paroma sfatygowanymi piłkami. Obowiązywały zapisy i cierpliwość.

Do szkoły chodziliśmy na zmiany, mijając się na chodniku z kolegami, którzy byli już po lekcjach i wracali do domu na obiad. W dzienniku brakowało rubryk na nazwiska, zdarzało się, że w jednej klasie siedziało czterdzieścioro pięcioro uczniów. W szatni jeden stalowy wieszak przeznaczony był dla dwójki dzieci, na jednej sali gimnastycznej zajęcia miały równocześnie dwie klasy. Gdy my zwisałyśmy głową w dół na drabinkach, inni skakali przez kozła. W cuchnącej przebieralni przepychaliśmy się na wąskich drewnianych ławkach, próbując nie dotknąć plecami ścian zalewanych rdzawą wodą z rur. Na długich przerwach rozbiegaliśmy się wokół szkoły, szukając dla siebie miejsca: na parkanie, pod drzewami, przy bramkach, na bieżni. Obstawialiśmy rewiry w podgrupach, znaczyliśmy teren i swoją ważność. Aż do następnej przerwy, gdy ktoś szybszy i sprytniejszy był górą. Było w tym coś z bitwy o ograniczone zasoby, ale więcej chyba z treningu zaradności. Nie czuliśmy, że jest nas zbyt wielu, tylko że kto się ociąga, ten traci. Nikt nie miał gwarancji, ale wszyscy byli w pogotowiu i wiedzieli, że może im się udać. W nadchodzących latach jeszcze nieraz mieliśmy poczuć tę ekscytację.

Bawiliśmy się sprawiedliwie. Spędzaliśmy czas gdzieś „pomiędzy” swoimi adresami, instynktownie wybieraliśmy ziemię niczyją. Rzadko chodziliśmy odwiedzać kolegów w domach za torami, oni też nieczęsto zapuszczali się na nasze osiedle. Rozbijaliśmy więc tymczasowy obóz w połowie drogi, żeby wszyscy mieli potem tyle samo do domu. Na przykład w lasku na górcie, między sosnami, na miękkim mchu. Albo na wyłożonej płytami chodnikowymi małej skarpie. Wbiegaliśmy na nią z rozpędem, obracaliśmy się w powietrzu i zbiegaliśmy, szczęśliwi, że udał nam się piruet.

Polityka i historia zastały nas w trakcie zabawy. Na jednej z płyt ktoś niedbale wymalował sprayem gwiazdę Dawida i napis: „Mazowiecki żyd!”. Skakaliśmy po tych płytach, okręcając się na pięcie tuż obok gwiazdy. Nie wiedzieliśmy, co oznacza, tyle tylko, że ktoś nie lubi premiera.

Czasem ustalaliśmy, kto kogo odprowadza. Albo my ich kawałek w dół drogi, albo oni nas do przejazdu kolejowego. Uczciwie, w zależności od tego, kto odprowadzał ostatnio.

Rodzice do znudzenia powtarzali, żebyśmy przechodzili przez tory i szosę tylko przy oznaczonym przejeździe. Tam gdzie ostrzegawczo dzwonią dzwonki, gdzie zawsze kręci się sporo ludzi i jakiś dorosły złapie nas za kołnierz, jeśli spróbujemy przebiec przed pociągiem albo przez nieoświetlone pasy. Ale myśmy nie słuchali, bo z drugiej strony stacji, przez nasyp, było bliżej. Chodziliśmy na skróty, dziką ścieżką i gramoliliśmy się przez uciekające spod butów bure kamienie. Stały tam żółte barierki, wielokrotnie psute i na nowo spawane, przypominające o niebezpieczeństwie, ale od tak dawna ignorowane, że służyły nam już tylko do robienia fikołków, gdy z niespłaszczoną jeszcze złotówką czekaliśmy na pociąg. Urządzaliśmy sobie zawody w „kto najdalej przejdzie po szynie bez podpierania się” albo po prostu przechodziliśmy, bo było co innego do roboty. Tym samym niestrzeżonym skrótem prowadzali nas czasem dorośli. Wyznaczano na zmianę dwoje, troje rodziców do eskortowania trzydziściorga dzieci w drodze do i ze szkoły. Szczególnie gdy wracaliśmy z drugiej zmiany, przed osiemnastą. Ruch na szosie był wtedy większy, a pociągi z Warszawy przejeżdżały co kilkanaście minut.

Staliśmy zbici w tłumek. Tory były już za nami, zatrzymaliśmy się przed szosą. Czekaliśmy, aż ktoś dorosły da sygnał do przejścia przez pasy. Paplałyśmy z dziewczynami, przeżywając ostatnią lekcję. To były zajęcia praktyczno-techniczne, przygotowaliśmy na nich kanapki i surówki. Krzywiłam się na wspomnienie kanapek koleżanki, które z uprzejmości zjadłam, choć brzydziłam się cudzej bułki i ogórka. Wszystkie miałyśmy poczucie odświętności, bo był Dzień Chłopaka – 30 września 1988 roku – i z tej okazji robiłyśmy kolegom jakieś uprzejmości. Pawłowi się spieszyło, miał dziś jeszcze pojechać z rodzicami do babci. Wybiegł na szosę bez pozwolenia, w ślad za jakimś obcym mężczyzną. Nie zdążył na drugą stronę. Były krzyki, panika. I moja mama, która nagle kazała nam pędzić do domu i nie odwracać głów. Miała w oczach jakąś straszną surowość, której wtedy nie rozumiałam. Płakałam na wycieracze, bez klucza, aż znalazł mnie wracający od sąsiadów tata. Tej nocy długo nie spaliśmy. Podśluchiwałam opowieści roztrzęsionej mamy, choć tata wzrokiem wyganiał mnie z pokoju.

A potem po dziecięcemu zmienialiśmy szok w fantastyczne opowieści. Chodziliśmy oglądać plamę krwi, z każdym dniem szarzejącą i coraz mniej wyraźną. Opowiadaliśmy legendy o tym, jak to było i kto co widział. Dzieciaki z bloku Pawła mówiły, że jego ojciec rozwalił o mur swojego fiata, bo taki sam samochód zabił mu dziecko. Mamie, smutnej i łagodnej, kłanialiśmy się z lękiem. Bo może widok nas – żywych – bolał ją bardzo. Do mnie wracał głuchy huk, który prawie na pewno tamtego dnia słyszałam. Na grobie Pawła jest porcelanowe zdjęcie. Śliczna chłopięca buzia z zawiązaną pod brodą aksamitką uderza mnie zawsze tym samym, podwójnym uczuciem: początku i końca. Bo zniknął właśnie wtedy, gdy wszystko nowe się zaczęło. A ruch na trasie Wschód–Zachód nagle przyspieszył.



17083909 A



W.H. Blumenthal
Secretary of the Treasury

THE UNITED STATES OF AMERICA
FEDERAL RESERVE NOTE
THIS NOTE IS LEGAL TENDER
FOR ALL DEBTS, PUBLIC AND PRIVATE



George Taylor Morton
Treasurer of the United States

WYMIANA
WALUT
EXCHANGE
SKŁAD
CELNY

ONE HUNDRED DOLLARS

2

Przemeblowanie

Wiosną 1989 roku, tuż przed politycznym remontem, gdy pępek świata leżał przy Okrągłym Stole w Pałacu Namiestnikowskim, my staliśmy w kwietniowym słońcu i wpatrywaliśmy się w ciężkie wrota kościoła. Przez cały rok, z wyjątkiem najważniejszych świąt, były zamknięte, a na msze wchodziło się małymi bocznymi drzwiami. Teraz siostra Justyna popchnęła je i wyłoniła się z wnętrza kościoła, wlewając w wiosenne powietrze wilgotny mrok. Trenowaliśmy wchodzenie parami – po schodach, przez wysoki próg i aż do ołtarza, odliczając kroki, żeby nie powpadać na siebie później, gdy już w odświętnych strojach będziemy szli do Pierwszej Komunii. Słońce dobrze grzało, nudziło nam się to chodzenie w kółko, ale siostra wciąż miała zastrzeżenia. Była młodą, ładną kobietą o ciemnej karnacji. Lubiliśmy ją bardzo, choć ja tęskniłam jeszcze do zakonnicy, która niedawno opuściła parafię, tłumacząc, że teraz będzie uczyła modlitw inne dzieci, biedniejsze od nas, bo żyjące na Filipinach, gdzie pracują na wysypiskach śmieci i jedzą tylko miskę ryżu dziennie. Zostawiła nam plastikowe różańce z biało-różowymi oczkami i wyjechała. Miałam do niej żal. Rozsądna siostra Justyna zapewniła mi jednak przywilej wykucia na pamięć, a potem uroczystego wygłoszenia komunijnych podziękowań dla rodziców i chrzestnych, czym skutecznie stłumiła wszelkie smutki.

Po raz kolejny ustawiliśmy się przed schodami. Słuchałyśmy z koleżankami uwag siostry o tym, żeby unosić lekko boki sukienek i nie przydepnąć ich w drodze.

„I nie wywijajcie kieckami, przechwalając się, która ma ładniejszą!”, przykazała surowo, parodiując ruchy dam kręcących się w tiulach i falbanach. Roześmialiśmy się, a jej habit podskoczył do góry, odsłaniając koszmarnie posiniaczone łydki, stopy w męskich sandałach oraz grube, czarne skarpety, za ciepłe na tę porę roku. Ascetyczność skarpet i ciężkich sandałów dotarła do nas w tym samym momencie, co przestroga: nie oceniacie siebie po wyglądzie ani po tym, ile posiadacie.

Ta scena utkwiała mi w pamięci, bo wydarzyła się tuż przed przełomem. Kilka tygodni później padł sygnał i wszystko wokół ruszyło pędem. A my nagle staliśmy się tym, co mogą nam kupić rodzice.

Szłam do Pierwszej Komunii w prostej używanej sukience. Moje najbliższe koleżanki miały nowiutkie, ze świecidełkami. Czułam się gorsza, ale sprawę nieco ratowały loki, które mama zakręciła mi wtedy po raz pierwszy i ostatni. Pocieszałam się, że w najgorszej sytuacji była Marta, która do komunii nie poszła wcale. Bo miała bardzo wysokiego tatę. Wysokiego wzrostem i stopniem. Jej tata miał silne przekonania i dalekosiężne plany, i wszystkie po latach zrealizował – uzyskał stopień generalski i błyszczący lampas na spodniach. Marta została jedną z pierwszych kobiet oficerów Trzeciej Rzeczypospolitej, walczyła z terroryzmem w dalekich krajach. Ale zanim to się stało, musiała się wielokrotnie przeprowadzić, a ja straciłam swoją pierwszą przyjaciółkę. Mój tata realizował ambicje z mniejszym geograficznym rozmachem, a może po prostu z mniej skłoną do przeprowadzek żoną.

W uroczystym komunijnym podziękowaniu pomyliłam się tylko raz, zresztą to już po chwili nie miało znaczenia. Wybiegliśmy z kościoła i po sesji fotograficznej z kapliczką w tle gnaliśmy na rodzinne uroczystości. One też szybko poszły w niepamięć, zostały prezenty. W tamtym roku furorę robiły chińskie zestawy: zegarek elektroniczny, kalkulator na baterie słoneczne i długopis z poślaczoną końcówką. Dostępne w dwóch wersjach kolorystycznych: dla dziewczynek białe, dla chłopców czarne. Ale

możliwości były już wtedy większe, więc jeden kolega chwalił się syntezatorem marki Yamaha, a drugi zjechał pod szkołę najprawdziwszym BMX-em na grubych oponach. Byliśmy pod wrażeniem, bo czuliśmy, że tym razem to coś więcej niż egzotyczny obiekt, który zabłądził tu z obcej bajki. My też możemy taki mieć albo choćby go zapragnąć, a to już prawie to samo. Powoli, po kawałku wpadały do naszej rzeczywistości przedmioty i zdarzenia odległe, luksusowe, ale coraz liczniejsze i coraz silniej dowodzące, że będzie inaczej. Wkrótce na ulice wyjechały kolejne BMX-y.

Po raz pierwszy posmakowałam zachodniego kapitalizmu na plebanii, gdzie zdawaliśmy egzamin z katechizmu. Proboszcz w nagrodę wręczył nam po czerwonej paczce skittlesów, słodko-kwaśnych pastylek, które odliczaliśmy jak pigułki szczęścia. Puste już, wyprasowane opakowanie trzymałam potem w pamiętniku, jak zaświadczenie z alternatywnej rzeczywistości, rodzaj dowodu i obietnicy zarazem. Ksiądz dzielił między dzieci zawartość paczek przysyłanych przez Polonię. Z przepastnych kieszeni sutanny wyciągał zagraniczne smakołyki. Ja na swój zasłużyłam, bezbłędnie recytując Dekalog i pięć warunków sakramentu pokuty.

Wszelkie odłamki zewnętrznego świata – początkowo nie różnicowaliśmy go na zachodni czy wschodni, z równym zachwytem przyjmując rosyjskie temperówki i suszone banany z Niemiec – katalogowaliśmy i eksponowaliśmy. Prawdopodobnie umacnialiśmy w ten sposób swoje z nimi połączenie, wciąż bardziej życzeniowe niż faktyczne. W tym celu wstawaliśmy z Karolą w niedzielę bladym świtem i jeździliśmy rowerami do oddalonej o kilka kilometrów pierwszej „zachodniej” restauracji w miasteczku, a dokładniej – do jej śmietnika. Wybierałyśmy z niego puszki po piwie, 7UP, coca-coli, pepsi i mirindzie. Czasem trafiał się jakiś nietypowy rarytas – nieznaną nam jeszcze marką piwa albo limitowana seria napoju, z inną kolorystyką. Zależało nam na puszkach nieuszkodzonych, niepowgniatanych i bez rys. Tylko takimi można było zaimponować rówieśnikom albo się wymieniać. Wymyte i wysuszone stały potem w równych piramidach na półkach. Najrzadszy, unikatowy okaz ustawiało się na samym szczycie. Nigdy nie czuliśmy, że zbieramy odpadki, resztki cudzego komfortu. Dla nas to były skarby, radosne trofea zdobiące pokoje w blokach z wielkiej płyty. Służyły jako uniwersalna waluta, obowiązująca na osiedlu, ale też między kuzynami czy kolegami z innych miast.

Aż pewnego dnia wylądowały znów na śmietniku, porzucone bez żalu, bo tuż za nimi gnało nowe, lepsze, barwniejsze. Puszki były dla nas pierwszymi talizmanami kapitalizmu i pierwszymi jego ofiarami. Odtąd każda upragniona rzecz będzie najważniejsza i bezcenna tylko przez chwilę, a potem zastąpi ją inna. Żadnego z setek przedmiotów, które kupię i pokocham w nadchodzących latach, nie zapamiętałam tak wyraźnie jak puszek i ich hipnotyzującego uroku. One ostatnie były magiczne, ponieważ nic nie kosztowały.

Pierwszy rok szkolny w nowej rzeczywistości miał w sobie coś z chaotycznej przeprowadzki, tyle że dokonywanej na miejscu. Niby donikąd się nie przenieśliśmy, ale zmieniały się reguły i porządki. To nie my wyjechaliśmy do innego świata, to on się zjawiał u nas. Nie od razu, na raty, więc przez kolejne lata towarzyszyło nam poczucie przedłużającego się remontu, wymagającego nieustającej czujności. Dorastaliśmy w transformacyjnym korytarzu, przez który dorośli przetaczali nowe i stare sprzęty, jedne wyrzucając na śmietnik historii, inne na powrót z niego wydobywając. A najwięcej nowości klecili i zbijali naprędce, z czego się dało. Kręciliśmy się między nimi, w tumanach zleżącego kurzu i świeżego tynku.

Wszystko wokół poruszało się i przeobrażało. Stare kształty zyskiwały nowe nazwy. Znikały pojęcia, pozostawały fakty. Albo pisano je od nowa, unieważniając dawne wersje. Sprawom, które się nie zmieniły w kształcie ani nazewnictwie, przypisywano inną wartość: drastycznie obniżoną albo skrajnie

podwyższoną. Przyjmowaliśmy te przemiany bez głębszego zrozumienia, ale i bez oporów, na co dzień ćwicząc zdolności adaptacyjne. Zmiana stała się dla nas podstawową dyscypliną, trenowaną intensywniej niż przywiązanie i przyzwyczajenie. Dawny porządek, jego stateczność i pewność straciły na znaczeniu. Nikt nie oglądał się wstecz, nie wzdychaliśmy do kisielu z tartym jabłkiem ani zabaw przy huśtawce. W gorączce przemeblowywania była wielka bezwzględność, determinacja zapomnienia czy wymazania tego, co minione. Dorośli rzucili się naprzód, chcąc może w tym nagłym przyspieszeniu zgubić przeszłość. A my pędziliśmy za nimi, upuszczając gdzieś po drodze pluszowe miśki, wystrugane z sosnowej kory łódki i plastikowe lale.

We wszystkich klasach wymieniono godła. Do dziś obudzona w środku nocy wyrecytuję wbijane nam do głów: „biały-orzeł-w-złotej-koronie-na-czerwonym-tle”. Zmieniła się także mapa Polski, choć nie w konturach, a w oficjalnej nazwie – Rzeczpospolita Polska – którą początkowo wymawialiśmy z trudem, obracaliśmy w ustach jak obcy, kanciasty obiekt. Nauczycielki geografii były zmuszone tłumaczyć nam nowy obraz świata na starych jeszcze globusach i atlasach, bo wymiana pomocy szkolnych nie nadążała za polityką. W sali historycznej zawieszony wielki plakat przypominający o nadchodzącej dwusetnej rocznicy uchwalenia Konstytucji Trzeciego Maja. Patrzyliśmy na niego podczas ciągnących się godzin lekcyjnych, czekając na wielki moment, z grubsza świadomi, że w Polsce po latach odradza się wolny parlament.

Za rusycyzmy można było nagle dostać po głowie, natomiast coraz częstsze w naszym wydaniu anglicyzmy witano z uznaniem. Na lekcje języka rosyjskiego chodziliśmy tylko przez dwa semestry, bo zastąpiono go obowiązkowym angielskim. Nowo zatrudniona nauczycielka nie miała pojęcia o nauczaniu, a też o wykładanym przedmiocie niewiele większe. Było mi żal wykwalifikowanej rusycystki o ciepłym uśmiechu, odstawionej na boczny tor. Część nauczycieli musiała się szybko przekwalifikować, braki zaszywano naprędce, bibliotekarki awansując na polonistki, a wuefistki na stanowiska dyrektorskie. Tylko pani od muzyki, o twardo brzmiącym niemieckim nazwisku, trwała wyprężona jak struna. U niej wszystko było po staremu: tablica starta perfekcyjnymi ruchami z góry na dół, sala porządnie wywietrzona, na biurkach wyłącznie zeszyty i podręczniki, plecaki zawieszane na stalowych haczykach. Co prawda żołnierska melodia *Płynie, płynie Oka jak Wisła szeroka...*, którą szlifowałam na zaliczenie, zdezaktualizowała się, ale w pięcioliniach, nutach i ćwierćnutach zapisana była ponadhistoryczna pewność. Śliczne czarne łezki z ogonkami, ustawione na liniach, odliczały tę samą miarę czasu i dźwięku, wciąż tyle samo półnut mieściło się w jednym takcie i ten sam klucz wiolinowy uroczyście otwierał zapis nutowy. Podziwiałam niewzruszoność reguł, surową dyscyplinę jedynej nauczycielki, dla której nic się nie zmieniło. Z tym samym namaszczeniem miękką szmatką przecierała winylowe płyty i ostrożnie kładła igłę, nakazując nam wielką ciszę. Słuchaliśmy z rytualną powagą. I co tydzień, jeszcze przed dzwonkiem na lekcję, staliśmy w parach przed klasą muzyczną, po części paraliżowani strachem, a po części przyzywani siłą trwałych, niezmiennych zasad, jakich nigdzie wokół już nie było.

Świat się prędko dezaktualizował. Większość podręczników po starszym bracie mnie się już nie przydała – trzymałam w biurku mieszankę starego i nowego. Nieśmiertelne książki do biologii z przekrojem mitochondrialnym i rysunkiem sympatycznego pantofelka leżały razem z napisaną na nowo historią oraz podręcznikiem *We Learn English*. Zeszyty w zielonkawą kratkę, którym jeszcze rok temu z namaszczeniem wyrysowałam równe marginesy, były już burym symbolem przeszłości. Teraz kupowałam piękniejsze, z zaokrąglonymi rogami, fabrycznie zaznaczanym czerwonym marginesem, a przede wszystkim – jaskrawymi okładkami z sylwetkami koni, rozkosznymi mordami szczeniaków, uśmiechami blond lalek albo zdjęciami sportowców. Tych ostatnich kupowałam najmniej, bo choć ich pełne energii sylwetki bardzo odpowiadały nastrojowi chwili, to nie były wystarczająco dziewczęce. A wtedy już

wszyscy zaglądaliśmy sobie do plecaków i piórników, sprawdzając, czego warto zazdrościć i jak wypadamy w porównaniu z innymi.

Szalonym powodzeniem cieszyły się kolorowe flamastry i gumki, ołówki na małe wymienne wkłady, prześwitujące długopisy z zatopionymi w plastiku gwiazdkami, komplety linijek i ekierok z pływającymi w środku rybkami, cienkopisy zakończone kulką, dzięki której mknęły po kartkach gładko jak po lodzie. Ważne były zdobione skuwki, na przykład z wmontowaną gumką albo kwiatuszkiem. Zapanowała moda na korektory – najpierw w płynie, pozwalające zamalowywać błędy małym pędzelkiem, a potem – w suchych paskach, dzięki którym można było od razu pisać na pobielonym tle. Ta mania poprawiania, upiększania i polepszania pochłonęła nas bez reszty. Wczorajsze, jednobarwne zapiski w zeszytach już nie wystarczały. Teraz słowa „lekcja” i „temat” wyróżniało się kolorowymi cienkopisami, a najważniejsze notatki oznaczało jaskrawym flamastrem. Liczyły się forma, wygląd i styl. Po lekcjach godzinami pacykowałyśmy z dziewczynami zeszyty, nudnym arytmetycznym słupkom i gramatycznym regułkom nadając sylwestrowy szyk. Od tej pory codzienność była obowiązkowo odświeżona, brylująca i migotliwa. To, co zwykle, już nie miało znaczenia.

Wcześniej tak wielkie estetyczne zaangażowanie obowiązywało jedynie w zeszytach do religii, gdzie rysowaliśmy sceny z życia Świętej Rodziny i kolorowaliśmy je kredkami, żeby pokazać księdzu, gdy chodził po kołędzie, albo siostrze na zaliczenie półroczka. Teraz i to już minęło, bo lekcje religii zostały przeniesione do szkoły, co w naszym – dyskutowanym gorączkowo na podwórku – odczuciu było złym pomysłem. Podobała nam się pachnąca kadzidłem i mirrą mała salka nad zakrystią. W szkolnych klasach, wpatrując się w zawieszony nad tablicą krzyż, odmawialiśmy modlitwy z mniejszym entuzjazmem. I ze skrepowaniem, bo wychodząc, spotykaliśmy kolegów, którzy przesiedzieli tę lekcję na korytarzu, nudząc się jako niewierzący. Nowa nauczycielka etyki w szkolnej hierarchii stała niżej nawet od pani prowadzącej zajęcia praktyczno-techniczne, których nikt nie traktował poważnie, bo chłopcy zaliczali je, wydurniając się przy imadłach, a my – piekąc biszkopty w prociżach. Etyka była dla nas hasłem mętym i bezkształtnym, nie wiedzieliśmy, do czego mogłaby się przydać.

Podczas długich przerw mieliśmy już mniej czasu na rywalizowanie o lepsze miejsce na gzymsach i pniakach, bo staliśmy w długich kolejkach do sklepiku szkolnego, który ze smętnej drewnianej budki przemienił się w wypchaną bajecznymi pysznościami piernikową chatkę. Kupowaliśmy tam okrągłe lizaki, gumy do żucia, rozpuszczalne mamby i małe paczki chipsów, czekoladowe batoniki, nadziewane wafelki i soczki w kartonikach z doklejoną słomką. Wydawaliśmy nieduże kwoty, ale robiliśmy to świadomie i regularnie – planowaliśmy swoje małe inwestycje tak, by zmaksymalizować przyjemność i efekt wizerunkowy, czyli zjeść coś pysznego i jeszcze się tym pochwalić.

Byliśmy klientami dorastającymi w kapsule przyspieszonej edukacji konsumenckiej. Nie kupowaliśmy nowości w ciemno, by sprawdzić, jak smakują. Ich wartość znaleźliśmy już z reklam, puszcanych przed Wieczorynką, która też się gwałtownie umiędzynarodowiła. Nie wiem nawet, gdzie się podziali Uszatek i Rumcajs. Zepchnęły ich z ekranu disneyowskie wiewiórki Chip i Dale oraz gapowaty Goofy. Nie dokonałam symbolicznego pożegnania z ukochanymi bohaterami mojego dzieciństwa. Kolargol, Krecik, Pszczółka Maja, Reksio, Bolek i Lolek, Żwirek i Muchomorek zniknęli nagle, zapomniani w gorączce nowości, od której lśniły nam oczy. Wcisnęłam nos w telewizor, z którego uśmiechali się do mnie Miś Yogi z amerykańskiego parku Yellowstone, futurystyczna rodzina Jetsonów żyjąca w kosmosie oraz bosonodzy jaskiniowcy – Wilma i Fred Flintstonowie. Uwielbialiśmy ich nie mniej niż poprzedników lokalnej produkcji.

Zaczarowany ołówek nie był nam już potrzebny – toniliśmy w oceanie przedmiotów i możliwości. Nie było rozmyślania o tym, czego jeszcze moglibyśmy chcieć i co nam się marzy, bo zniknął brak. Lody były dostępne przez cały rok, na nic nie czekaliśmy. Odtąd pragnienia nie wyrastały w nas, lecz przychodziły z zewnątrz: z wystaw sklepowych, billboardów i telewizji, mrugały kusząco z piórnika koleżanki. Byliśmy wyręczani przez reklamy i sprzedawców, prawie niczego już sobie sami nie wyobrażaliśmy. Naraz zachcieliśmy wszystkiego, co wczoraj jeszcze nie istniało. W jednej chwili opuściło nas poczucie czasu – już go nie mieliśmy, nie dłużył się i nie pozwalał się namyśleć. Teraz już nie wisieliśmy na trzepakach, gapiąc się na swoje trampki. Biegliśmy.

Od razu zrozumieliśmy, że w szybko zmieniającym się pejzażu nie można poruszać się powoli, bo za dużo się traci. Ominęłoby nas zbyt wiele programów telewizyjnych, trójwymiarowych naklejek odblaskowych, ważnych informacji w szkole i w domu. Jutro rano premier mógł już nosić inne nazwisko, Związek Radziecki rozpaść się w trudną do spamiętania mozaikę państw, tata przyjść do domu z magnetowidem, a kolega zjawić się w szkole z niesamowitym plecakiem z wszytym w klapę ogromnym zegarkiem. To były zdarzenia najwyższej rangi i przewracały nasz świat do góry nogami, codziennie.

Premierzy faktycznie się zmieniali. Związek Radziecki naprawdę się rozpadł, co oznaczało więcej nazw państw sąsiedzkich do spamiętania na lekcję geografii. Rodzice ulegali błaganiom o zakup technologicznych nowinek, a piegowaty Tomek naprawdę miał zegarek w plecaku. Wielki zegarek, wokół którego zbiegliśmy się z okrzykami podziwu i gratulacjami. Jego właściciel nie należał do szczególnie lubianych, ale takie przedmioty zdobywały mu uznanie. Był inteligentny i świetny z matematyki. Trzymał się z boku – sportowy słabeusz, miał tylko kilku kolegów i akurat ich mógł być zupełnie pewien, bo oni też mieli ojców przedsiębiorców i byli równie jak on zamożni. Różnice majątkowe, na które wcześniej byliśmy ślepi, nagle stały się dla nas bardzo czytelne. Nie przesądzały co prawda o przyjaźniach, ale określały kręgi towarzyskie oraz rewiry zabaw. Chudy Piotrek w przechodzonym swetrze królował na szkolnym boisku i po naszej stronie torów, ale do dzielnicy domów jednorodzinnych, w której mieszkał Tomek, nie zaglądał.

Ja wybrałam się tam kilka razy i były to doznania przypominające daleką podróż, choć szliśmy piechotą tylko pół godziny. Oto wkraczaliśmy do świata cudzego i imponującego, urządzonego zupełnie inaczej niż nasze schematyczne pokoje z regałami i tapczanami, sformatowane według dostępności towaru. Nasi rodzice dopiero zabierali się do przemeblowań i remontów na raty, a u nich nowa rzeczywistość już była u siebie.

Bawiliśmy się na strychu w wysokim domu Tomka, na stertach kartonów, w które pakowano grzejniki olejowe sprzedawane przez jego tatę z wielkim powodzeniem. Udawaliśmy, że prowadzimy własne studio telewizyjne – z serwisem informacyjnym i przerwą na muzykę. Kręciliśmy nasze kartonowe programy małą kamerą wideo, a potem zbiegaliśmy do kuchni, gdzie jego mama podawała nam gorące spaghetti prosto z mikrofalówki. Uczyłam się nawijać kapryśny makaron na widelec, bardzo przejęta pierwszą lekcją kosmopolityzmu. I choć wracałam do willowej dzielnicy jeszcze nieraz, to zawsze z poczuciem, że przekraczam bramę dalekiego kraju. Największa bliskość łączyła mnie z dziećmi, których mamy, jak moja, podawały krupnik i bitki wołowe.

Granice były teraz bardziej rozproszone i niejednoznaczne. Obowiązywała już nie ta jedna, geograficzno-polityczna, dzieląca świat na Wschód i Zachód. Było ich wiele, pomiędzy nami i między różnymi częściami miasteczka. Podziały zarysowały się tak precyzyjnie, jakby istniały od zawsze, tylko dotąd przysypane były warstwą kurzu. Teraz na nowo nas określiły. Więcej było różnic i tras pozwalających się rozmijać. Wizyta w kiosku czy dużym sklepie Społem już nie gwarantowała spotkania

z kimś znajomym – mnożyły się małe sklepiki, prywatne inicjatywy, wokół których gromadziły się osobne grupy klientów, manifestujących swoją konsumencką lojalność, a jednocześnie odgradzających się od innych. Ostentacyjnie omijane Społem brało cięgi za kilkadziesiąt lat spożywczego socjalizmu, choć nowych towarów miało w bród.

Obok wyrósł piętrowy pawilon z kilkoma lokalami, szybko zajęty przez młodych sklepikarzy, fryzjera, pizzerię i punkt usług komputerowych. Za to w cukierni produkcja spadała. Lukrowane pączki z marmoladą i makowe baletki miały importowanych rywali w lśniących opakowaniach oraz polewie z karmelem i orzeszkami. Pojawiły się nieznane wcześniej biznesy: sklep z kasetami magnetofonowymi, ułożonymi w przegródkach i na obrotowych stojakach, z ceną wypisaną ołówkiem na jaskrawozielonej metce. Wypożyczalnia filmów wideo, z obowiązkowymi zapisami, kaucją i kartą stałego klienta – pierwszą z wielu, jakie dostaniemy w przyszłości. Drewniana budka pachnąca proszkami do prania i płynami do szorowania kuchennych blatów, w której wiele czasu spędzały nasze mamy, zafascynowane hiperhygienicznymi perspektywami.

Był wreszcie butik u pani Grażynki, która przyjmowała klientki serdecznym słowotokiem na temat ubrań sprowadzonych prosto z Włoch. Zachwalając szyk, krój i wygodę, sięgała długim kijem po bluzki i żakiety zawieszane aż pod sufitem. Zapraszała do przymierzalni w kąciku, doradzała, aprobowała, a po skończonej transakcji odprowadzała za próg i odpalając cieniutkiego papierosa, zapowiadała przyszlotygodniową dostawę. Oferowała zagraniczną elegancję na miarę czasu i okolicy, ale też wprowadzała nowe standardy. Miała wspaniały instynkt sprzedawcy, dobrze rozumiejącego, że transakcja stała się czymś więcej niż nerwową wymianą pieniędzy za towar. W małym butiku prowadziła biznes według nowoczesnych i światowych zasad: dbała o relacje z klientkami, była ich sojuszniczką w trudnych wyborach, nigdy nie okazywała im swojej wyższości ani zniecierpliwienia. Lubiła sprzedawać przyjemność. W przeciwieństwie do terroryzujących i władczych ekspedientek minionej ery zachowywała się jak troskliwa opiekunka, dla której nasze dobre samopoczucie znaczyło więcej niż pieniądze w kasie. Dlatego wracałyśmy – matki i córki – wspierając jej odzieżową prosperity.

Miasteczko nabrzmiało nowymi możliwościami – przybyło wszystkiego, a zwłaszcza powodów i okazji do separowania się. Im więcej można było kupić i dostać, tym bardziej byliśmy zajęci sobą i oddalaliśmy się od innych.

Miałam, podobnie jak sąsiedzi, coraz mniej powodów, żeby bywać za torami. Także u nas, na osiedlu, zapanował boom handlu i własności prywatnej. Niewielką dostępną przestrzeń szybko zagospodarowano do własnych celów. Nieużywane wcześniej wyjścia awaryjne z klatek schodowych i ich małe korytarzyki zostały prędko wykupione – przez rodziny, które chciały o kilka metrów kwadratowych powiększyć sobie mieszkania, albo przez rzutkich przedsiębiorców, którzy w tym małym metrażu rozwijali dobrze funkcjonujące interesy. Świetnie radził sobie sklepik wypchany smakołykami, do którego miałam dokładnie pięćdziesiąt dwa kroki, odliczałam je od wyjścia z klatki. Jego właściciel, młody i obrotny chłopak, zarabiał na mojej miłości do żelków i jajek z niespodzianką. Na zapleczu naszej klatki wyrosła lodziarnia, działająca tylko w lecie i serwująca najprawdziwsze włoskie lody w oryginalnej, czekoladowo-cytrynowej kombinacji smaków. Rozsiadaliśmy się przy plastikowych stolikach, czekając na późny zmrok i słuchając pisku jaskółek. Nie grało się już wtedy w piłkę pod blokiem, bo starsi sąsiedzi, egzekwując swoje demokratyczne prawo, zakazali nam hałasowania.

Wiele obszarów osiedlowej przestrzeni, dotąd uważanych za wspólne, zyskało mniej lub bardziej formalną przynależność. Tarasy starych bloków, gdzie przesiadywaliśmy, gadając bez końca, zostały zagrodzone i zmienione w prywatne ogrody. Każdy blok miał teraz „własny” trawnik, ławki, asfaltowe

boisko i piaskownicę. A co za tym idzie – prawo do rozporządzania nimi i obowiązek ich pielęgnowania. Ta nagła rejonizacja stała się też polem rywalizacji, która z pewnością posłużyła upiększeniu okolicy, ale ochłodziła stosunki sąsiedzkie. Zaczęło się od gorliwej pielęgnacji klombów, sadzenia krzewów i kwiatów pod oknami, popisowego strzyżenia trawników i odmalowywania ławek. Potem kolejne bloki wymieniały drzwi wejściowe do klatek, pojawiły się w nich domofony. Już nie można było wbiec do bloku obok, zatrzymać się na drugim piętrze i zdyszczym głosem zapytać: „Dzień dobry, jest Jarek? A wyjdzie na dwór?”. Teraz wciskało się guzik i po schodach szło się jak po obcej ziemi.

Potem przyszła moda na żaluzje. Starannie przypinane na żabkach firanki i zasuwane po zmroku zasłony okazały się niewystarczającą zaporą przed obecnością sąsiadów. Żaluzje skuteczniej nas rozdzielały: kroili perspektywę na wąskie paski, szatkowały blok naprzeciwko, pozwalały się odciąć jednym zdecydowanym ruchem i zapaść w prywatności, umeblowanej coraz bardziej komfortowo i nowocześnie. Trochę później pojawiła się jednak potrzeba uzewnętrznienia swojego statusu, więc mieszkańcy zaczęli zabudowywać balkony i okładać je szybami – rząd przesuwanych okien sporo kosztował, ale w ślady pierwszego sąsiada szybko poszło wielu kolejnych. Zabudowany balkon zwiększał nieco przestrzeń życiową, dodatkowo podkreślając odrębność. Był też przejawem ogólnego trendu rozrastania się i rozbudowy, który objął cały kraj.

Kilka lat po gospodarczo-politycznym przełomie topografia miasteczka była już bardzo zmieniona. Przy plebanii ruszył duży dom parafialny, szkoła rozpoczęła budowę nowej hali sportowej, urząd pocztowy przeniósł się z przedwojennego domu do świeżo postawionej siedziby z własnym parkingiem. Powstał plan budowy nowego urzędu miasta.

Po naszej stronie torów przybywało bloków, a wojsko chciało zademonstrować swój akces do nowej demokratycznej rzeczywistości, więc na terenie jednostki zaczęła działać kaplica. Niby z myślą o żołnierzach, ale kapelan spowiadał głównie mieszkańców osiedla, chrzczył tutejsze dzieci i przygotowywał nas do bierzmowania. Na msze można było chodzić bez przepustki, zresztą armia w ogóle opuściła gardę – żołnierze poruszali się po miasteczku w cywilnych ubraniach.

Większość mieszkańców osiedla od razu wsparła duchowy rozdział i zamiast nadal modlić się wśród obrazów Jerzego Nowosielskiego, uczęszczała na msze w warunkach polowych, w dawnym budynku carskich stajni, któremu kolejni księża próbowali dodać świętej powagi nowymi obrazami, witrażami i dywanami. Mnie ciągnęło wciąż na górkę, do starego kościoła, w którym ministranci nie nosili mundurów. Ale było to wbrew dominującemu nastrojowi budowania osobnej wspólnoty, której granice wiernie pokrywały się z dawnym podziałem wojskowo-cywilnym.

Na naszym osiedlu stanęła też nowa szkoła podstawowa – lekka parterowa konstrukcja, z drzwiami tarasowymi w każdej z klas. Można było wybiegać wprost do ogródka i czuć się swobodnie, bo teren nie był ogrodzony. Budynek robił wrażenie otwartego i przyjaźnie wkomponowanego w otoczenie, w przeciwieństwie do wysokiego gmachu, w którym uczyliśmy się dotąd. Tak nas cieszyły te białe ściany, krzeselka z pulpitemi i metalowe szafki w szatni (zupełnie jak na hollywoodzkich filmach), że bez większego żalu, a nawet w poczuciu wyższości, żegnaliśmy kolegów, którzy zostawali w dawnym budynku za torami. Każdy mógł wybrać szkołę, nauczyciele też. Teraz to oni wędrowali na naszą stronę miasteczka. Klasy, przyjaźnie i autorytety znów się przetasowały. Nie przeszkadzał nam zbytnio brak sali gimnastycznej, na którą nie wystarczyło środków. Mieliśmy przytulną stołówkę, telewizory w klasach, a zamiast w staromodną piłkę ręczną graliśmy w baseball, bez odpowiedniego boiska i znajomości zasad, za to amerykańskimi kijami.

Oficjalnie powody wybudowania nowej szkoły były dwa: za duży tłok w starym budynku oraz

zagrożenie dla dzieci chodzących na lekcje przez szosę i przejazd kolejowy. Ale była i inna przyczyna – możliwość budowania odrębnych światów, dla dorosłych kusząca, bo umacniała poczucie samowystarczalności i samorządności, pozwalała układać mikrokosmos po swojemu.

Naśladowaliśmy rodziców w tym dążeniu do odrębności i budowaniu małych sojuszy. Zaczęliśmy używać nowych określeń na poszczególne rewiry osiedla, dzielić je według standardu bloków i mieszkań. Najwyższym, ekskluzywnym cieszyły się dwa budynki, jeszcze przedwojenne, zajmowane przez wyższą kadre z rodzinami. Tam podłogi pięciopokojowych mieszkań wyłożone były dębowym parkietem, a okna wychodziły na brzozy lub kasztany. W centrum osiedla stały czteropiętrowe bloki z wielkiej płyty, i my mieszkaliśmy w jednym z nich, po przeprowadzce z oddalonego o trzysta metrów kwadratowego „punktowca” z ciasną kuchnią. Nowe mieszkanie było większe i wygodniejsze, z dużym balkonem i piwnicą. Nie luksusowe, ale wystarczające. Mieliśmy widok na las i ogródki działkowe, a obok uliczkę prowadzącą do garaży, co dawało nam poczucie, że żyjemy w istotnej lokalizacji.

Najbiedniejsza część osiedla leżała tuż obok. Były to trzy ciemne bloki otaczające kwadratowe podwórko ze śmietnikiem i trzepakiem. Wypełniały je małe mieszkania, dawniej przeznaczone dla rodzin podoficerów i cywilnych pracowników wojska. Nigdy nie byłam w środku. Tam mieszkali chudy Piotrek, Daniel, który siedział trzeci rok w siódmej klasie, oraz Marek, który ledwo zaliczył semestry i strasznie rozrabiał, choć był mądry i dowodził wieloma naszymi zabawami. Wciąż spędzaliśmy razem czas na przerwach i po szkole, ale czuliśmy już, że coś nas różni. I że kiedyś się rozejdziemy.

Te trzy bure bloki nazywaliśmy slumsami. Prześmiewcze, okrutne określenie musiało do nas przyjść wraz z jakimś amerykańskim filmem, oglądanym na taśmie VHS aż do zdarcia. Przyjęło się szybko, ale też wkrótce straciło pogardliwy wydźwięk. Umawialiśmy się „na slumsach” tak samo jak „na garażach” czy pod nieczynnym już basenem. Właziliśmy do niego przez furtkę, gdy żołnierz nie patrzył, i zwiedzaliśmy ruiny miejsca naszych dawnych zabaw. Betonowe cielsko straszło głębością. Zsuwaliśmy się na dno po rdzewiejących drabinkach i wyobrażaliśmy sobie, że otacza nas zimna zielona woda. Przysiadaliśmy na wieży, patrząc w dół, na walające się w basenie śmieci. Drewniane przebieralnie pachniały moczem i butelkami po piwie.

Na kryty basen można było teraz jeździć raz w tygodniu, autokarem. Razem z dziećmi z płatnej szkoły społecznej, założonej w pobliżu kościoła przez przedsiębiorczą inteligentką elitę o prawicowych przekonaniach. Wtedy rozumieliśmy tylko, że ich szkoła miała inny program nauczania, kilkuosobowe klasy i organizowała wyjazdy na zajęcia plenerowe. Większość uczniów to były dzieci z bogatych domów. Nie mieliśmy wśród nich przyjaciół, a tych kilkoro kolegów, których pamiętaliśmy jeszcze ze starej podstawówki, widywaliśmy coraz rzadziej – stali się dalecy, niemal obcy. Mieli walkmany, gdy my dopiero o nich marzyliśmy, nosili markowe ciuchy, gdy my cieszyliśmy się podróbkami, a ferie spędzali na obozach snowboardowych, gdy my niepewnie próbowaliśmy jazdy na nowych, szerokich deskorolkach. Poczucie obcości było tak silne, że po kilku lekcjach pływania zrezygnowałam. Rozumiałam już, że z jednej strony otaczają mnie ludzie zaradniejsi, pewniejsi siebie i zamożniejsi niż moja rodzina. Z drugiej są też słabsi i ubożsi, u których zmieniało się najmniej. Wreszcie – najliczniejsi – tacy jak ja, stojący pośrodku, pomiędzy szansą a ograniczeniem, z kieszeniami pełnymi ambicji i kompleksów. I z rosnącą po cichu świadomością, że będziemy musieli rywalizować.

Atmosfera wielkiej przebudowy udzieliła się mnie i bratu. Nie mając większych możliwości, kilkakrotnie zamienialiśmy się na pokoje. Przystawialiśmy meble, przepinaliśmy plakaty Sepultury, Roxette i Guns'n'Roses przytwierdzone szpilkami do tapety. Czasem przenosiliśmy tylko najważniejsze

rzeczy: magnetofon, kasety i ubrania, regałów ani biurek nie ruszając z miejsca. Potrzeba zmiany była tak silna, że dokonywaliśmy jej pobieżnie i pospiesznie. W godzinę mieliśmy już nowe adresy – on po lewej z korytarza, ja przy przedpokoju. Być może rozładowywaliśmy w ten sposób nieustannie towarzyszące nam napięcie, chcieliśmy fizycznie odbyć przeprowadzkę do odnowionej rzeczywistości. A może na swoją dziecięcą skalę próbowaliśmy także stać się budowniczymi lepszego świata.



3

Rzeczy pierwsze

Celofan stał zwinięty w ciężką belę przy kaloryferze. Przesuwałam wkoło palec, śledząc jego zwoje. Ostrożnie, żeby się nie skaleczyć. Słyszałam, jak świszczą niezadowolony za każdym razem, gdy mama cięła go na prostokąty, a potem zaginała, ciągnąc złożone nożyczki wzdłuż jego ostrej krawędzi. Tak robiła koszulki nowym książkom – odmierzała, by ciasno otułały grzbiet i okładki. Opakowane w lśniący celofan stały potem na osobnym stoliku, na zielonym suknie, w towarzystwie tabliczki z napisem „Nowości”. Niedługo. Bo te najświeższe, jeszcze nieczytane, w niezarysowanych mundurkach zaraz ktoś wypożyczał.

Przychodziłam tam po zajęciach w przedszkolu. Wbiegałam po schodkach do klubu garnizonowego, mijałam kasę kinową i pachnący kawą bufet. Szłam wzdłuż pustej o tej porze szatni i tuż przed imponującymi, zawijanymi schodami skręcałam w mały korytarz. Mama musiała słyszeć moje drobne kroki na parkiecie.

Drzwi do biblioteki były zawsze uchylone, wsuwałam się cicho. Siedziała przy jednym z dwóch małych biurek, z okularami na nosie, wypełniając karty. A jeśli nie, to otwarta książka i leżące na niej okulary mówiły mi, że znajdę ją między regałami. Przechodziła wzdłuż nich, przyglądając się uważnie grzbietom. Delikatnie i zwinnie wysuwała książki, przestawiała na właściwe miejsce. Była precyzyjna, starannie odbudowywała literacki ład. Z jakiegoś powodu ludzie nigdy nie odkładali tomów tam, skąd je wyciągali.

Dostawałam kredki, kartki i gramoliłam się na twardej fotel. Mama przysuwała mnie do ławy. Rysowałam grzecznie i bez słowa. Nawet jeśli poza nami w bibliotece nikogo nie było, ona mówiła ściszym głosem. Były przecież książki. Przyglądałam się czytelnikom – nigdy nie nazywała ich inaczej – gdy oddawali wypożyczone tytuły i prosili, żeby poleciła im coś podobnego. Stemplowała i parafowała karty, a oni na oczekaniu wertowali numery „Polski Zbrojnej”. Najczęściej przychodzili żołnierze, wypożyczali kryminały i serię „Biblioteki Żółtego Tygrysa”.

Chodziłam odwiedzać Mary Poppins i Anię Shirley. Wiedziałam dokładnie, gdzie stoją. Sama jeszcze nie czytałam, ale chętnie wpatrywałam się w ich okładki. Chciałam być pomocna, więc wyrównywałam wystające grzbiety i stawiałam do pionu osuwające się egzemplarze. A kiedy już zupełnie nie miałam co robić, podchodziłam do biurka i prosiłam o zielony kanister.

Był maleńki, pół mojej dłoni. Miał jakieś obcojęzyczne napisy i łańcuszek z kółkiem – był to breloczek, który można nosić przy kluczach. Mama jednak trzymała go w służbowej szufladzie. W jego plastikowym wnętrzu kryła się stalowa miarka, zwinięta w rulon. Chwytałam zagięty języczek i wyciągałam długi na metr pasek z cienkiej blachy. Mierzyłam, co się dało: półki, nogi od biurek, szerokość ławy, grzbiet atlasu dinozaurów. Uwielbiałam, gdy puszczone końcówka miarki wiła się wściekle i szybko wracała do wnętrza kanistra. Moja pierwsza mechaniczna zabawka.

Już jako dorośli odnaleźliśmy ją z bratem wśród rupieci w piwnicy. Należy do naszych najtrwalszych wspomnień i najdłużej przechowywanych przedmiotów. Albo najdłużej przechowywanych wspomnień i najtrwalszych przedmiotów. Poginęły ukochane miśki, całe armie miniaturowych żołnierzyków, stalowe hełmy. Żółta miarka wciąż wypręża się w gotowości, a po skończonej pracy znika w breloczku.

Zanim nadeszła nowa technologia, zachwycaliśmy się techniką. Kiedy w soboty mama włączała pralkę,

siadałam na dywaniku w łazience i patrzyłam na kręcące się w bębnie ubrania. Czekałam, aż programator pyknie i przesunie się na znaczek wirowania. Zaczynała łomotać i tańczyć. Czasem pomagałam nasypywać proszek i obserwowałam, jak woda spłukuje go w dół. Żeby nie zrobiła się wielka gruda, trzeba było go popchnąć palcem. A jeśli pralka się psuła, co wcale nie przytrafiało się rzadko, zza torów przychodził smukły rudawy pan z wąską walizeczką pełną narzędzi. Grzebał, coś wymieniał i naprawiał w asyście taty. Uważałam to za bardzo miłe zdarzenie, w każdym razie ciekawsze nawet niż oglądanie wieczornego westernu. Pan od pralki był w zasadzie dobrym znajomym rodziny, a jego podopieczna służyła nam przez lata. Nikt się na nią nie obrażał z powodu usterek.

Byliśmy przyzwyczajeni do zawodności sprzętów, nie oczekiwaliśmy od nich zbyt wiele. Raz na jakiś czas wyskakiwały korki, paliły się kineskopy telewizorów i grzałki w dmuchawach. Naprawianie i wymienianie chorych części wpisywało je w nasze życie – były jego towarzyszami, pomocnikami. Łączyły nas długie związki, i myśl o pozbyciu się przedmiotów przychodziła dopiero w ostateczności. Można je było oddać w dobre ręce, zawieźć potrzebującym krewnym, ale na pewno nie wyrzucić. Dopóki działały, byliśmy razem.

A dopóki ich konstrukcję i mechanizm dało się ogarnąć rozumem, łatwiej było wybaczać awarie. Puściła uszczelka. Zerwał się pasek klinowy. Odłamał się uchwyt. Coś się przegrzało, zacięło, wypaczyło, pękło. Jak w człowieku. Mogliśmy zaleczyć, uratować.

Mój tata jest zdecydowanym przeciwnikiem wyrzucania czegokolwiek. Altankę przekształcił w bezterminowe sanatorium dla sprzętów, które wcześniej zostały upchnięte w pawlaczu, następnie zniesione do piwnicy, wreszcie – wyeksmitowane na działkę. Tam ostatnich dni doczekał radiomagnetofon Kasprzak, przyjaciel moich pierwszych muzycznych fascynacji. Jednokasetowiec odtwarzający dźwięk mono i wyposażony w funkcję auto-stop, czyli na końcu taśmy sam się wyłączał. Miał sześć przycisków: start, stop, naprzód, w tył, pauza, zapis. Mały czarny guzik otwierający kieszeń na kasety i pokrętko radia. Tyle wystarczyło, by wypełniać nasze dni. Stał w pokoju brata, pożyczałam go tylko od wielkiego dzwonu. Ale był wspólny, kochaliśmy go na równi, ozdobiliśmy kolorowymi naklejkami. Czasem psuły się rolki, przestawał grać. Wołaliśmy na pomoc sąsiada złotą rączkę. Po każdej naprawie kasprzak stawał się dla nas cenniejszy, groźba jego utraty jeszcze silniej nas z nim wiązała. Irytacja na niedziałające urządzenia, pretensje do wadliwego oprogramowania, roszczenia i reklamacje były nam zupełnie nieznanne. W analogowej codzienności sama obecność techniki była rodzajem cudu. Jej zawodność – powodem do smutku. Złość wobec urządzeń, które dawały tyle dobrego, byłaby nietaktem.

Nigdy nie byłam w Peweksie, ale wiem, co oferował. Każdy z moich rówieśników coś mu zawdzięcza. Pewnego, bardzo wyczekiwanego dnia brat wrócił z tatą z zakupów, niosąc uroczyście podłużny karton. Zapłacili dwadzieścia cztery dolary amerykańskie. Z pudełka najpierw wyłoniła się folia z bąbelkami, potem kawałki styropianu, wreszcie on: dwukasetowy „jamnik” marki Phillips. Jedna kieszeń miała przyciski różowe, druga – turkusowe. Modniejsze po prostu nie istniały. Brat zrobił mu specjalne miejsce – magnetofon dostał własną półkę. A mama przyniosła ozdobną serwetkę – był nią okrywany na noc i przed naszym wyjściem do szkoły, żeby się nie kurzył. Ja nie miałam prawa go dotykać, ale nie było mi przykro, bo dostałam kasprzaka na własność. Jeszcze tego samego dnia brat nagrał z radia na kasetę przebojową *Lambadę*. Słuchaliśmy jej na okrągło.

Karton po magnetofonie, jako element magicznego zdarzenia, nie wylądował w śmietniku, tylko na szafie. Był ozdobą. Stracił na wartości dopiero kilka lat później, gdy brat przyniósł do domu pierwszą płytę CD. Był to album Metalliki, naszego ukochanego zespołu (w tych różnorodnych czasach dziedziczyłam wszystkie jego muzyczne pasje, od trash metalu po italo disco). Dostał go od kolegi. Sprzętu

do odtworzenia lśniącego krążka nie mieliśmy ani nawet nie zamierzaliśmy mieć. Byliśmy pewni, że jeśli istnieje, to w jakiejś niedostępnej czasoprzestrzeni. Płyta zawisała na nitce pod żyrandolem – kręciła się, odbijając światło. Puszczala zajączki na ścianach, jak talizman zapowiadający wspaniałe i trudno wyobrażalne zdarzenia.

Na dwunaste urodziny dostałam od mamy walizkową maszynę do pisania – Łucznik. Wcześniej zapisywałam kartki długopisem, ale gdy mama rzuciła pracę w bibliotece, odwiedzałam ją w nowym biurze w Warszawie. Tam mogłam siadać przy wolnej maszynie i stukać. Wiedziałam więc, jak się ustawia marginesy, robi duże litery, przechodzi do następnego wersu. Umiałam moją maszynę obsłużyć, czyli zrobić dla niej to, co potrzebne, by w zamian ona mogła być mi pomocna. Byłyśmy – wciąż jesteśmy – w wielkiej przyjaźni. Rzadko ją teraz wyjmuję, ale kiedy chcę zrobić przyjemność jakiemuś dziecku, pokazuję mu, jak działa. Wywołuje zachwyt, ponieważ kieruje nią prosta mechanika. Można zajrzeć jej do brzucha, zobaczyć, jak naciśnięty klawisz uruchamia dźwignię, a nóżka z literą wędruje szybko, by odbić przez nasączoną tuszem taśmę znak na papierze. Między myślą a utrwalonym słowem zachodzi tu jasny związek. Nic nie daje większego poczucia sprawczości, wpływu na świat niż wciskanie guzików i obserwowanie reakcji urządzeń. Coraz trudniej o tę przyjemność – sprzęty cyfrowe chcą być inteligentniejsze od nas, zachowują się, jakby wszystko wiedziały lepiej. A my im ustępujemy.

Gdy ja zaczęłam pisać na łuczniku, moja przyjaciółka z piętra wyżej dostała pierwszy komputer. Był to Commodore 64. Zapraszała na popołudniowe granie „w samoloty” (trzeba było ostrzeliwać nadlatujących wrogów i w porę tankować, żeby nie spaść z piskiem) albo „w Kaczora Donalda” (chodził po sklepach i łapał towary rzucane przez sprzedawców – jeśli nie zdążył, arbuź zmieniał się w plamę czerwonych pikseli). Zanim wzięłyśmy do rąk dżojstiki, były spore ceregiele. Najpierw wgrywałyśmy coś z kaset, trzeba było czekać i jeśli się nie udało, zaczynać od nowa. Później wystarczyło włożyć kartridż, ale zanim komputer odczytał jego zapis, mijало wiele minut. Zapamiętałam te ceremonialne przygotowania lepiej niż samą radość z gry.

U nas pierwszy komputer pojawił się znacznie później, pod koniec lat dziewięćdziesiątych, gdy brat zakładał firmę. Żeby pomieścić duży ekran oraz płytę główną wielkości skrzynki na pomidory, zamówił specjalne biurko, z wysuwaną szufladą na klawiaturę. Istna kolubryna zajmująca połowę pokoju. Komputer budził mój respekt, tym większy, że wkrótce podłączyliśmy internet. Początkowo nie wiedzieliśmy nawet do czego, poza pocztą elektroniczną, moglibyśmy go używać. Istniało jeszcze niewiele stron www, niewiele miejsc, do których można było wirtualnie pójść. Zresztą wydawało nam się to równie pociągające, co abstrakcyjne i skomplikowane.

Łączenie się z internetem – nieokreślonym, niepojętym – nastroczało trudności i nieraz kończyło się niepowodzeniem. Do sieci się wchodziło jak do fantastycznej krainy, po kablu telefonicznym. Najpierw komputer wybierał numer, potem wyświetlał komunikat, że go weryfikuje, że nawiązuje połączenie, a następnie – że się łączy. Każdemu etapowi tej operacji towarzyszył nieco inny dźwięk, znaliśmy je na pamięć i na słuch ocenialiśmy, czy jest dobrze. Sygnał nagle się zmieniał i cichł – znak, że weszliśmy. W rogu ekranu zaczynały wesoło migać dwie ikony komputerów. Jeśli wygasły, musieliśmy wszystko zacząć od nowa.

Bycie w internecie mogło się w każdej chwili skończyć, a takie gwałtowne wyproszenie sprawiało głęboką przykrość. Po raz pierwszy irytowało. Spodziewaliśmy się czegoś lepszego: ciągłego, stabilnego połączenia. Gwarancji, że system – bo już nie chodziło o dającą się naprawić śrubokrętem maszynę – porządnie nas obsłuży. To była jednostronna transakcja – kupujemy go, a on działa. Gdy zawodził, wściekaliśmy się.

Odtąd konieczne wydały się nam ulepszenia. Coraz nowocześniejsze, doskonalsze wersje wszystkiego.

Z pierwszym telefonem komórkowym było tak jak z komputerem – więcej kłopotu niż pożytku. Ciężki, duży, z twardą antenką, nie mieścił mi się w kieszeni. Na malutkim wyświetlaczu widać było najwyżej cztery słowa – żeby przeczytać całą wiadomość SMS, musiałam czekać, aż wyrazy same się przesuną. Chciałam mieć komórkę nie dlatego, że potrafiła coś, na czym mi zależało. Początkowo nie wiedziałam nawet, do kogo z niej dzwonić. Ale starałam się być na czasie – wielu znajomych już nosiło przy sobie telefony, najczęściej w specjalnych obwolutach albo skórzanych saszetkach przy pasku od spodni. Dbaliśmy o te telefony jak o dotychczas znane nam maszyny. Nie wiedzieliśmy, że cnota trwałości właśnie przemija. I że jednorazowość, łatwa wymienialność oraz krótkie życie urządzeń staną się nową normą.

Telefony były drogie, podobnie jak rozmowy i wysyłanie wiadomości, a jednak natychmiast straciły status luksusowych gadżetów. Uznaliśmy je za niezbędne, choć dotąd świetnie się bez nich obywaliśmy. Nie wystarczyło jednak mieć telefon, należało go również co pewien czas wymieniać na nowszy – wtedy nawet częściej niż obecnie, bo udoskonalenia szły szybko, a za nimi gnały trendy. Przez kilka lat panowała mania miniaturyzacji – aparaty były coraz mniejsze, niemal jak pudełka zapalek. Pamiętam koleżanki, które pisały SMS-y kantem paznokcia, bo opuszkami nie mogły trafić w przycisk. Pozbywaliśmy się dużych aparatów, płaciliśmy za pomniejszone. Nikomu nie przyszło do głowy spytać, czy nowsze naprawdę znaczą lepsze. Skupialiśmy się na aktualizowaniu. Ten proces trwa – teraz panuje moda na modele z dużymi ekranami, większe nawet i mniej poręczne niż archiwalne egzemplarze z lat dziewięćdziesiątych. Nabywamy je z niezmiennym przekonaniem o wyższości nowych wersji nad minionymi. Przyjmujemy za pewnik, że technologia wie lepiej, choć jednocześnie narzekamy na konieczność uczenia się języka nowych urządzeń i przymus lubienia ich od nowa. Przedwcześnie, a często wbrew sobie, żegnamy sprawne sprzęty tylko dlatego, że istnieją już ich młodsze wersje.

Przyzwyczajiliśmy się do postępu i zmiany, więc pokładamy coraz większą nadzieję w sztucznej inteligencji. Mój mądry telefon nazywa się smartfon i jest połączeniem wielu narzędzi, które kiedyś stanowiły osobne światy: maszyny do pisania, komputera, aparatu fotograficznego, telefonicznego, zegara, notesu, kalendarza, książki teleadresowej, mapy, telewizora, radia, magnetofonu. Jest wszechstronny i zachłanny – sprawił, że wszystkie te urządzenia okazały się zbędne. Powierzam mu swoje sekrety, osobiste i intymne sprawy, które w języku sprzedawców są „spersonalizowanymi ustawieniami” i „pakietami danych”. Mój gładki ekran, który z bezwiedną czułością często gładzę kciukiem, posiada ważne kompetencje, jakich rzekłam się na jego rzecz. Wyzbywam się samodzielnego myślenia, szukania odpowiedzi – zlecam je oprogramowaniu ukrytemu pod sympatycznymi ikonami. Ono prowadzi mnie do najbliższej czynnej apteki, udziela odpowiedzi na pytanie „jak upiec chleb razowy”, pamięta numery telefonów do przyjaciół, odbiera dziesiątki impulsów i wiadomości. A przecież umiem, umiałam wszystko to zrobić sama. Albo, co ważniejsze, z pomocą drugiego człowieka.

Wyłączenie telefonu, niedawno jeszcze traktowane jako synonim odpoczynku, jest teraz niepokojącym sygnałem. Odbiera, odpisuje – znaczy: żyje. Numer poza zasięgiem, połączenie niemożliwe do zrealizowania – oho, stało się coś złego. Telefon skradziony, uszkodzony lub zgubiony – katastrofa, koszmar. Utrata zapisanych w nim danych wywołuje panikę, poczucie brutalnego odcięcia, bliskie unicestwieniu. Ponieważ kontaktuję się z innymi znacznie częściej poprzez urządzenia niż fizyczną obecność, wrażenie, że nie istnieję, jest zasadne. Eksportuję do telefonu ważną część swojej tożsamości. Nieustannie odżywiam go nowymi treściami. Niepostrzeżenie przenoszę punkt ciężkości – to ja służę jemu. Z wyjątkiem upragnionych chwil przerwy – weekendów, urlopów, ucieczek – już nie umiem bez niego żyć. A on beze mnie? Kto wie. Na wszelki wypadek przepisuję wszystkie numery do zwykłego notesu. Tego samego od lat. On pamięta naprawdę – przechowuje wszystkie, nawet nieistniejące już kontakty

i przerwane związki.

Teraz sprzęty nie pachną, a szkoda. W moim dzieciństwie wszystkie miały bardzo szczególne zapachy. Dawały znak, że są – jakieś, w lepszej lub gorszej formie. Gdy silnik odkurzacza zaczynał niepokojąco smrodzić, to jakby mówił: „Moi drodzy, źle się czuję”. Przystawiona zbyt blisko przemoczonych butów farelka donosiła: „Hola, hola – bo się stopię!”. Włączony na poranny program 5–10–15 telewizor rozgrzewał się powoli, coś mu tam z tyłu trzaskało, a obudowa ze sztywnego tworzywa rozsiewała zapach wolnej soboty. Najpiękniej i najbardziej obiecująco pachniał mały projektor, który tata ustawiał wieczorem na książkach, żeby snop światła trafił akurat w niezagracony kawałek ściany. Kładliśmy się z bratem obok, obserwując rozjaśnione od środka pudełko i wirujące wokół drobinki kurzu. Tata wsuwał małą kliszę z bajką i obracał pokręteł. Na ścianie pojawiał się kadr – zwykle krzywo, do góry nogami, od końca. Wyciągał, poprawiał. Projektor mruzczał zadowolony, robił się gorący. Im dłużej trwał seans, tym mocniej pachniał. Pierwsze w naszym życiu kolorowe ruchome obrazy – historie o cwany lisie i naiwnym kuku, Winnetou, Misiu Uszatku oraz rajdzie safari – odurzały nas mieszanką woni ciepłego plastiku, celulozoidu i dywanowego kurzu.

Czarno-biały telewizor zastąpiliśmy kolorowym dokładnie w dniu moich piątych urodzin. Nowy nazywał się Neptun 505 i miał z przodu małą klapkę, pod którą mieściło się kilka przycisków oraz suwaków. Rodzice surowo zabronili tam grzebać. Ale odsuwałam czasem klapkę, żeby sobie popatrzeć. Wobec urządzeń jesteśmy zawsze jak dzieci, które nie mogą oprzeć się ciekawości. Zaczepiają elektroniczne narzędzia z tą samą nadzieją, z jaką ciągną mamę za rękaw, a psa za ogon. Chcą być razem i żeby ktoś się z nimi pobawił. Zaprzyjaźniony dwulatek, który niedawno u mnie gościł, podbiegł do wyświetlającego bajkę telewizora i przytulił go. Niestety, ekran nie odwzajemnił uczucia – pozostał niewzruszenie płaski.

Na co dzień emituje z siebie obraz w wysokiej rozdzielczości, o barwach ostrzejszych niż rzeczywistość. Jego producent założył, że świat to dla mnie za mało – na pewno pragnę widzieć więcej, wyraźniej i bardziej kolorowo. Zapewnił nadperfekcję.

Na jednej z pierwszych fotografii siedzę na nocniku. Nagusieńka i szczęśliwa. Trzymam misia – dużego Uszatka. W tle kawałek pokoju. Zdjęcie na pewno zrobił tata swym radzieckim aparatem, który nosił w skórzanym pokrowcu zapinanym na mocne zatrzaski. Aparat był z nami przez trzydzieści lat. Zdjęcie jest czarno-białe, ale ja wszystko wiem: nocnik był ciemnożółty, moje włosy – zupełnie jasne, miś – ciemnobrązowy z pomarańczowymi uszami, a spod pachy (czego na zdjęciu nie widać) wysypywały mu się styropianowe kuleczki, przez co robił się coraz chudszy.

Niedoskonałość obrazu niczego nie odbiera. Uruchamia wspomnienia, by dopowiedziały, co znajduje się poza kadrem. Tam po prawej musi być moje łóżeczko z beżowymi szczebelkami. Niebieska pluszowa kaczką z długą sierścią i jej koleżanka – żółta małpa – na pewno siedzą w pokoju obok, na wersalce. Jest wieczór, zaraz zostaną zabrana do kąpieli. Do wanny wskoczy ze mną szczoteczka w kształcie żółwia. Mama umyje mi włosy pachnącym szamponem Bambino, będę robić z piany porcje lodów i podawać jej do niby-zjedzenia. A potem postawi mnie na koszu z brudną bielizną, wytrze całą wykrochmalonym ręcznikiem w granatowo-czerwone prążki. W radiu zacznie się *Supetek – audycja dla młodszych słuchaczy*. Ale wcześniej powtórzmy jeszcze: „Czarna krowa w kropki bordo mełła trawę, kręcąc mordą” oraz „Król Karol kupił królowej Karolinie korale koloru koralowego”. Ostatni był „wyrewolwerowany kaloryfer”, po nim – świeża piżama i suszenie włosów. Wychodziłam z ciepłej, wilgotnej łazienki i biegłam do radia.

Do jednej, niewyraźnej fotografii można dopowiedzieć całe życie. Doskonalsze zdjęcia, które robiliśmy później, zamykają mi usta. Nie mam przy nich wiele do dodania. Obraz jest tak ostry i niepodważalny, że brakuje okazji do domysłów i dla płatającej figle pamięci, która tyleż rejestruje, ile zmyśla przeszłość.

Tata radził sobie z aparatem. Nauczył się robienia zdjęć jeszcze w technikum, na zajęciach kółka fotograficznego. Miał zorkę w ciężkim, skórzanym futerale. Coś w niej naciągał i przestawiał w zależności od tego, czy dzień był słoneczny, czy nie. Lubił fotografować, ale wcale nie mieliśmy dużo zdjęć. Najstarsze, jeszcze z młodości rodziców, były wklejone do albumów. Nowsze, opisane na odwrocie, łądowały w kopertach. Musiałam je często oglądać, bo wszystkie pamiętam, znam wyrazy twarzy, meble i ludzi w tle. Miałam czas się przyjrzeć.

Późniejsze fotografie są brzydsze, mimo że pokazują różne kraje i nas w otoczeniu słynnych zabytków. Jesteśmy kolorowi, nedorzecznie ubrani w krzykliwe stroje lat przełomu – seledyny, pomarańcze i fiolety. Jesteśmy też chyba zbyt zajęci, bo zapominamy utrwalać życie rodzinne, zwyczajne chwile – zdjęcia stają się odświętne, wigilijno-turystyczne. Wypełniają wielkie albumy z foliowymi przegródkami. Łączą je sztampowość i brak precyzji – robiliśmy je automatycznymi „małpami”, które same nawijały kliszę na rolkę, odnajdowały ostrość i decydowały, czy włączyć lampę błyskową. Mamy więc czerwone oczy łpiące z półmroku muzeów i bazylik oraz rozmazane twarze ocienione przeciwslonecznymi kapeluszami.

Wszystkie późniejsze zdjęcia zgromadzone są w komputerowych folderach. Brat ambitnie ruszył w ślady taty i kupił cyfrową lustrankę – była krzykiem mody dla zaawansowanych, gdy przez kilka lat wierzyliśmy, że technologie zbliżą nas do profesjonalistów, poprowadzą do doskonalszego funkcjonowania. Z czasem ciężkie, niełatwe w obsłudze aparaty znów ustąpiły zautomatyzowanym miniaturom, które spełniały – taniej i prościej – najważniejszą funkcję: zatrzymywały chwile.

Wystarczyło pstrykać, bez ograniczenia i bez namysłu nad tym, czy utrwalamy coś faktycznie wartego pamiętania. Mogliśmy być zachłanni, bo już nie zużywaliśmy trzydziestu sześciu klatek błony fotograficznej. Pojemne karty pamięci pozwalały wracać z wyjazdów z tysiącami zdjęć. Programy komputerowe pomagały je czyścić, obrabiać, ulepszać. Zaproszeni na seans przyjaciele i krewni oglądali maratony zdjęć na płaskoekranowych telewizorach, rzutnikach, monitorach. Te pokazy trwały, wciąż trwają, godzinami. Zawierają ciągi niemal identycznych kadrów. Z trudem je przebieramy, nie wiemy, co odrzucić, a co zachować. Dopóki nie brakuje miejsca na pliki, namnażamy archiwa. A im więcej ich mamy, tym rzadziej po nie sięgamy, bo komu chciałoby się przekopywać przez te stosy. Dyski pamięci zewnętrznej i „półki” w wirtualnej chmurze są jak niekończące się altanki i pawlacze – przechowują więcej, niż potrzebujemy pamiętać. Nie pozwalają przenieść przeszłości tam, gdzie jej miejsce – do wspomnień, które olśniewają, przychodzą nieproszone, a czasem bołą.

Technologia zmieniła sens fotografowania. Teraz nie jest już ono funkcją wspominania, tylko elementem przemysłu informacji. Zdjęcia robię telefonem komórkowym i natychmiast przesyłam, udostępniam, publikuję. Cyfrowe ujęcia rejestrują moment, więc ich wartość leży w aktualności. Te sprzed minuty wydają mi się cenniejsze niż te sprzed roku. Zupełnie odwrotnie niż dawniej. Stwierdzenie, że wartość rośnie z czasem, nie jest wcale dobrym opisem naszej rzeczywistości. Dzięki zdjęciom – gorącym, jeszcze żywym – udaje się funkcjonować równoległe z pędzącym czasem, dościgać go. Ta natychmiastowość nie ma jednak nic wspólnego z trwałością.

Mówi się, że w internecie nic nie ginie. I że ginie w nim wszystko. Nasze zdjęcia, udostępnione wirtualnym widzom, składowane w cyfrowej chmurze, jednocześnie są i nie są. Być może w przyszłości posłużą do odtworzenia naszych biografii. Może już teraz trafiają do osobistych akt, kompilowanych z fragmentów danych i śladów, które zostawiamy, poruszając się w – znamienne słowo – sieci. Ale jeśli nie

zapisaly się w nich drogie chwile, warte snucia wątki, czy nie pozostaną jedynie świadectwem trywialności, jaką sami na siebie sprowadziliśmy?

Jedną z niewielu rzeczy, jakie zachowałam z lat osiemdziesiątych, jest skarbonka. Pojemnik na pieniądze, które z namacalnych i gromadzonych sojuszników dziecięcych marzeń przeistoczyły się tymczasem w abstrakcyjne, wędrujące symbole.

Ciocia Ela nie była wcale moją ciocią, tylko przyjaciółką sąsiadów. Przyjeżdżała z Łodzi rzadko, bardzo ją lubiłam. Podarowała mi gumowego kota. Można było wsuwać mu do brzucha pieniądze i równie łatwo je wyciągać. Kot, niemiłosiernie wypchany monetami, których nie zdążyłam wydać podczas podróży zagranicznych, nadal mi służy. Z socjalistycznej rzeczywistości przetrwały głównie podobne mu bibeloty – żółta sarenka ze złamaną nogą, gumowe figurki Muppetów, dwie szklane kulki. Nie mogły stracić na wartości, bo nigdy jej nie miały. Dziś również „nie oddałabym ich za żadne pieniądze”, zresztą nikt by ich nie kupił. Czasem myślę, że są jedynym kawałkiem mojego życia niepoddanym inflacji, dewaluacji, denominacji, rewaloryzacji, żadnemu oprocentowaniu, notowaniu, słowem – spieniężeniu.

Ich walor leżał w rzadkości, na skalę naszego osiedla były z pewnością unikatowe. A tam obowiązywała wymiana: paczka kapiszonów za procę, dwie piłeczki pingpongowe za paczkę kolorowej kredy do rysowania na asfalcie, paletki do badmintonu pożyczone na godzinę w zamian za rower. Wszystkim, co cenne, obracaliśmy, nie mieszając w to pieniędzy. Wiedzieliśmy, że można za nie kupować, tylko nie bardzo było co.

Kilka lat po transformacji pieniądze zrobiły się cięższe, porządniejsze. Z tymi nowymi złotówkami z miedzioniklu już nie chodziliśmy na tory. Nie robiły wrażenia zabawek – miały wagę i znaczenie. Poza tym wiedzieliśmy, że polskie finanse są w złym stanie i mają zostać uleczone. W telewizji słyszeliśmy, że wymagają głębokich reform, w domach – że teraz liczy się każda złotówka. Moja ciocia ze Śląska mówiła nawet: każdy grosz. Na regale w dużym pokoju stanęła książka Leszka Balcerowicza *800 dni. Szok kontrolowany*. Rozumieliśmy dość, by dostrzec, że pieniądze i ceny znalazły się w centrum uwagi. I że wszystko od nich zależy.

W tym, jak wydawali je rodzice, była nerwowość, niepewność realnej wartości. Przestali ufać banknotom. Gdy jeździłam z mamą do Domów Centrum albo na plac Dąbrowskiego, gdzie działały największe sklepy z podręcznikami, mijałyśmy lombardy, zakłady jubilerskie i kantory. Oraz facetów w brzydkich skórzanych kurtkach, z małymi saszetkami. Krążyli, powtarzając pod nosem: „Marki, dolary kupię, marki, dolary sprzedam”. Cinkciarz, naciąg się, podróbka – dźwięczy mi w głowie słowniczek wczesnego kapitalizmu.

Jeszcze zanim dotarliśmy do zatłoczonej księgarni, zaczepiali nas sprzedawcy, którzy na łózkach polowych i stolikach turystycznych mieli podręczniki – nowe, używane, w lepszej cenie, którą pisali ołówkiem na okładce. W ścisłości i pośpiechu decyzje zapadały raz-dwa, a pieniądze szły z ręki do ręki. Szybko, ukradkiem. W tym ulicznym handlu było coś zakazanego, dzikiego, ale i ekscytującego. Resztę sprzedawcy wydawali z noszonych w pasie „piterków” i wygrzebywali z kieszeni – wręczali klientom pomięte, brudne pieniądze. W tym zamieszaniu łatwo było zyskać i stracić gotówkę, w każdej chwili mogła zostać ukradziona. Portfele nosiło się dobrze ukryte, mocno przyciskając je do ciała, a mimo to ginęły. W oknach parterowych domów pojawiły się kraty, w samochodach alarmy, a na kierownicach – blokady. Jeśli ktoś coś posiadał, nie spał spokojnie.

Mama nie cierpiała kupowania na ulicy, mówiła o nim: „Obrzydliwa szarpanina”. Na początku wyszarpywaliśmy wszystko, również ubrania, jedzenie, kasety, budziki, szczotki do włosów. Łóżko na

chodniku, przyklejona do czegoś budka – handlowa partyzantka. Na każdym kroku współtworzyliśmy niekontrolowany obrót gotówki, wybuchła niepohamowana chęć nabywania. Zorganizowane kolejki społeczne przed transformacji przemieniły się w chaotyczne, drapieżne chmary.

Nie na długo jednak. W połowie lat dziewięćdziesiątych nastąpiło monetarne przemeblowanie – zamiast „zł” pisaliśmy „pln”, złotówka mogła więcej. Pojawiły się nowe banknoty. Oglądałam je pod światło, wypatrując znaków wodnych. Wydały mi się ładne, ale jak wszystkim – niegodne zaufania. Ekspedientki ze srogimi minami wsuwały je pod lampki ultrafioletu, wyczuwały palcami tłoczenia i dopiero gdy pieniądz zdał egzamin, otwierały kasę.

Zaczęła się stabilizacja – za prawie wszystko, co kupowałam, dostawałam rachunek. Mama, która pracowała wówczas w Państwowej Inspekcji Handlowej, wyjaśniła, że mam prawo domagać się paragonu. Opowiadała czasem, jakie stosy zażaleń od konsumentów i producentów rozpatrują w biurze, bo razem z nowymi standardami powstawał nowy chłam. Uspokajała mnie myśl, że grupa wyspecjalizowanych dorosłych porządkuje ten bałagan. I zbliża nas do światowych standardów.

Mniej więcej wtedy pieniądz zaczyna znikać z mojej pamięci: banknoty i monety zamazują się, przestają być namacalne. W ich miejsce pojawiają się pierwsze własne konto i karta do bankomatu, używana lękliwie, bo a nuż maszyna ją połknie i zostanę z niczym. Potem przelewy elektroniczne, kupowane przez internet bilety lotnicze, codziennie wstukiwane piny i kody, czytniki piszczące po zbliżeniu karty. Coraz mniej obaw, coraz mniej uważności – dziesiątki paragonów zginiatanych bez sprawdzania, setki niezapamiętanych, niedostrzeganych nawet cen.

Pieniądze stały się niewidoczne, niedotykalne, a jednocześnie udało im się przeniknąć niemal wszystko. Teraz nie mieszkają w monetach i banknotach, są ukryte w obrazach, komunikatach, słowach, markach. Wciąż mutują, przyjmując coraz mniej zrozumiałe wcielenia – są zakłete w czasie, którego mamy wciąż za mało, i w związkach między ludźmi, które nieraz przypominają transakcje. Zdarza mi się kupować sprawy, zdarzenia i usługi, których nie potrafię nazwać, a czasem wcale ich nie potrzebuję. Zostały mi wypowiedziane, a może wmówione. Zarobi na nich ktoś lub coś, nie wiadomo gdzie – płacę pośrednikom, podwykonawcom, operatorom. Co naprawdę dzieje się z pieniądzem – nie wiem. Płynie dokądś za pośrednictwem urzędów, których uczciwości ufam, nie mam w tej kwestii wielkiego wyboru.

Dopóki czujemy, że pieniądz jest nieograniczenie dostępny, wystarcza sama świadomość jego istnienia. Ale każda obawa przed niedostatkiem i brakiem każe go na powrót konkretyzować – gdy rośnie niepokój, cieszą się kantory, zakłady jubilerskie i lombardy.

Mój gumowy kot skarbonka, wypchany po uszy bezwartościowymi drobnymi, uśmiecha się niezmiennie. Jemu jest wszystko jedno.



**TEREN WOJSKOWY
WSTĘP WZBRONIONY**

**MILITARY AREA
KEEP OUT NO ENTRY**

**MILITÄRZONE EINTRITT
VERBOTEN**

**ВОЕННАЯ ЗОНА ВХОД
ЗАПРЕЩЕН**

4

Romans europejski

Wybiła północ, zaczął się 1 maja 2004 roku. Wyszliśmy do ogrodu. Cisza, bezchmurne niebo kilkanaście kilometrów od Warszawy, teraz oficjalnie unijnej. I my – czworo dorosłych już dzieci urodzonych w 1980 roku, które ponad połowę dotychczasowego życia spędziły, wchodząc do Europy. Tata przyjaciółki przystawił drabinę do drzewa, wspiął się i uroczyście zatknął wysoko flagę – lazurową, z dwunastoma gwiazdami ułożonymi w okrąg. Nie trzepotała. Staliśmy bez słowa, wzruszeni, z kieliszkami pełnymi szampana. Ale to nie była wielka chwila. Naprawdę wielkie było oczekiwanie.

Przez piętnaście lat nie mieliśmy niczego ważniejszego. Niczego ponad pukanie do jej drzwi, stanie na progu z nadzieją, że nas wpuści. Wbrew geografii, która plasuje nas w samym jej środku, w naszych umysłach Europa istniała jedynie na zachód od Odry i Nysy, na zachód od wszystkiego, czym byliśmy. Czekaliśmy więc, odwróceniu tyłem do własnej przeszłości, do znieawidzonego Wschodu, wpatrzeni w nią, nową patronkę Polski, naszą pocieszycielkę i wybawicielkę – Unię Europejską.

Dla mnie kurs na Zachód zaczął się w 1990 roku, razem z pierwszą lekcją angielskiego. Trwał już wyścig po wiedzę. Kto nie nadążał, zostawał z błyskawicznie rosnącym rachunkiem strat. Koledzy z osiedla chodzili na dodatkowe kursy szybkiego czytania, rysunku, pływania, gry w tenisa lub szachy, tańca nowoczesnego, ale przede wszystkim języków obcych. Dwa razy w tygodniu wędrowałam na lekcje, niosąc pod pachą zieloną teczkę z naklejką pokazującą dwie skrzyżowane flagi: polską i europejską.

Nauczycielka była kostyczna i zupełnie nietypowa. Jako jedyna w okolicy regularnie podróżowała za granicę, do pracy. Nie rozumiałam, czym się zajmuje, ale w pokoju, w którym mnie przyjmowała, stała miniaturka londyńskiego *double-deckera* i to w zupełności wystarczało mi za dowód jej kwalifikacji. Zaczęłam od alfabetu i zdania „*My name is...*”, zapisanego w kwadratowym zeszycie w kratkę, wyprodukowanym jeszcze w ZSRR. Pierwsze angielskie słowa, pierwszy pies – *a dog*, pierwsze krzesło – *a chair* i pierwsza zieleń – *green*, notowałam z wyjątkową ostrożnością. Nie chciałam zrobić błędu w obawie, że obce wyrazy nie pozwolą się oswoić i nie pomogą nazywać dalekiego świata. Nauczycielka okazała się wymagająca, systematyczna i skuteczna – gramatyczne konstrukcje do dziś stoją na baczność w mojej pamięci: formuły zdań w czasie przyszłym, teraźniejszym, przeszłym i zaprzyszłym. Byłam fanką *present perfect*, przede wszystkim ze względu na jego nazwę – „perfekcyjna teraźniejszość”.

Akcent ćwiczyłam z bohaterami serialu telewizyjnego *Dynastia*. Nagrywałam odcinki na kasety magnetofonowe i wielokrotnie wsłuchiwałam się w miękkie „r” w imieniu Krystle oraz egzaltowane „*Oh, don't be ridiculous!*”^[1] padające z różowych ust Alexis popijającej szampana w wannie. Do wkuwania angielskich form zaprzyszłych najbardziej motywowała mnie jednak muzyczna stacja MTV. Zaczynałam coraz więcej rozumieć z programów telewizji kablowej, którą kupili udęczeni prośbami rodzice. Był to zresztą wydatek nieuchronny, wkrótce wszystkie balkony oplecione zostały grubymi białymi kablami.

Pędziliśmy z kolegami po szkole przed ekran, żeby raz jeszcze zobaczyć ponury wideoklip *Smells Like Teen Spirit* Nirvany. Dnie i wieczory z nosami w telewizorze, gdy z niemal religijną fascynacją wchłanialiśmy zagraniczne obrazy, stroje, zdania, postaci. Nie pamiętam, żeby mnie ktokolwiek przeganiał do biurka i podręczników. Może rodzice byli zbyt zajęci, może szybko zauważyli, że gapienie się jest nauką nie mniej wartościową niż geometria. Moimi telewizyjnymi profesorami byli prezenterzy muzyczni, amerykańscy raperzy wykładający szybkim slangiem, rubaszny Jay Leno i jego *The Tonight Show* w NBC,

komentatorzy ligi NBA porozumiewający się wykrzyknikami, wreszcie przemawiające nienaganną angielszczyzną prezenterki serwisów BBC. W jaskrawych żakietach i garsonkach, patrzyły z profesjonalną wyższością – emisariuszki wysyłające milionom widzów niecierpiące zwłoki wiadomości.

Byli też bohaterowie seriali i ukochani zagraniczni muzycy – wypowiadali efektowne frazy, filozoficzne sentencje i zwięźle wyrażone prawdy życiowe. Wszyscy oni wprowadzali do świata, którego znajomość miała się później okazać bezcenną kompetencją towarzyską, zawodową i światopoglądową. Zagraniczna telewizja była fantastyczną szkołą – wszechświatem aspiracji, galaktyką idoli. Pomagała wychować pokolenie, które nie zadowalało się tym, co ma. Horyzont naszych marzeń leżał zawsze gdzieś dalej.

O opuszczaniu prywatnych lekcji angielskiego nie było mowy. Rodzice okazali się w tej sprawie nieubłagani, rozumiejąc, że nieznanostwo tego języka grozi społecznym i zawodowym kalectwem. Usuwanie przeszkód i otwieranie szeroko drzwi wszelkim możliwościom uważali za swój rodzicielski, ale też pokoleniowy i historyczny obowiązek. Nauka angielskiego to był pierwszy krok do schwywania szansy, przed którą – co nam często powtarzano – stoimy. W uporze dorosłych kryły się nie tylko miłość i dalekowzroczność, ale też strach, że mogłoby ominąć nas coś wspaniałego, co oni sami już stracili. Podróże, piękne miejsca, spotkania, międzynarodowe znajomości. Oglądanie, bywanie, chłonięcie świata bez lęku i kompleksów. Śmiało, swobodnie poruszanie się wśród ludzi, dla których nie jesteśmy ubogimi krewnymi, ale partnerami. Mieliśmy w przyszłości żyć z poczuciem, że wszędzie – od Berlina po Los Angeles – jesteśmy u siebie.

Uczyliśmy się za dwa pokolenia. Nasza edukacja miała zasypać półwieczną wyrwę, nasze powodzenie – stanowić rekompensatę za perspektywy odebrane rodzicom. My nie szliśmy co rano do szkoły – szliśmy na Zachód. Coraz bardziej kompetentni i lepiej wyposażeni. W pierwszym szeregu, ciekawi wszystkiego, jak tarcze dorosłych. Byli tuż za nami, podtrzymywali na duchu, dopingowali. Wspierali, ale też pozwalali się osłaniać. Wiedzieli, że dla nich na wiele rzeczy jest już za późno. A my przyswajamy nowe umiejętności chętnie, czasem bezwiednie. Dlatego każda nasza zdobycz: angielski certyfikat czy skończony kurs komputerowy uspokajały ich i potęgowały satysfakcję, bo razem z nami pokonywali kolejne etapy nowoczesności. Oni dawali zasoby, my – wysiłek. Razem inwestowaliśmy w lepszą przyszłość.

Po latach dzwoniłam do rodziców z uniwersytetu w Kalkucie i z londyńskiej galerii Tate. Wysyłałam SMS-y z Manhattanu i pocztówki z Paryża. Pisałam e-maile z forum florystycznego na Tajwanie i dwudziestego piętra hotelu w Szanghaju. Chciałam, żeby wiedzieli, że się nam udało. Że biorę świat garściami, za siebie i za nich, tak jak zapowiadali.

W połowie lat dziewięćdziesiątych w naszym miasteczku nie było szkoły średniej. Mogłam pójść do liceum oddalonego o dwie stacje na wschód albo uczyć się dalej – w centrum Warszawy. Przyjaciele zdecydowali się zostać, mnie wciągnął europejski wir. Cały kraj przemieszczał się na zachód, a ja z nim.

Wybrałam szkołę położoną blisko torów kolejowych linii wschód–zachód, która przez następne dziesięć lat będzie pozostawała najważniejszą osią polskich przemian. W folderze informacyjnym znalazłam ustęp o najsłynniejszych wychowankach liceum: Tadeuszu Kotarbińskim, Melchiorze Wańkowiczu i Jerzym Giedroyciu, ale też wzmiankę o tym, że budynek został wyposażony w domofon, co miało chyba dowodzić technologicznego zaawansowania. Jak wszyscy w tym czasie szkoła wykonywała szpagat między przeszłością a nowoczesnością.

Kadra pedagogiczna pękła na pół – część nauczycieli okopała się na dotychczasowych pozycjach i odmawiała transformacji, a część rzuciła się w ramiona postępu. Na lekcjach języka rosyjskiego panował

wciąż reżim i postrach, natomiast na zajęciach z angielskiego cieszyliśmy się kosmopolitycznym luzem. Na łacinie dyscyplinowały nas niewzruszone, bo od dłuższego czasu martwe, końcówki, a podczas wuefu ćwiczyliśmy modny i aktywny styl życia na nowiusieńkiej siłowni. Informatyk szykował nas do udziału w skomputeryzowanej przyszłości, natomiast polonistka wskrzeszała duchy romantyzmu. Podczas lekcji historii w nowatorskich grupach dyskusyjnych uczyliśmy się rozumienia, jak zakręty PRL zaprowadziły nas do 4 czerwca 1989 roku, ale już na fizyce tłukliśmy formuły na pamięć. W naszych głowach rosła chaotyczna informacyjna masa, ulepiona z kawałków starego i nowego.

Humanisci znaleźli się na dnie szkolnej hierarchii. Nauczyciele założyli, że nie przydamy się ani wolnemu rynkowi, ani nowym przemysłom. Wyżej notowane były klasy matematyczno-fizyczne, biologiczno-chemiczne i matematyczno-informatyczne. Ich uczniowie zostali potraktowani poważniej i wyedukowani staranniej jako potencjalni eksperci ekonomii, technologii czy farmacji. W porównaniu z nimi – konstruktorami dochodowej przyszłości – przedstawialiśmy się jako niepraktyczny balast, wolnomyśliciele bez profesji.

Nie było jasne, jak kształcić, żeby dobrze przygotować młodych na przyszłość. Trwały prace nad reformą edukacji. Albo raczej spory o to, czy mamy być uczeni samodzielnego myślenia i znajdowania rozwiązań, czy szybkiego zaznaczania gotowych już odpowiedzi: a, b, c. Nauczyciele się ścierali, rodzice żądali wyjaśnień. My doświadczyliśmy niepewności stworzeń laboratoryjnych – co rusz zdawaliśmy jakieś próbne testy, żeby dostarczyć kuratoriom niezbędnych argumentów.

Reformatorzy powtarzali, że metody i programy muszą odpowiadać realiom, a recytacje Mickiewicza lepiej zastąpić lekcjami rozumienia tekstu czytanego, bo nie zapamiętywanie, lecz umiejętne korzystanie z otaczających treści będzie lejtmotywem nowej epoki. Tradycjoniści ripostowali, że bez Mickiewicza i utrzymania dotychczasowych wymagań Polska stanie się krajem odtwórczych przeciętniaków. I jedni, i drudzy mieli trochę racji.

My natomiast nie mieliśmy nic do gadania. Staraliśmy się czegoś nauczyć pomimo toczonych nad naszymi głowami sporów. I mimo sprzecznych informacji o tym, co ma wartość, na czym się skupić. Znów byliśmy ostatni. Jako jedni z ostatnich przychodziliśmy na świat w socjalistycznych porodówkach, doświadczyliśmy kolejek po mięso i cukier, a teraz byliśmy ostatnimi rocznikami kształconymi w starym modelu. Lada moment polska edukacja miała zostać dostosowana do europejskich standardów, ale nas ta lepszość miała już nie dotyczyć.

Musieliśmy liczyć na siebie, bo nauczyciele w większości bali się przemian. Nie wiedzieli jak albo wcale nie próbowali się w nich odnaleźć, a swojej niekompetencji i kompleksów nie potrafili ukryć. Ci najstarsi ściągali lejce dyscypliny i konserwowali przykazy, chyba coraz wyraźniej czując, że ich prześcigamy. Pozostali, wystraszeni brakiem jasnych wytycznych „z góry”, na wszelki wypadek kontynuowali tylko stare wątki. Nieliczni zdobywali się na własne pomysły, prowadzili autorskie zajęcia i z nimi każde czterdzieści pięć minut stawało się bezcenne.

Rzeczywistość, media, nowości były dla nauczycieli groźną konkurencją. Pozbawiły ich gromadzonej przez lata przewagi. Oni, tak jak my, stali się widzami premierowych zdarzeń – profesor i nastolatek siedzieli w jednym rzędzie, na równi zaskoczeni. Jak uczyć, skoro samemu jest się także uczniem? I czego uczyć, gdy dzieci tak wiele same chwytają w lot?

Ta ich słabość nie była nam na rękę. Szukaliśmy wsparcia dorosłych, którzy w rozwibrowanym świecie potrafiliby stać jak skała i podarować na drogę jakąś mądrość. Zamiast wiedzy wkładali nam jednak do plecaków przypadkowe treści. Lata transformacji były początkiem trwającego do dziś deficytu

autorytetów. Pojawiła się góra dylematów i trudnych decyzji do podjęcia. Zawsze większa niż liczba chętnych, by się z nimi mierzyć. Poszukiwano nowych ludzi na nowe czasy, a starzy mędrcy wędrowali do kąta, jako niedzisiejsi. Pojawili się młodszy – z wizją, wiedzą i energią albo arogancją, tupetem i łutem szczęścia. Na gruzach dawnej hierarchii zaczęła wyrastać jej chybotliwa i pokrzywiona następczyni.

Odsiadaliśmy godziny lekcyjne uwięzieni w systemie edukacji, która zaprzeczała wszystkiemu, co działo się wokół. W martwej ciszy Muzeum Narodowego przerysowywaliśmy sylwetki atletów z antycznych waz. Ale w telewizji podziwialiśmy inne ikony piękna: czarnoskórą Naomi Campbell, Lindę Evangelistę i Cindy Crawford – słynne supermodelki z teledysków George’a Michaela. Na geografii poznawaliśmy zagłębia rybołówstwa, gdy czytane pod ławką gazety donosiły, że upadają kopalnie węgla, a Amerykanie i Brytyjczycy bombardują bogaty w złoża ropy Irak. „Ostatnia szansa Saddama!” – krzyczały.

Odkąd w 1990 roku niemiecka grupa The Scorpions nagrała przebój *Wind of Change*, każde dziecko wiedziało, że zimna wojna się skończyła. Tylko nie emerytowany major, nasz nauczyciel przysposobienia obronnego. Przemierzał szkolne korytarze w spodniach khaki, wojskowych półbutach z brązowej skóry, z krzyżem wpiętym w kamizelkę i biało-czerwoną szarfą na ramieniu. Farbował włosy na rudo, patrzył zawsze pod nogi i marszczył obfite brwi. Ciało majora było co prawda obecne przy biurku – patrzył, jak zakładamy i zdejmujemy maski gazowe oraz bandażujemy się nawzajem stylem jodełkowym – lecz w jego głowie wciąż toczyły się walki sprzed lat. Pograżony w myślach, składał hołd żołnierzom poległym w bitwach na Westerplatte, nad Bzurą, w obronie Wizny, pod Tobrukiem, Grodnem, Kałuszynem i Monte Cassino. Zabierał nas przed Grób Nieznanego Żołnierza, kazał odczytywać na głos kamienne tablice, zapamiętywać daty i miejsca starć. Później nas sprawdzał, urządzając niezapowiedziane klasówki.

Na zakurzonym strychu, w pozycji zaliczeniowej leżącej, strzelaliśmy na jego rozkaz do papierowych wrogów. Ciężkie kolby karabinów kbks pamiętały lata pięćdziesiąte XX wieku. A tymczasem w Zatoce Perskiej, Dubrowniku, Mostarze i Srebrenicy w użyciu była znacznie bardziej poręczna i śmiertelna broń. Na szczyty europejskich list przebojów weszła nagrana przez U2 i Luciano Pavarottiego *Miss Sarajevo* – wstrząsająca piosenka o dzieciakach takich jak my, umierających w oblężonym bośniackim mieście.

Maturę pisaliśmy w maju 1999 roku. Kończyła się wojna na Bałkanach. Wojna potworna, toczona w demokratycznej i sojuszniczej Europie, tuż pod nosem oddziałów NATO. Czekałam na egzamin w korytarzu, czytając gazetę. Na pierwszej stronie „Rzeczpospolitej”, która właśnie tego dnia przeszła na kolorowy druk, czerwieniły się flagi walczącego o niepodległość Kosowa.

Dwa miesiące wcześniej Bronisław Geremek, minister spraw zagranicznych, spełnił nasze wielkie marzenie. W miejscowości Independence w stanie Missouri wręczył Madeleine Albright, amerykańskiej sekretarz stanu, akt przystąpienia Polski do Sojuszu Północnoatlantyckiego. Tata wyciągnął wtedy z pawlacza wazon zrobiony na dwudziestą rocznicę powstania Układu Warszawskiego. „Masz, córuś, to już relikw” – powiedział z satysfakcją.

Wymazywaliśmy trzymające nas w stalowym uścisku sojusze. Zdobyliśmy pierwszy z dwóch dowodów na przynależność do Europy – członkostwo w NATO. Drugim miało być przystąpienie do Unii Europejskiej, której nazwę najwyższe osoby w państwie wymawiały z namaszczeniem. Była rajem na ziemi, obietnicą, wróżką z baśni, a dopiero potem realną instytucją mającą zabezpieczyć nasz rozwój gospodarczy. W owym dążeniu do otrzymania obu świadectw – obronnego i cywilizacyjnego – było coś definitywnego. Nikt nie traktował poważnie przeciwników marszu na Zachód. Ich protesty trafiały do jednego worka jako groteskowa awantura, niedorzeczna próba zawrócenia czasu, przejaw ksenofobii,

zacofania. W rozmowach domowych, knajpianych dyskusjach i debatach politycznych taki opór uchodził za głupotę, zaprzaństwo, szaleństwo. Wszyscy, których znałam, chcieli wchodzić, a dyskutowali wyłącznie o tym, jak to zrobić. Dominowała opcja: jak najprędzej.

Patrzyliśmy z przyjaciółmi na pokazywane w telewizji demonstracje przeciwników Unii Europejskiej, przeciwników aborcji i restrukturyzacji przedsiębiorstw. Zlewały się w jedno. Wygrające pięści, buńczuczne okrzyki, płonące opony, zboże rozsypane na torach – dowody wściekłości. Kręciliśmy głowami z mieszką zażenowania i litości. Tak jak się współczuje komuś, kto jeszcze nie pojął, że przegrał. Wydawało się oczywiste, że w sporze o to, czyja bardziej będzie ta nowa Polska, to my musimy być zwycięzcami. Cywilizacyjna racja stanu leżała po naszej stronie.

Naprzeciw wybuchów antyeuropejskiej fobii był ogromny pośpiech, z jakim lgnęliśmy do naszych niesprecyzowanych wyobrażeń. Decyzja o kursie europejskim została podjęta na przekór niewiedzy o tym, jak wygląda życie po drugiej stronie podniesionej kurtyny. Panowała pewność, że będzie lepsze. I że nie ma innej drogi. Na wschodzie postradziecka klęska, na południu postjugosłowiańska wojna, na północy oddzielone morzem i niedosięgte skandynawskie bogactwo. Dorosłym zależało, by zabezpieczyć tyły, podpisać formalne członkostwa i przypieczętować nową, nieodwracalną przynależność do zachodniego kręgu. Słowo „Jałta” odmieniali przez wszystkie przypadki, niczym klątwę i przestrożę. Jako nastolatki mieliśmy własne powody, by się spieszyć. W Europie i Ameryce czekały nieprzebrane atrakcje. Byliśmy zajęci szykowaniem się do upragnionego spotkania. Nie znaliśmy ani strachu, ani wątpliwości.

Na studiach europejskich na Uniwersytecie Warszawskim przez pięć lat rozkładaliśmy Unię – tę cudowną istotę – na czynniki pierwsze. Kuliśmy na pamięć traktaty, procedury głosowań, kompetencje komisarzy, zasady wolnego przepływu osób, towarów i usług, różnice między Europejskim Trybunałem Praw Człowieka a Europejskim Trybunałem Sprawiedliwości. Analizowaliśmy rodzaje funduszy, systemy polityczne państw członkowskich, ich ordynacje wyborcze oraz reguły protokołu dyplomatycznego.

Całe studia odbyliśmy pod okiem teoretyków, którzy nie postawili nogi w Brukseli, Strasburgu ani Hadze. Urządzaliśmy symulacje debat Parlamentu Europejskiego. Wystrojeni, godzinami przemawialiśmy w oficjalnych językach Unii jako przedstawiciele państw członkowskich. Zabawa w udawaną politykę międzynarodową toczyła się na serio, w wynajętej sali sejmowej przy Wiejskiej. Byli goście specjalni – ambasadorowie i reprezentanci UE w Polsce. Wygłaszali życzliwe przemówienia i gratulowali, upewniając nas co do celowości pływania w pustym basenie.

Siódmego czerwca 2003 roku, w dniu referendum w sprawie przystąpienia Polski do Unii Europejskiej, przeszłam w makabrycznym upale kilka długich ulic New Delhi, żeby dotrzeć do polskiej ambasady i oddać głos. Złana potem i oblepiona ulicznym kurzem wyznałam Unii swą niewzruszoną miłość.

Dopiero gdy po dyplomie żaden spośród dwustu znajomych z roku nie wyjechał, by robić karierę w strukturach unijnych, zrozumiałam, że lizaliśmy cukierek przez szybę. Byliśmy odurzeni wiszącym w powietrzu euroentuzjazmem i słowami polityków, którzy właśnie nam obiecywali szczęśliwą przyszłość w międzynarodowym mariażu. Specjalizacją europejską chwaliły się wtedy wszystkie duże uczelnie, powstawały niezliczone akademie, szkoły i centra z europejskością w nazwie. Pracowały jak fabryki iluzji. Im bardziej zbliżaliśmy się do unijnych wrót, tym większy robił się ścisk – kandydatów zgłaszało się dziesięciokrotnie więcej, niż było wolnych miejsc. Powstała armia mechaników znających każdą unijną śrubkę. Świetnie wyszkolonych i zbędnych. Bo droga do Brukseli była zastrzeżona dla innych specjalistów – prawników, finansistów i tłumaczy – albo wiodła przez sukces w polskiej polityce.

Na studia dojeżdżałam już z nowej stacji kolejowej, zbudowanej w naszym miasteczku za pieniądze podarowane przez Unię Europejską. Podobne sponsorowane remonty odbywały się w całym kraju. Przestoje pociągów i tymczasowe niedogodności znosiliśmy cierpliwie, ochoczo marząc i tłocząc się w imię lepszego jutra. Dawniej mieliśmy jeden peron z dużą, nieogrzewaną poczekalnią, obronnie zakratowanym okienkiem kasy i ciężkimi drzwiami. Asfaltowe boki peronu topiły się w lipcowych upałach i ciężkie czarne falbany spływały coraz niżej ku nasypom. Drewniane podkłady pękały, gdy skakaliśmy po nich, szukając przejechanej przez pociąg złotówki.

Spodziewaliśmy się, że unijna przebudowa przeniesie nas w rzeczywistość nieporównanie piękniejszą i lepiej zaprojektowaną. Nowe podkłady były mocniejsze, bo z betonu, a perony aż dwa, rozdzielone przejazdem i szlabanem. Ale już nie dało się pogawędzić ze znajomym czekającym na pociąg jadący w przeciwnym kierunku – zamiast poczekalni stały małe wiaty obłożone przezroczystym plastikiem. Od razu zostały zamalowane sprayem, a wkrótce porozbijane. Nie ma się gdzie schować przed wiatrem i zacinającym śniegiem. Różowe płyty, z których ułożono nowe perony, zaraz zaczęły się chybotać, ozdobna kostka pozapadała się. Kasy nie zbudowano wcale. Stał kontener z okienkiem, wisi na nim kartka: „Biletów nie sprzedajemy”. Są tylko drożdżówki.

Nowe czasy przyniosły ze sobą doraźność. Życie w Europie zapowiadało zmienność i ruch, a także dobrobyt, który nie wymaga mocnej infrastruktury, bo jego właściciele stać na to, by się ciągle udoskonalać. To nie to samo co socjalizm – nieruchawa, siermiężna bestia z żelbetonu i stali, która chciała trwać bez końca.

Tyle że dodatkowych środków na remont nowej stacji nie ma. Młoda, ale zaniedbana i zniszczona, już po kilku latach prezentowała się znacznie gorzej niż jej poprzedniczka typu *gnioticsia-nie-łamiotsia*.

Prawdziwą radością okazały się natomiast nowiutkie pociągi o smukłych pyskach, tnące powietrze jak chińska kolej magnetyczna. Jeździ się szybciej, podróż do miasta skróciła się aż o dziesięć minut. Odkąd czas to pieniądz, trudno o większą zaletę. Dawniej, gdy pociąg nie przyjechał, jedynym ratunkiem był sąsiad z samochodem albo cuchnący prywatny autobus, kursujący raz na godzinę i z powodu trasy prowadzącej przez małe miejscowości i wsie nazywany burakiem.

Teraz można wybierać między czystymi i punktualnymi pociągami a miejskimi autobusami, mknącymi do centrum po nowych estakadach i wiaduktach, wybudowanych – podobnie jak perony – z budżetu europejskiego.

W nowym stuleciu cała okolica została poddana unijnym regulacjom: identyczne tabliczki z nazwami ulic, mocne latarnie, ścieżki rowerowe, szerokie chodniki, zatoczki autobusowe, podjazdy dla niepełnosprawnych, wyraźnie oznakowane skrzyżowania. Runął też oddzielający nasze osiedle od reszty świata mur.

Został zbudowany zaraz po zakończeniu drugiej wojny światowej. Oddzielał koszarę od szosy i miasteczka. Rzędy betonowych płyt i słupów, biegnący górą drut kolczasty. Nieupoważnionym wstęp wzbroniony. Do końca lat sześćdziesiątych wchodziło się tylko z przepustką, przez bramę i wartownię. Później, gdy rosły kolejne bloki, cofnięto je w głąb, a jednostkę oddzielono od osiedla. Mieszkańcy mogli swobodnie się poruszać, wchodzić i wychodzić bez przepustek oraz korzystać z basenu i kina w klubie garnizonowym. Ale mało kto używał dawnej bramy, bo na stację kolejową i do miasteczka bliżej było na skos. Żołnierze wybijali betonowe płyty, żeby ukradkiem wyskoczyć z jednostki na piwo. Mur niszczyły też dzieci, zaciekawione tym, co jest po drugiej stronie. Nie wolno nam było wychodzić z osiedla i zbliżać się do szosy, ale uparcie przełaziliśmy przez betonowe wyrwy. Dorośli próbowali nas zniechęcić –

uzupełniali płyty, pokrywali je smarem, oplatali drutem kolczastym. Wszystko na nic. Zresztą rodzice sami wydeptali ścieżkę między rozwalonymi narożnymi płytami. Gdy nadeszła transformacja, mur był już zupełnie dziurawy.

Dziesięć lat zajęły starania, by go usunąć i zalegalizować trasy, które wybrali mieszkańcy. W końcu radni otrzymali zgodę na rozebranie muru i wybudowanie nowych chodników prowadzących na osiedle i do jednostki. Jeszcze zanim Polska znalazła się w Unii, mieliśmy naszą małą strefę Schengen – nareszcie wolny, bezkolizyjny przepływ towarów i osób.

Teraz jest bezpiecznie. Na szosie nie ma już dzikich przejść ani tych nieoświetlonych pasów, przy których zginął mój szkolny kolega. Od lat nie było wypadku, mimo że ruch w miasteczku wzrósł wielokrotnie. Kierowcy sami zwalniają przed dużym rondem. Piesi, ostrzegani przez głośne dzwonki i światła, zatrzymują się przed opadającym szlabanem. A mnie korcą dziecięce przyzwyczajenia – przeciskam się bokiem i przechodzę w niedozwolonym miejscu.

Jako obywatele zjednoczonej Europy niedługo cieszyliśmy się snem o niezagrożonej zamożności. Ledwie usiedliśmy do unijnego stołu, a już zawisła nad nim chmura. W 2008 roku upadł bank Lehman Brothers, załamanie amerykańskiego rynku kredytów hipotecznych przeistoczyło się w kryzys finansowy, który objął cały świat.

Za sprawą osłabienia Unii poprawiło się jednak nasze samopoczucie. Na tle zapadającej się Europy utrzymaliśmy niezłą formę. Młoda gospodarka długo opierała się wirusowi kryzysu, głównie dzięki temu, że nie zdążyliśmy jej nadmiernie zadłużyć ani rozregulować działalności banków. Rozwojowe opóźnienie połączone z dalekowzrocznością twórców ustaw z początku transformacji tym razem zapewniły nam przewagę. Na mapach pokazywanych w światowych serwisach informacyjnych Polska zachowała kolor bładozielony, gdy europejskie potęgi niebezpiecznie się czerwieniły.

Osłabły męczące nas przez lata kompleksy, wybladły też idealistyczne wizje. Zobaczyliśmy z bliska cienie Unii, ale wciąż odczuwamy jej hojność. Powoli odnajdujemy równowagę między poczuciem gorszości i zapóźnienia a wiarą w swoje możliwości. Być może kryzys przyszedł w samą porę – rozczarował, ale i nas otrzeźwił, zanim nabraliśmy przekonania, że dobrobyt dany jest raz na zawsze.

Obcokrajowcy winszują Polakom gospodarczego zdrowia i nawet nasi emigranci przestali ślepo bronić wyższości życia za granicą, bo wiele różnic, z powodu których kiedyś wyjechali, przestało istnieć.

„Przyjechałam po czterdziestu latach i co widzę? Zrobiliście sukces!” – oznajmiła leciwa dama, która pofatygowała się zza oceanu do ojczyzny na pogrzeb matki. Dwukrotnie zaznaczyła, że żaden inny powód nie mógłby jej tu ściągnąć. A tym, że odnieśliśmy sukces, czuła się wyraźnie zawiedziona. Nie wiem, kto był bardziej zdumiony: ona, utraciwszy nagle poczucie wyższości, które nauczyła się nosić jak amerykańską skórę, czy ja, po raz pierwszy stając się obiektem luksusowej, międzynarodowej zazdrości.

[\[1\]](#) (ang.) Ależ nie bądź śmieszny!



5

Ruchome piaski

Pociąg rusza z Powiśla. Zapalają się jarzeniówki w przedziałach. Zaraz wjedziemy do wąskiego tunelu, będziemy przesuwac się wzdłuż jego ciemnych, kamiennych ścian, oświetlanych bezdusznymi lampami. Aż do rozwidlenia torów tuż przed peronami. Odliczam migające za oknem w regularnych odstępach białe łuki. Oznaczają schowki awaryjne – wykute w ścianach nisze, w których bezpiecznie skuli się człowiek, może dwoje ludzi. Wyobrażam sobie, że z jakiegoś powodu to ja muszę ratować się przed nadjeżdżającymi ślepiami pociągu i w ostatniej chwili wsuwam się do tego zaułka. Stalowe cielsko mija mnie, oddycham ciężko.

Przeżywałam tę scenę w niezliczonych wariantach za każdym razem, gdy jechałyśmy z mamą przez tunel. Wiedziałam, że następną stacją będzie podziemne Śródmieście. Wsiądziemy i pójdziemy po schodach w górę i znów w dół, a potem długą ulicą, aż do przychodni, gdzie czeka już doktor Wagner, wąsaty stomatolog, który zada mi ból. Czułam narastające napięcie, z każdym białym łukiem byłam coraz bliżej jego serdecznego uśmiechu i strasznych wierteł.

Pierwsze wycieczki do centrum Warszawy przejmowały mnie dreszczem nie tylko ze względu na przykry cel, łagodzony potem wizytą w sklepie ze słodyczami, gdzie dostawałam na pocieszenie miodowe pierniki. Były to wizyty w mieście bezwzględny i nieprzyjazny. Mama trzymała mocno moją rękę, jakby bała się mnie zgubić pomiędzy obcymi, idącymi prędko ludźmi. W miasteczku wszyscy mówiliśmy sobie „dzień dobry”, nie wypadło minąć kogoś, nie kłaniając mu się. Tu pielęgniarki w rejestracji obchodziły się z nami urzędowo i bez słowa wydawały numerek. Nawet sprzedawczynie w sklepie ze słodyczami, choć uprzejma, traktowała nas jak kogoś, kogo się widzi po raz pierwszy i ostatni.

Dziwiła mnie obojętność, z jaką należało się zachowywać w dużej i ważnej Warszawie. Anonimowość była nawet fascynująca – tu nikt nie ciągnął za sobą biograficznej smugi, wszyscy byli tajemniczy, odrębni, najważniejsi sami dla siebie. A jednak nie lubiłam tych wyjazdów, pozostawiały we mnie uczucie chłodu. Gdy kasjerka z hukiem stemplowała nasze bilety powrotne, zastanawiałam się, czy jadąc przez tunel, znów ich zobaczę.

Wydaje mi się, że to byli mężczyźni, ale przecież nigdy nie widziałam wyraźnie. Tylko sylwetki – zgarbione, skulone pod ścianą tunelu albo idące wolno wzdłuż przeciwległego toru. Migali w rozwidleniu szyn, gdzie łuki awaryjne były wykute na wylot, pozwalając przejść na drugą stronę. Ciemni ludzie. Czarne kontury widoczne tylko dlatego, że gdzieś dalej lśniła kolejowa lampa. Jeśli ich nie było albo nie zdążyłam ich dostrzec, poukrywanych w tunelowych zaułkach, zostawały ślady: bure szmaty, śmieci, ubrania, rozdarte foliowe reklamówki. I zapach. Duszący smród bezdomności, fekaliów, przetrawionego alkoholu, brudu – ponurych znaków wykluczenia.

Gdy pociąg wjeżdżał do tunelu, pasażerowie podnosili się z miejsc i zamykali okna. To był jeden z rytuałów podróży, odruch zawodowców. I gest obronny, bo w upalne dni szczególnie trudno było wytrzymać te kilka minut.

Bezdomni wynurzali się z kamiennych czeluści i wchodzili na śródmiejskie perony w swoich zasikanych spodniach, rozczłapanych buciorach, za dużych kurtkach i ukrytych pod nimi cuchnących swetrach. Zarośnięci, z posklejanymi włosami i zapuchniętymi oczami. Szli, szurając nogami. Zaglądali do dworcowych koszy na śmieci, wyciągali niedopałki, przystawali nad siedzącymi pasażerami. Czasami mamrotali jakąś prośbę albo i nie – zatrzymywali się tylko, patrzyli i samą milczącą, krępującą obecnością

próbowali zawrzeć transakcję: dasz złotówkę, a ja odejdę i będziesz mieć spokój. Odwracaliśmy głowy z odmową albo wstrętem. Ale też dawaliśmy, wielu dawało. Dlatego nie ustawiali w prośbach.

Wcześniej rano i wieczorami stacja należała bardziej do nich niż do nas. Spali na drewnianych ławkach, po dziecięcemu skuleni albo rozwaleni nieprzytomnie, pijani czy wycieńczeni. Jeszcze się nie zbudzili albo już chcieli zasnąć, żeby mniej czasu zostało na życie, które już życiem prawie nie było.

Z tunelu wynieśli się dość szybko, przegoniły ich chyba służby kolejowe, przymuszone ciągłym narzekaniem na nieznośny smród, a może groźbą wypadków. Ale nie zniknęli, przegrupowali się tylko. Najodleglejsze ławki sąsiedniego Dworca Centralnego nie przydawały się nikomu, bo pociągi stawały w środkowej części peronów. Mieli więc siedziska i kamienne stoliki na wyłączność. Mijani obojętnie i równie zobojętniali na podróżnych koczowali tuż pod najruchliwszą ulicą miasta. Są tam do dzisiaj, choć mniej liczni.

Zastanawiało mnie, dlaczego nie widać ich wściekłości. Czasem, po pijaku, wykrzykiwali coś niezrozumiałego, wygrażali pięścią niewidocznemu wrogowi, ale w końcu odchodzili, mamrocząc coraz ciszej. Nie byli groźni. Nie zaczepiali nas, by nam ukraść lepszy los, wziąć odwet, wyszarpując torebkę, albo przyłożyć za niesprawiedliwość, za własną krzywdę. A my ich nie przepędziliśmy. Ich obecność uprzykrzała dworcowe oczekiwanie, obrzydzała zjadane naprędce hot-dogi i hamburgery z peronowej budki, była z pewnością niechciana. Nikt jednak nie zrzucał ich z ławek, nie kazał się wynosić. Bo dokąd? Teleexpress już przy pierwszych mrozach informował, że przytułki są przepełnione, a bezdomni okupują ogródki działkowe i tunele kanalizacyjne. Mogliśmy być niezadowoleni, że transformacja wielu ludzi wypłynęła na dworce, przystanki, do miejskich szaletów i przejść podziemnych, ale przecież wiedzieliśmy, że upadek mógł się wtedy przytrafić każdemu. Już sama liczba bezdomnych i żebrzących, ich stała reprezentacja co dzień zjawiająca się w najbardziej zatłoczonych punktach miasta, świadczyła o powszechności nieszczęścia. O jego prawdopodobieństwie.

Krażyły wtedy legendy o bogaczach, którzy w jednej chwili stracili wszystko: pieniądze, dom, rodzinę, i teraz zapijają się w dworcowych poczekalniach. Albo odwrotnie – o żebrakach, którzy rano przebierają się w łachmany, by wieczorem przeliczać zarobione na naszym współczuciu pieniądze, siedząc w wygodnym skórzanym fotelu. Plotki i mity pozwalały rozładować trochę napięcie, obniżyć ciśnienie. Bo przecież byliśmy społeczeństwem na skraju załamania nerwowego.

Dziesięć lat później, u progu XXI wieku, przychodziłam na Dworzec Śródmieście o czwartej rano, żeby złapać pierwszy pociąg do domu. Z nogami ciężkimi po pracy w nocnym klubie, gdzie jako kelnerka obsługiwałam „młode wilki” polskiego biznesu, spacerowałam wzdłuż peronu, wypatrując w tunelu błysku światła. Mijałam ciała bezdomnych, ułożone równo pod ścianą, obleczone śpiworami i kocami. Obserwowałam je, sprawdzając, czy co noc zjawia się ta sama grupa. Liczba osób mniej więcej się zgadzała, podobnie jak kolejność, w jakiej kładły się do snu. To już była inna bezdomność – trwała i dobrze zorganizowana. Lepiej też wyposażona, opatulona przed zimnem.

Bezdomni dali wtedy o sobie znać, okupując halę główną Dworca Centralnego. Rozłożyli się tam ze swoją niedolą, smrodem i śmietnikowym dobytkiem. Trwali uparcie, protestując przeciwko przepędzaniu ich z przestrzeni publicznej, próbom wymazania z codzienności. Siedzieli w samym środku kraju, tuż obok modernizowanego centrum, które miało stać się lśniącą wizytówką miasta sukcesu i ekskluzywnej konsumpcji. W dworcowej hali zjawili się dziennikarze. Pasażerowie przemylkali szybko i wyrażali niezadowolenie wprost do kamery, choć nie bez współczucia dla cudzej biedy. Ale były też głosy bezlitosne, że bezdomni sami są sobie winni i niech się lepiej wezmą do roboty, zamiast zasmradzać stolicę i urządzać międzynarodowy wstyd. Ta surowość stała się dopuszczalna, bo większość z nas doszła

do siebie po latach szoku. Wtedy już mało kto bał się osunięcia w społeczną przepaść, role zostały rozdane. A linia marginesu była wyraźna i oddzielała przegranych.

Jako dzieci czuliśmy nerwowość dorosłych. Na ruchomych piaskach nikt nie był pewny jutra. Nasi rodzice, sąsiedzi, wujowie i nauczyciele różnie reagowali na zmiany i rozmaicie sobie z nimi radzili. Wszyscy byli pod presją: my – od małego szykowani do sukcesu, i oni – zmuszeni zacząć wszystko jeszcze raz. A chociaż czas i cel były wspólne, to dyscypliny i stawki dla obu pokoleń osobne. Wszyscy od wszystkich oczekiwali, że się im powiedzie. I byliśmy tymi staraniami tak pochłonięci, że niepostrzeżenie opuściliśmy się nawzajem. Młodzi i dorośli rozdzielili się. Inaczej chyba być nie mogło, ale dopisuję to pęknięcie do rachunku przemian.

Transformacja zastała moich rodziców w połowie życia. Tata miał czterdzieści lat, mama – trzydzieści siedem. Byli zbyt mocno ukształtowani, by z lekkością zacząć życie od nowa, ale i za młodzi, by nie podjąć wyzwania. Tylko pokolenie dziadków mogło odmówić akcesu do nowego świata i trwać w dawnym kształcie, z czego zresztą nie wszyscy skorzystali. Może wolniej, ale też szli za nowym. Szczególnie ci, którzy od 1939 roku czekali na odzyskanie wolności i którym nie pasowała rola sfrustrowanych emerytów wegetujących na minimalnych świadczeniach. Ostatni moi dziadkowie zmarli na początku lat dziewięćdziesiątych – pamiętam ich dobrze, ale fragmentarycznie. Wchodziłam w zmieniającą się rzeczywistość bez poczucia ciągłości także w tym generacyjnym wymiarze. Nie mogłam się chwycić żadnych rodzinnych legend – znaleźć oparcia w niczym, co minione. Wszystko wokół się trzęsło, a przyszłość była nie do przewidzenia.

Część moich przyjaciół została wyposażona w opowieści okupacyjne, powstańcze, powojenne. Paczkę fotografii, przepis na ciasto drożdżowe, anegdotę o babcinym kapeluszu. Myślę, że rodzinne wspomnienia silniej osadzały ich w przeoranej świeżo rzeczywistości, zapewniały poczucie trwającej, pomimo zmian, przynależności. Pozwalały montować nowoczesną tożsamość także z odziedziczonych doświadczeń. Bez takiego bagażu nie dysponowało się żadnym „wczoraj”. Było tylko „dziś” i „jutro”.

Na osiedlu sprawy się jednocześnie polepszały i pogarszały. Jeśli chodzi o rodziców – przeważnie to drugie. Nowa szkoła dała zatrudnienie jednemu emerytowanemu wojskowemu (uczył nas muzyki, grając na akordeonie), sprzątacze, kucharkom, woźnemu i kilku nowym nauczycielkom, ale już prywatyzacja sklepu spożywczego kazała okroić jego personel. Ekspedientki, które zachowały pracę, musiały pogodzić się z obniżonym prestiżem i nagłą utratą władzy, którą do niedawna dysponowały jak towarem spod lady. Teraz sklep mógł założyć każdy, kto miał choćby mały kapitał. Koleżanki, których mamy pracowały w sklepie, miały znacznie mniej powodów do podwórkowych przechwałek. Ale prawie wszystkim dzieciom zrzędył miny, bo unowocześnianie wojska, w którym pracowali nasi ojcowie, oznaczało dla nich trudne i często niekorzystne zmiany. Armia gwałtownie się kurczyła i modernizowała. Przyszedł czas młodych oficerów, wysyłanych na zagraniczne kursy językowe, logistyczne, komputerowe i strategiczne. Obowiązywał zmieniony sposób myślenia, adekwatny do wymogów Partnerstwa dla Pokoju i NATO. Potrzebna była nowa mentalność, a wraz z nią inny – zachodni – horyzont myślenia.

Nasza jednostka wojskowa zaczęła przypominać balon, z którego uchodziło powietrze. Popisowe defilady odeszły w niepamięć, podobnie jak festyny i odświętne pokazy siły bojowej. Ucichły strzały na poligonie – miarowe stukanie, które nocami docierało z głębi lasu i służyło mi za kołysankę. „Skoro strzelają, wszystko jest jak zawsze”, myślałam, przytulając uspokojoną głowę do poduszki. Nagła cisza była jeszcze jednym dowodem zmian. Zgasły legendy o malowaniu trawników na zielono i szorowaniu świniom zębów przed wizytami dygnitarzy i generałów. Kiedyś bywali tu Kaddafi, Castro, Jaruzelski.

Teraz nikt ważny już nie przyjeżdżał. Oficerów ubywało, a huczne dotąd przysięgi, kiedy całe osiedle zmieniało się w parking dla polonezów i autokarów, którymi przybywali stryjowie, dziadkowie i ciotki, przestały przypominać ogólnopolskie wesela. Pobory były coraz mniejsze, a służba krótsza – przestała straszyć, ale nie była też powodem do dumy.

Dorastaliśmy wśród srogich ojców, którzy często mieli na głowie sprawy ważniejsze niż zajmowanie się nami, ich polecenia brzmiały jak rozkazy, a skórzane pasy od mundurów połyskiwały groźnie. Pracowali dużo, trzymali się prosto. A napięcia rozładowywali w klubie garnizonowym, gdzie bufetowa o słusznych piersiach podawała zimną wódkę i bliższym znajomym życzliwie szeptała do ucha: „Panie kapitanie, tego śledzia, co tu stoi od środy, pan nie bierze. Galaretę polecam, świeża jest”. Po transformacji naszych ojców nie wzywały już ani poligon, ani ojczyzna. A bufet zamknięto.

Mój tata przeniósł się z lokalnej jednostki do Sztabu Generalnego w Warszawie, w czasie gdy jeszcze byłam w przedszkolu. W mojej pamięci ciągle jest na służbie albo wyjeżdża, żeby sprawdzać gotowość bojową naszych oddziałów. Zjawiał się czasem w jakiejś przygranicznej jednostce z zaskoczenia i zarządzał wyprowadzenie wozów w teren. Formalnie wciąż groziła nam wojna, ale czujność wyraźnie słabła, bo więcej było pozorów niż faktycznej mobilizacji. Groza zimnowojennego ataku przeszła do sfery rodzinnych żartów, a tata zajął się pracą reorganizacyjną – szykował armię na nowe czasy. Odszedł z wojska kilka miesięcy po wstąpieniu Polski do NATO, w dniu swoich pięćdziesiątych urodzin. Jako pułkownik mógłby służyć jeszcze przez wiele lat. Ale wolał pracę w samorządzie.

Miałam już więcej nie widzieć jego wysokich oficerskich butów i nie przymierzać dużej, sztywnej czapki. Zdejmował ją i podawał mi, jeszcze ciepłą. Szłam do lustra popatrzeć, jak kiwa się na mojej małej głowie. Mundur taty zastąpiły garnitury. Została tylko czarna teczka z dwoma zatraskami, teraz dużo cięższa, wypchana projektami uchwał i przepisami prawa budowlanego. Chodziłam go odwiedzać w urzędzie miasta. Już od 1990 roku był radnym samorządowym, a teraz odpowiadał za inwestycje, czyli za przyszłość. W gabinecie poświęcał mi tylko chwilę, bo zaraz ktoś wpadał, czegoś chciał. Wkrótce mieliśmy – po obu stronach torów – nowe ronda, boiska, przystanki autobusowe, szlaban z dzwonekami i oznakowane przejścia dla pieszych.

Obserwowałam przemianę taty z dziecięcym niepokojem, niepewna, czy jutro będzie taki sam. Dorośli, którzy dotąd byli filarami, znaleźli się w ruchu. Ojcowie moich koleżanek też przechodzili do cywila. Jeden – dawny kierownik orkiestry wojskowej – otworzył mały lokal gastronomiczny, drugi – wojskowy zaopatrzeniowiec – wozził towary busem. A to jednak nie to samo, co maszerować mężnie z buławą albo służyć w Libanie. Bez mundurów ojcowie wydali nam się mniej bohaterscy i ważni. Już nie tak mocarni. Ich obraz zmieniał się, ponieważ dorastaliśmy i razem z naszym dziecięcym światem odchodził też inny, monolityczny. Wszystko mówiło, że nie ma powrotu.

Mój wujek marynarz z bujnymi wąsami i wytatuowaną na stopie płastugą już nie przywoził egzotycznych opowieści zza mórz i oceanów. Przeobraził się w przedsiębiorcę i właściciela firmy ze sprzętem samochodowym. Postawił duży dom, a w ogródku zrobił staw. To u niego zjadłam pierwszą kanapkę z kremem czekoladowym i obejrzałam pierwszy film na wideo. Drugi wujek, któremu zawdzięczam sensacyjny smak bananów przywożonych w latach osiemdziesiątych z kontraktu w Iraku, teraz przeżywał razem z rodziną trudne przemiany na wsi. Ziemia potaniała, leżała odłogiem. Rolnicy szukali zatrudnienia w okolicznych zakładach wydobywających kamień i w cementowniach. On założył z synami firmę – robili podjazdy, ozdobne ogrodzenia i elektryczne bramy w posesjach, których właściciele poczuli nagłą potrzebę zaznaczenia granic własności prywatnej i podkreślenia swojego statusu.

Jeszcze kilka lat wcześniej spędzałam wakacje w stodole wypchanej po sufit pachnącym sianem, tuż

obok stajni, z której babcia wynosiła kanki świeżego mleka, a potem ubijała masło. Dziadek siadał na drewnianej ławeczce przed bramą, jakby na kogoś czekał. Ale patrzył tylko na górkę po drugiej stronie szosy, pokrytą rzadkim sosnowym lasem.

Krótko po transformacji stodoła i stajnia były już puste, po masło chodziliśmy do sklepu spożywczego. Dziadkowie odeszli. A ciekawsza od pejzażu z zalesioną górką okazała się telewizja satelitarna.

Nasze mamy, w większości księgowe, kadrowe, urzędniczki lub nauczycielki, nie doświadczyły równie silnych jak ojcowie zawodowych turbulencji. A w każdym razie – nie od razu. Moja wracała z Państwowej Inspekcji Handlowej tuż przed siedemnastą. Tym samym pociągiem, z którego wysiadały mamy innych przyjaciółek. Czekaliśmy przy zejściu z peronu i wdychaliśmy przywożony przez nie zapach buzującego nowymi sprawami miasta. Pomagałyśmy nieść siatki z zakupami. Powtarzalność tej prozaicznej ceremonii była ostatnim szańcem, jaki chronił nasze dzieciństwo przed porywającą wszystko inne nawałnicą. Jednak ta niezmiennność wkrótce stała się też powodem oddalenia.

Dorastałyśmy prędko, zderzając obraz mam z nowymi idolkami. Z telewizorów, reklam i czasopism przyzywały nas nowoczesne kobiety biznesu, królowe fitnessu i dynamicznego samorozwoju. Panie luksusowe i bezkompromisowe, jeśli chodzi o karierę, kondycję i marzenia. Były to bohaterki płynące przez ekran w jaskrawych kolorach i nowoczesnych tkaninach. Miały lśniące włosy bez łupieżu, ból głowy pokonywały jedną pastylką i nawet miesiączka nie mogła zahamować ich aktywnego stylu życia. Nasze mamy nie przechodziły gwałtownych metamorfoz – nie ćwiczyły aerobiku, nie miały śnieżnobiałych uśmiechów ani puszystych loków do pasa. Staraly się być na czasie, zmieniały kroje spódnic, próbowały nowych kosmetyków. Lecz na tle dziewczyn z billboardów wypadały zbyt prozaicznie i statycznie.

Pracowały przez lata w tym samym biurze lub urzędzie. Wracały punktualnie do domu, by podać nam ciepły obiad. Same malowały sobie paznokcie, moczyły zmęczone stopy w soli morskiej i raz w miesiącu chodziły do fryzjera. Ich miłość i opieka bladły w porównaniu z blaskiem telewizyjnych zjaw. Odróżniłyśmy realia od reklamowej fikcji, a mimo to na widok stylizowanych bogiń nasze dziewczęce aspiracje rozdzwaniały się jak budzik.

Mężczyźni także mieli nową konkurencję w postaci Kena – plastikowego męża lalki Barbie – oraz umiędzionych i pachnących luksusem playboyów z amerykańskich seriali. Poprzysięgałyśmy sobie, że jeśli wyjdziemy za mąż, to tylko za faceta z klasą.

Rodzice niewiele mogli zrobić, nie zdołaliby w żaden skuteczny sposób rywalizować z superbohaterami. Nie mieli fantastycznych mocy, tylko własne obawy, kompleksy i poczucie, że nigdy nie dołączą do nowych ideałów. Można było te niedorzeczne importowane ikony piękna zbywać śmiechem, ale im dłużej przeżyły się przed naszymi oczami, tym bardziej wrastały w rzeczywistość. A sztuczne hasła reklamowe żywcem kopiowane zza oceanu w końcu przestawały razić. Powtarzane w kółko, wreszcie zaczęły dyktować nam pragnienia.

Postęp i nowość były naszymi ojcem i matką. Spowodowały, że przy domowym obiedzie spotykały się pokolenia mówiące różnymi językami. Zdroworozsądkowa wiedza rodziców oraz ich dotychczasowe doświadczenia nie dawały się przełożyć na naszą codzienność. Stawaliśmy się coraz bardziej samodzielni i odrębni nie tylko dlatego, że tego chcieliśmy. Część dorosłych odstąpiła od doradzania nam i mówienia, jak mamy żyć. Zmiana zaskoczyła ich i sprawiła, że w poprzestawianym świecie nie czuli się już w pełni kompetentni, by nas wychowywać. Unosili ręce, dając znak: „To już nie nasz świat. Wy tu jesteście u siebie, róbcie, jak uważacie”. Może rezygnowali przedwcześnie, a może wykazali się mądrością, pozwalając nam trzymać kierownicę. Ich autorytet słabł, bo nie dysponowali arsenałem odpowiedzi na

nowe pytania. Tym, co starali się dać w zamian, była wiara, że się nam uda. Oraz pieniądze, żebyśmy rozwijali w sobie wszystko, czego nie mogli nas nauczyć.

Tylko niektórzy wskoczyli do wolnorynkowego basenu z werwą i pewnie popłynęli naprzód. Ci nieliczni nie zwątpili w siebie i umieli pozostać dla dzieci niewzruszonymi wzorami. Wielu jednak zostało na brzegu albo płynęło ostrożnie, oszczędzając siły. Dla nich zaczął się rodzicielski kryzys.

Podczas gdy ja wpatrywałam się w mapę londyńskiego metra, na zapas opanowując topografię miasta, do którego zamierzaliśmy prędzej czy później dotrzeć, moi rodzice używali dawnych nazw warszawskich ulic – Marchlewskiego zamiast Jana Pawła II, Rutkowskiego zamiast Chmielnej i Świerczewskiego zamiast alei Solidarności. Choć znali nowe, ich pamięć trzymała się starych.

Rozumiem to teraz, gdy mijając siedziby banków, wciąż widzę mieszczące się dawniej w tych samych lokalach lodziarnie, butiki i drogerie. Wspomnienia pracują wbrew przemijaniu. Wtedy jednak interpretowałam nienadążanie za zmianami jako przejaw słabości, nieodnajdywania się. Mieliśmy z bratem niewyraźny żal do rodziców, że nie mogą być naszymi przewodnikami. Że zamiast chronić przed błędem niczym wszytkowiedzące olbrzymy, sami nieraz potrzebowali wskazówki i pytali, jak coś zrobić.

Zachwiała się pokoleniowa hierarchia – młodzi szybciej zdobywali kompetencje, bez których nowoczesność była enigmą. Wczorajsi specjaliści stali się dzisiejszymi bezrobotnymi, bo kult młodości usunął doświadczonych kelnerów z restauracji, kasjerki ze sklepów, a inżynierów z zakładów przemysłowych. Księgarzy zastąpił pryszczatymi stażystami, którzy bez podpowiedzi komputera wpadają w panikę. A w miejsce farmaceutek, do których z emfazą mówiło się „pani magister”, zjawili się uśmiechnięci i sympatyczni młodzi ludzie, którzy boją się cokolwiek doradzić, ale chętnie podsuną syrop w promocji.

Młodość stała się sojuszniką nowości, starość – synonimem przegranej, obciążeniem. Pochłonięci przyszłością, nie dostrzegaliśmy wartości wiedzy o sprawach przeżytych i minionych. Podnieceni, wylewaliśmy dziecko z kąpielą.

Brak wyrozumiałości dla wątpienia i strachu czuć było wszędzie w powietrzu. Kraj wydobywał się z siermiężności. Warszawa – symbol transformacji – zrzuciła stary kostium. W mieście sukcesu liczyła się przede wszystkim zdolność do błyskawicznego wchłaniania tego, co nowe. Ówczesnymi ideałami byli ludzie, którzy z obojętnością i wprawą wkraczali w precedensowe sytuacje. Zdradzanie niepewności i zagubienia narażało na śmieszność. Niewiedzę wypadało maskować, jak złe pochodzenie czy wstydliwą wpadkę.

Kiedy w 1992 roku w Warszawie została otwarta pierwsza restauracja McDonald's, z różnych części kraju przyjeżdżały do niej wycieczki autokarowe. Amerykański fast food był mitycznym obiektem, pierwszym sanktuarium kapitalizmu. Wizyta w nim dawała szansę uczestniczenia w nabożeństwie postępu. I wbrew groteskowym pozorom – big maca braliśmy do ręki jak relikwię – zapewniała ważną edukację.

Kapitalizm wkrótce sprowadził do Polski niezliczone sieci handlowe, usługowe i spożywcze. Każda z nich dysponuje własnym systemem, którego rozpoznanie i odkodowanie jest niezbędne, żeby zostać jej klientem. Zwykła kawa z mlekiem w jednej kawiarni nazywa się „flat white”, w innej – „biała americana”. Różne sieci odzieżowe mają różne systemy numeracji rozmiarów, hipermarkety tworzą charakterystyczne dla siebie sposoby rozmieszczania towarów i typy przecen, a każda stacja benzynowa – inny sposób nagradzania lojalnych kierowców.

McDonald's był wzorcowym przedstawicielem takiej zakodowanej organizacji. W nim nauczyliśmy się, że kanapka ma swoją firmową nazwę, keczup można dostać za darmo, ale za dodatkowy sos trzeba zapłacić,

napoje nalewa sprzedawca, w zestawie wyjdzie taniej, a tacę po skończonym posiłku należy samemu opróżnić w koszu z dyndającą klapką i odstawić na blat. Gdy McDonald's pojawił się w Polsce, nic jeszcze nie było oczywiste – zdarzało się, że ludzie wynosili jedzenie na tacach do biur, myśląc, że są wliczone w cenę.

Pierwsze korporacje oczekiwały od nas natychmiastowej adaptacji – ekspedienci powtarzali komendy i podpowiadali zagubionym klientom korzystne rozwiązania, łatwe później do zastosowania w innych konsumenckich sytuacjach. Nie wiedzieć, nie rozumieć, nie umieć – to były deficyty, które musieliśmy pokonać. Przeglądaliśmy się nawzajem w swojej niewiedzy, lecz zamiast się wspierać, rywalizowaliśmy. O wcześniejsze, bardziej prawomocne obywatelstwo na rynku – wolnym i bezlitosnym.

Było jasne, że rodzice potrzebują więcej czasu na przyswojenie zmian, ale my czuliśmy, że go nie mamy. Pchały nas ciekawość i przekonanie, że trzeba się spieszyć, wszystko zaczynać jak najprędzej. Może z powodu niedowierzania, że to się dzieje naprawdę, że przeobrażenie nam się nie przywidziało. Może z dawnego jeszcze lęku, że dobrobytu nie wystarczy dla wszystkich, a kto się zagapi, zostanie z niczym. Żyliśmy w pogotowiu, jak w przedszkolnej zabawie w znikające krzesła. Zaczyna się od dziesięciorga dzieci chodzących wokół dziewięciu krzeseł. Na klaśnięcie trzeba jak najprędzej usiąść. Ten, dla kogo zabraknie miejsca, odpada. Zwycięza najszybszy.

Dlatego nie pytaliśmy wahających się dorosłych o radę. Decydowaliśmy od razu sami, robiąc poważne nad wiek miny. Miałam na uniwersytecie znajomych, którzy już na pierwszym roku nosili garnitury, teczki i płaszcze, na zapas roztaczając wokół siebie aurę sukcesu. Nie wiem, czy udało im się zakłść rzeczywistość, ale utkwili mi w pamięci jako przedstawiciele pokolenia, które do pewnego stopnia musiało blefować i kryć swą młodzieńczą niewiedzę, żeby pozostać w grze.

Kto nie dostał się na publiczne studia dzienne, znajdował pracę i chodził na zajęcia wieczorowe albo zaoczne. Wszystko było lepsze niż niestudiowanie. Pchaliśmy się na uczelnie w wielkim ścisku, jak uciekinierzy na ostatni statek, który może nas zabrać na wyspę koniecznego awansu. Moi koledzy z roku walczyli o każdy stopień z egzaminu, bo rodzice obiecali płacić za ich akademik tylko przez pierwszy rok. Potem byli zdani na siebie. Zresztą umiejętność samodzielnego utrzymania się stawała się powodem do dumy, potwierdzała kwalifikacje do życia na wolnym rynku. A była jeszcze chęć osiągnięcia pełnej niezależności, która uprawomocni podejmowane samodzielnie decyzje. Przestaliśmy przecież pytać o zdanie, nie czekaliśmy na pozwolenie ani błogosławieństwo. Nawykliśmy do samostanowienia, jednak bez płacenia własnych rachunków było ono na niby. Chcieliśmy niezależności faktycznej. Wielu z nas już na starcie zarabiało lepiej niż rodzice po latach pracy – to nam świat sukcesu przyznawał rację. Ich przedwcześnie spychał na tyły.

Codziennie rozmijanie się na kilkudziesięciu metrach kwadratowych wspólnego mieszkania było chyba czymś więcej niż naturalnym konfliktem pokoleniowym. Ścierały się systemy wartości, wybuchowało rozczarowanie wzajemnym niezrozumieniem. Oni uważali, że zbyt łatwo przekreślamy dotychczasowe drogowskazy. My – że wśród historycznych rupieci nie znajdziemy niczego przydatnego.

Myślę, że się o nas bali. I że bali się nas. Naszych oczu rozżarzonych na widok kolejnych pomysłów, okazji, niepowtarzalnych szans. Ciągłej ekscytacji i tempa. Determinacji i drapieżności. Musieliśmy się im wydawać obcy, jak nie ich dzieci. A gdy wyrażali obawy i troskę, machaliśmy na nich ręką, tak samo jak ignorowaliśmy własną, tłamszoną w milczeniu niepewność.

Przy obiadach, na które przyjeżdżaliśmy coraz rzadziej, i podczas świąt, z których wracaliśmy

pospiesznie do własnych spraw, żegnani pakowaną porcją kopytek i kotletów, słuchaliśmy powracających jak bumerang przykazań o tym, że nie warto w życiu tak pędzić, że żadna firma nie jest warta nieprzespanych nocy, że jedzenie na mieście zepsuje nam żołądki, że pora rozejrzeć się za kimś bliskim, bo nie ma nic gorszego, niż obudzić się samemu w pustym, pięknie urządzonej mieszkaniu. Opędzaliśmy się od tych porad z lamusa, wygłaszanych przez rodziców, którzy spędzili życie w niewzruszonych reżimowych scenografiach. Sami przecież mówili: „Myśmy nie mieli żadnych możliwości”. Nigdy nie doświadczyli elektryzującego nas wtedy poczucia szansy, miliona szans. Ani wielkiego lęku przed ich utratą.



6

Uśmiech Gagarina

Kiedy byłam mała, uwielbiałam ciasne, zamknięte pomieszczenia. Zazdrościłam zielonemu Oscarowi z *Ulicy Sezamkowej*, że mieszka w koszu na śmieci. Wyłaniał się czasem ze stalowego kubła, unosząc pokrywę. Mówił coś złośliwego, a potem znów znikał w środku. W moim ulubionym, najmniejszym pokoju naszego mieszkania urządziłam sobie namiastkę takiego kubła. Była to wąska szczelina pomiędzy biurkiem a regałem. Wsuwałam się w nią i siedziałam, bezpiecznie przyciskana z obu stron solidnymi kawałkami drewna. Uspokajała mnie obecność granic, napierających ram. Tam, w mojej szczelinie, miałam najwspanialsze, najśmielsze marzenia.

Pod ich wpływem siodłałam psa Pankracego. Był dość dużym pluszakiem i z powodzeniem udawał wierzchowca. Wyprowadzałam go ze stajni, to jest z tapczanu, na dywan. Skórzany góralski pasek udawał popręg, a okrągła poduszka z wyszywaniem muchomorem była moim siodłem. Za pasek wciskałam jeszcze strzelbę – drewniany flet niemieckiej produkcji. Dosiadałam konia i tak jechałam, nie ruszając się ani o centymetr. Całymi godzinami przemierzałam prerie. Podziwiałam mijające mnie stada bizonów i wypatrywałam drewnianej chaty – celu mojej samotnej kowbojskiej podróży.

Latem przenosiłam się na balkon. Kolorowe spinacze do prania układałam w rzędkach, jak na pulpicie sterowniczym. Kamienne kwadraciki, którymi wyłożone były ściany balkonu, wciskałam, by zatankować paliwo odrzutowe. W upale i jasnym słońcu odbywałam liczne loty w kosmos. Nie mogłam jednak podziwiać międzyplanetarnych pejzaży, byłam zbyt zajęta uruchamianiem guzików i suwaków na pulpicie.

Pustynne diuny i ciągnące się po horyzont afrykańskie pustkowia oglądałam z moim bratem stryjecznym. Wskakiwaliśmy do samochodu terenowego, a ściślej: na jego łóżko i ruszaliśmy w rajd Paryż–Dakar. On prowadził, a ja – z plakatem pokazującym trasę rajdu na kolanach – byłam pilotem. Ileż to razy zagrzebaliśmy się w piachu! On wtedy wysiadał i pchał, a ja przejmowałam kierownicę. Ścisnęłam plastikowy talerz i gazowałam. Oczywiście największym problemem na pustyni była niedostateczna ilość wody, którą popijaliśmy z butelki o egzotycznym kształcie. Przywiózł ją z Iraku mój stryj, podobnie jak kij z rzeźbioną głową węża oraz wysuszone już orzechy palmy kokosowej, które zabieraliśmy na nasze rajdy. Gdy zbrakło nam wody albo jedzenia, zatrzymywaliśmy się u Beduinów. Najważniejsza była podróż, a nie zwycięstwo, więc na mecie zajmowaliśmy zwykle skromne, trzecie miejsce.

Wspomnienie mojej pierwszej prawdziwie dalekiej, bo zagranicznej, podróży wiąże się z zatkanym uchem. Bolało bardzo i prawie nic nie słyszałam, gdy stewardesa pochyliła się obok z tacą pełną landrynek. „Possij, zaraz się odetka”, uspokajał tata. Wybrałam zieloną, miała nieznaną smak.

Łądowaliśmy, a ja pakowałam do plecaka wszystkie plastikowe cuda, które dostaliśmy na pokładzie. Brązowo-beżowe pudełko z przezroczystą pokrywą, a wewnątrz plastikowe sztucce, maleńkie saszetki soli i pieprzu, dwie wykałaczki w wąskich papierowych saszetkach oraz serwetka z nadrukiem linii lotniczych. Nie przyszło mi nawet do głowy, żeby się z nimi rozstawać po zjedzeniu podniebnego obiadu. Służyły potem nieraz w ulubionych zabawach. W pudełku trzymałam szkolne przybory, dopóki wiele lat później całkiem się nie rozpadło.

W czeskosłowackiej Pradze podróżowaliśmy z rodziną metrem pomiędzy kolorowymi, różnorodnie zdobionymi stacjami. Piliśmy lemoniadę i objadaliśmy się wielkimi, słodkimi arbusami. Ja wciąż prosiłam o lentilky – małe czekoladowe pastylki w kolorowej polewie. Przypominały guziki z jakiejś wesołej

gry, a trzymane w zaciśniętej dłoni barwiły skórę na tęczowo. W gmachu muzeum, w jednej z onieśmielających gablot tata pokazał mi kamień księżycowy. Nie rozumiałam, jak się tam znalazł – spadł czy przywieźli go kosmonauci? W moim wspomnieniu jest żółty i lśni złotawym blaskiem. Kilkanaście lat później stałam przed drzwiami tego muzeum, wahając się. Nie weszłam. Wolę myśleć, że lśnił naprawdę.

W drodze powrotnej, na praskim lotnisku niosłam pierwszy własny bagaż – mały tekturowy kuferek z niebieskim dnem i dwoma wesołymi misiami na wieczku. Zamykany na klamerkę, miał też elegancką metalową rączkę pomalowaną na biało. Na spodzie przykleiliśmy pasażerską nalepkę. Nie umiałam jeszcze pisać, więc tata wypełnił rubryki moim imieniem, nazwiskiem i polskim adresem.

W szkole zrobiłam furorę, rozdając na urodziny nie zwyczajne cukierki, ale czechosłowackie gumy balonowe.

Podróż zagraniczna była wówczas czymś w najwyższym stopniu niezwykłym. Zналиśmy wyprawy nad Bałtyk, w Karkonosze i Beskidy, ale żadna z nich nie dała się porównać z wizytą w innym świecie. Ten, który znaleźliśmy, był wspólny i jednakowo dostępny dla wszystkich, a dla moich przyjaciół z osiedla szczególnie jednolity. Jeździliśmy na kolonie i obozy do tych samych wojskowych ośrodków, a rodzice odpoczywali w tych samych domach wczasowych, gdzie przysługiwała identyczna służbowa zniżka. Wracaliśmy ze wspomnieniami tapczanów z trójkątnymi zagłówkami, stołówkowych talerzy z napisem „Wojskowy Dom Wypoczynkowy” i sztywnych parawanów z drewnianymi palikami. Podobno rodziny zza torów zazdrościły nam tych przywilejów – tańszych pobytów w Kościelisku i Solinie. Wiele lat później dowiedziałam się, że w rzeczywistości podróżowaliśmy mniej oryginalnie i odważnie niż rodzice moich „cywilnych” przyjaciół. Oni wyprawiali się do Złotych Piasków i Dubrownika po opaleniznę albo do Turcji po kozuchy. Nasze rodziny nie ryzykowały takich wypadów, ojcowie musieli być zawsze w pogotowiu na wypadek mobilizacji.

W domu substytutem podróży stały się klasery z monetami z całego świata. W soboty tata przystawiał krzesło do regału, sięgał do najwyższej szafki i ściągał je: ciężkie, w okładkach w kolorach bordo i ciemnej zieleni. Okrągłe monety siedziały w równych rzędach, w małych foliowych kieszonkach. Każda inna, z literami w obcych językach. Cieszyłam się, gdy wyjmował je po kolei i obracał w palcach, opowiadając, skąd pochodzą, jak się nazywają i ile są warte. Tak przechodziliśmy przez różne kraje i czasy. Najbardziej lubiłam tę afrykańską, z pofalowanymi brzegami i palmą na rewersie. Nie mogłam pojąć, gdy tłumaczył, że wcale nie ona jest najcenniejsza.

Część monet leżała luzem w małym czarnym pudełku. Na jego wieczku, w kółku zamknięty był widoczek Bramy Brandenburskiej. Wpatrywałam się w nią uważnie, próbując zgadnąć, co jest po drugiej stronie. Wiedziałam, że coś cennego, co wielu dorosłych chciałoby znać.

Tata przywiózł pudełko z pierwszej – i przez kolejne dwadzieścia lat jedynej – podróży zagranicznej. Była to szkolna wycieczka do Berlina, Lipska, Drezna i Poczdamu w 1968 roku. Nie pojechał z pustymi rękami – wziął kawę i kremy Nivea. Enerdowskie ekspedientki kupowały chętnie, rozglądając się niespokojnie, czy aby nikt nie widzi. Oprócz pudełka przyjechały z nim zagraniczne monety – początek numizmatycznej kolekcji.

Pierwszą ważną granicę przekroczyliśmy z tatą wspólnie w 1990 roku, w Brześciu – dziś białoruskim, wtedy jeszcze radzieckim. Pojechaliśmy z bagażami do Warszawy Wschodniej i tam wsiedliśmy do ekspresu Moskwa–Berlin, tego samego, którego ciężkie wagony sypialne najlepiej miażdżyły aluminiowe złotówki. Podobało mi się w ciasnym przedziale, z małymi lampkami przy łóżkach, złożonymi w kostkę

prześcieradłami i umywalką ukrytą pod blatem stolika. Wlazłam na wąską drabinę i wypatrywałam naszego miasteczka. Przelecieliśmy przez nie pędem, krótko po piętnastej. Nie zdążyłam zobaczyć, czy Benek stał przy przejeździe, licząc wagony. I czy pomachał mi któryś ze szkolnych przyjaciół, odliczając: „szczęście, nieszczęście, paczka, list”. Nie wiem, czy stałam się czyjąś dobrą wróżką. Pamiętam tylko nieprzyjemne uczucie pozostawiania domu za sobą i kolejne godziny, coraz bardziej mnie od niego oddalające.

„Pospiesz się, wyjdziemy”, musiał powiedzieć tata, gdy dotarliśmy do Brześcia, bo pamiętam, że zeskoczyłam z twardej leżanki i zaczęłam wiązać żółte trampki, które później ukradziono mi w szkole. Gdy zobaczyłam je na nogach kolegi z innej klasy, tak się za niego zawstydyłam, że nie pisnęłam ani słowa.

Nasz pociąg stał na bocznym torze, w hangarze. Wagon został już podniesiony i przyszykowany do zmiany podwozia – po drugiej stronie granicy szyny były szersze. W pociągu trwało zamieszanie. Celnicy przetrzepywali przedziały. Zaglądali pod gumowe uszczelki przy oknach, zrywali pościel z leżanek, grzebali w bagażach, świecili latarkami w kratki wentylacyjne. Może tata wolał, żebym na to nie patrzyła. Albo chciał już być w podróży, doświadczać jej.

Wyszliśmy. W dworcowym budynku podawali herbatę. Na peronach straszny tłok – podchodzili obcy ludzie, nie rozumiałam, co mówią. Próbowali nam coś sprzedać. Wyraźnie zapamiętałam tylko jeden moment – przechodzimy przez metalowe bramki. Jako dziewczynka muszę pójść osobną. Bałam się rozdzielania i tego, że stracimy się z oczu, nigdy już nie odnajdziemy. Zostanę tu, bez możliwości powrotu do domu. Przekroczenie granicy było dla mnie czymś nieodwracalnym.

Jechaliśmy dalej, nie mogłam zasnąć. Patrzyłam w noc za oknem, dziwiąc się, że nie jest biała. Czekałam na poranną Moskwę, z której miałam już wiele precjozów. Elektroniczną grę o wilku w kurniku, spieszącym się, by złapać spadające jajka. Przykręcaną do biurka temperówkę z szufladką na kredkowe obierki i obrotową korbką. Oraz plastikową lalkę – marynarza w granatowych spodenkach, białej koszuli i czapce ze złotymi literami składającymi się w słowo „Gieroj”. Przez jakiś czas sądziłam, że tak ma na imię. Najsilniej moje wyobrażenia pobudzał komplet dziesięciu pocztówek ukazujących Moskwę nocą – żarzyła się różowawym i zielonym blaskiem, dodatkowo rozmazanym w hipnotyzującą poświatę. Po lśniących od deszczu ulicach mknęły nieznane mi samochody, a cerkiewne wieże i iglice kłuły granatowe niebo jak zamki z baśni. Wszystko to się potwierdziło, a nawet więcej.

Poszliśmy z tatą na Wystawę Osiągnięć Narodów ZSRR. Stało tam szesnaście budynków, każda z republik radzieckich miała własny. Mnie ciągnęło do siedemnastego – był to Pawilon Kosmiczny, gdzie z wielkiego zdjęcia zawieszzonego pod sufitem uśmiechał się do mnie sam Jurij Gagarin. Widziałam też Łajkę, a przynajmniej tak informował napis obok repliki małej kapsuły. Zajrzałam przez okienko, w podświetlonym wnętrzu siedział wypchany sobowtór dzielnego psa. Przed wyjściem kupiłam komplet znaczków z różnymi pojazdami, które krążyły gdzieś w kosmicznych ciemnościach. Znaczkami były wypukłe, mogłam sprawdzać opuszkami kształt maszyn i wyobrażać sobie, jak przesuwały się wysoko, wysoko nade mną w międzyplanetarnej ciszy.

Spaliśmy na podłodze w maleńkim mieszkaniu Saszy i Iry, młodego małżeństwa, z którym tata zaprzyjaźnił się podczas wcześniejszych pobytów w Moskwie. Budziłam się wśród półek ciasno zastawionych miniaturowymi wagonikami i lokomotywami. Były różnorodne i fascynowały mikroskopijnymi detalami. Nikt nie siedział na ich krzeselkach, nikt nie dorzucał węgla do tych kotłów. Ale od święta Sasza, przystojny motorniczy moskiewskiego metra, rozkładał na dywanie małe tory i puszczał swoje kolejki w ruch. Był jak chłopiec zafascynowany maszynami. Wszystko, co zdołał zaoszczędzić, wydawał na wagoniki, choć ledwo wiąźali koniec z końcem. Łagodna Ira nic na to nie

mówiła, uśmiechała się tylko. Byli przed trzydziestką, jeszcze wszystko mogło ułożyć się lepiej.

Zazdrościłam Saszy poważnego zawodu – woził tysiące ludzi. I z tego powodu musiał bardzo wcześnie wstawać do pracy. Z metra zapamiętałam wielkie żyrandole ze zwisającymi szkiełkami, długie ruchome schody sunące wolno w dół, mozaiki na stacjach. I to, że pod miastem można było jeździć w kółko, nie wysiadając z wagonika.

Z pierwszej wizyty w Moskwie przywiozłam czerwone szelki, kwadratowe zeszyty i siedmiostrunową gitarę. Przesiedziałam z nią na obcej ulicy ponad godzinę, bo tata poszedł wymieniać ruble na dolary w podziemiach jakiegoś hotelu. Oczywiście podróżowaliśmy nie tylko z chęci poznawania świata. Do Moskwy pojechały z nami dzinsy, papierosy i kosmetyki. Wracało złoto, ukryte bezpiecznie w pudle rezonansowym mojej gitary.

Żona Saszy, Ira, aż do pierestrojki pracowała w państwowym sklepie. Potem sprzedawała pirackie kasety magnetofonowe na ulicznym stoisku. Tuż po 1989 roku razem z Wałą, swą tadżycką przyjaciółką, kilkakrotnie nas odwiedziły. Najpierw tata wysyłał im zaproszenie potwierdzone przez notariusza. Po kilku tygodniach dzwonił telefon. Tata mówił coś po rosyjsku, a wkrótce na progu naszego mieszkania zjawiały się one – obie w dresach, z wielkimi torbami.

Wałę polubiłam od razu, bo ciągle się śmiała. Miała natapirowane ciemne włosy, skośne oczy i mocno uróżowane policzki. Na wszystko reagowała piskliwym chichotem. Szczególnie na powtarzany przeze mnie dziecinny żart, że jeśli nie wyjmie wreszcie łyżeczki z herbaty, wykluje sobie oko. Odpowiadała, że łyżeczka musi zostać – zabiera gorąc z napoju.

Przywoziły trochę pościeli i sprzętów: maszynki do mielenia mięsa, żelazka, latarki, grzałki. Pokazywaliśmy im Warszawę. Byliśmy razem w Pałacu Kultury i Nauki, w zoo, na Starówce. Ale je obchodziło tylko, co ludzie na sobie noszą. I jak noszą. Podpatrywały, żeby tę wiedzę zawieźć potem do siebie.

Rano, zaraz po śniadaniu, jechały na targ przy stadionie Skry, a potem na Stadion Dziesięciolecia. Pozbywały się radzieckich towarów i ruszały do sklepów. Wracały wieczorem, szczęśliwe. Zjadły, popiły herbatą i znikwały w sypialni moich rodziców, gościnnie im odstąpionej. Na dużym łóżku przykrytym ciemnobrązową narzutą rozkładały trofea: spodnie, spódnice i kurtki z dekatyzowanego dzinsu, cienkie papierosy w wąskich paczkach, sportowe buty, sztruksowe sukienki, kremy do twarzy i rąk, perfumy jaśminowe, tony kosmetyków w jaskrawych kolorach: cienie do powiek, szminki, pudry, tusze do rzęs i lakiery do paznokci. Kolczyki, klipsy, bransoletki i wisiorki. Oglądały, przekładały, omawiały. Dzwoniły potem do Moskwy, uspokajając znajomych, że udało się dostać wszystko, o co prosili. Tata pomagał im zasuwać wypchane torby.

Nagle, jeszcze w pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych, przestały przyjeżdżać. Popyt na ich poszewki i czajniki szybko się skończył, wygasła zresztą cała wymiana towarowa w obozie demoludów. Jugosłowiańskie kremy i czeskie czekolady straciły czar rarytasów. Interesowało nas już tylko to, co importowane zza Odry. Dopóki zachodnie granice były zamknięte, podróże do innych krajów socjalistycznych rekompensowały poczucie uwięzienia, skończonych możliwości. Ale niewiele miały wspólnego z poznawaniem świata, za dużo było podobieństw. Służyły raczej wymianie handlowej, pozwalały urozmaicać skromne zasoby. Później jednak gwałtownie staliśmy się dla siebie nieatrakcyjni. To była „nienawiść małych różnic” – podobna do tej, jaka podzieliła Bałkany. Nie mogliśmy sobie wybaczyć postsocjalistycznej szpetoty i wszyscy zwróciliśmy się ku Europie Zachodniej – w jej oczach chcieliśmy wypaść jak najlepiej.

Do Moskwy wróciłam z tatą jeszcze raz, w roku 2000. Sasza nadal jeździł metrem, Ira była bez pracy. Ich córka, Żenia, nosiła się cała na niebiesko, nie wyłączając włosów i paznokci. Wala zniknęła bez śladu. Poszliśmy znów na Kreml, do Car Puszki, na plac Czerwony, do GUM-u i mauzoleum Lenina, na Patriarsze Prudy, do grobu Raisy Gorbaczowej i do galerii Trietiakowskiej.

Dawny Pawilon Kosmiczny zmieniono w hurtownię napojów i owoców. Miejsce gwiazdnych wojen zajęły opatulone folią kartony i paczki. W zimnym, zabałaganionym budynku kręcili się pochłonięci robotą ludzie. Dowozili i przeładowywali towar. Podłoga zapaskudzona, pachniało wilgocią. Doszłam do końca i zadarłam głowę. Gagarin wciąż tam był – wysoko, pod samym sufitem. Uśmiechał się zwycięsko i sympatycznie, tylko dużo mniej wyraźnie, bo przesłaniała go zarzucona niedbale szmata – ktoś zakrył go w pośpiechu. Czy po to, by odesłać ostatni dekoracyjny element w przeszłość, gdzie jego miejsce? A może by roześmiany bohater nie musiał patrzeć na przykry finał kosmicznego podboju.

Pożegnaliśmy Moskwę.

Zaraz po 1989 roku, gdy „granice się otworzyły” i można było swobodnie wyjeżdżać, sens wypraw za granice zmienił się całkowicie. Przestały być wymianą socjalistycznych surowców. Ale zanim podróż mogła stać się doświadczeniem intymnym, głębokim czy w ogóle własnym, najpierw była odbywaną zbiorowo lekcją geografii i różnic kulturowych. Wycieczką edukacyjną, uczącą obyczajowego know-how, walką z turystycznym analfabetyzmem. Najpierw jeździliśmy, żeby zobaczyć, jak wiele nas ominęło i co wydarzyło się na Zachodzie, gdy trwaliśmy za żelazną kurtyną. To był etap szacowania strat i gloryfikowania wszystkiego, co tamtejsze. Określenia „zagraniczne” używaliśmy wówczas jako synonimu słowa „lepsze”. Podróżowaliśmy za Odrę i Nysę z niewidzialnymi łopatami, by zasypywać różnice pomiędzy Polską a Europą. Oswajać się, uczyć obsługi innej rzeczywistości, po kawałku eliminować zapóźnienia. Jechaliśmy najeść się wstydu, by następnym razem być już mądrzejszymi. No i po to, by wracać z okruchami wielkiego świata, sadzić je w krajowym ogródku. Nawet jeśli podróżowaliśmy we własnej sprawie, to ona i tak wpisywała się w sprawę polską. Uczestniczyliśmy w międzynarodowych zajęciach wyrównawczych, jak eufemistycznie nazywano dawniej lekcje dla dzieci opóźnionych w nauce.

Opóźnieni, zapóźnieni, zacofani, zaściankowi – tak o sobie myśleliśmy. Tak myślano o nas. Nie wiem, czy jest inna dziedzina, w której równie jednomyślnie i intensywnie pracowaliśmy nad przemianą. Może tylko bogacenie się, ale to na jedno wychodzi, bo najbardziej nie chcieliśmy być postrzegani jako kraj biedny. Wyjeżdżaliśmy zachłannie, by zobaczyć to wszystko na własne oczy i żeby nam nikt nie mówił, że nie znamy świata. I jeszcze aby doświadczyć przekroczenia granicy.

Cały rozgadany autokar ucichł nagle, gdy do środka wszedł niemiecki celnik. Nasze twarze tężały, nieskore do żartów. Celnik przesuwiał się powoli, brał do ręki kolejne paszporty, patrzył na zdjęcie i w oczy. Następny. I następny. Podawał małe granatowe książeczki idącemu za sobą koledze, a ten układał je w stos. Zabrali je do szklanej budki strażniczej, do podstemplowania.

Tymczasem trzeci Niemiec kazał otwierać klapy bagażników. Nasz kierowca uśmiechał się usługiwie i szarpał w górę klamki. Niepytany wyjaśniał, że w workach jest chleb, dalej konserwy, jajka, żółty ser, obok butle z gazem, namioty i rzeczy osobiste. „My... grupen katoliken... Turist!”, tłumaczył z jeszcze szerszym uśmiechem, chcąc chyba przekonać celnika, że pięćdziesięciu rozmodlonych polskich katolików nie może zagrozić europejskiemu dobrobytowi. Rysował nas jako nieszkodliwych, a tym samym prosił o uprzejme wpuszczenie nas do lepszego świata. Tylko na chwilkę. Przejedziemy się, zwiedzimy co trzeba i znów nas nie będzie. Nie sprawimy najmniejszego kłopotu.

Celnicy zawsze pozwalali jechać dalej, obojętnie reagując na starania kierowcy i na nasze arcyważne miny. Oczekiwanie na zwrot paszportów przyprawiało nas o lęk. Zakaz wyjazdu byłby piekącym policzkiem, odmową audiencji u upragnionej Europy. W rzeczywistości takie nieszczęście już nam nie groziło. Formalności i kontrole przywoływały jednak wszystkie upokarzające uczucia związane z życiem w zamknięciu.

Wystarczyło, że dostaliśmy z powrotem swoje paszporty i minęliśmy tablicę z napisem „Deutschland”, a na nowo wybuchały rozmowy. Teraz już triumfalne, przeplatane komentarzami na temat wbitych stempli. Każdy z nich był poświadczeniem zdobyczy, dlatego dalej, na granicy holenderskiej, belgijskiej, francuskiej, hiszpańskiej, gdzie nas nawet nie zatrzymywano, kierowca sam wysiadał i prosił celnika o wbicie pieczęci w stos paszportów. Kolekcjonowaliśmy symboliczne ślady podróży, przełamane tabu, wszystkie przecięte linie. Tuż po 1989 roku to właśnie – przechodzenie przez nie – było najistotniejsze. Najpierw musieliśmy zaprzeczyć istnieniu granic i ich separującej mocy.

Nasza „grupear katoliken” była ekonomicznym i efektywnym pomysłem na zwiedzanie Europy. Wyjazdy wymyślił kapelan i to on obliczał budżet. Za minimalne kwoty mogliśmy w ciągu dwóch, trzech tygodni „zjechać” około dziesięciu krajów, „nabić” kilkanaście tysięcy kilometrów na liczniku, „zaliczyć” najważniejsze zabytki i – co było oficjalnie celem autokarowej pielgrzymki – pomodlić się w najważniejszych sanktuariach. Były to quasi-podróż, przyspieszone kursy podstawowej wiedzy o Zachodzie. Nie wiem, czego widziałam wtedy więcej: betonowych autostrad, zastawionych ciężarówkami parkingów, kościołów czy kempingów. Ważne, co zobaczyłam pomiędzy nimi.

Dni zaczynaliśmy od mszy o świcie – za ołtarz służył rozstawiany turystyczny stolik. Zdumieni kierowcy TIR-ów przypatrywali się nam z kabin, a zbudzeni modlitwami surferzy wystawiali głowy z namiotów. Kuliłam się ze wstydu, że widzą nas takimi – proszącymi o szczególną opatrność w świcie, który dla nich był jak bułka z masłem. Potem jechaliśmy. Kilka, kilkanaście godzin, by wybiec z autokaru, prędko oblecieć rynek, katedrę, bazylikę i znów ruszyć dalej. Najwięcej emocji budziły wizyty w supermarketach, których w Polsce jeszcze nie było.

W podparyskim Meulan zatrzymaliśmy się na kilka dni. Gościnniej mer udostępnił nam nieużywaną latem salę przedszkolną. Spaliśmy w rzędach, na dmuchanych materacach. Chodziłam po miasteczku, ciekawa wszystkiego. Obserwowałam pałacyk z zawsze zamkniętą bramą. Mieszkali tam czarnoskóry Francuz, kilkanaścioro jego dzieci i opiekunki. Ludzie plotkowali, że to zasiłki na dzieci zapewniły mu fortunę. Ćwiczyłam podstawy francuskiego ze starszami grywającymi w bule oraz chłopakami z Algierii, którzy mieszkali na pobliskim blokowisku. Najbardziej jednak lubiłam stary cmentarz i supermarket. Przy wejściu stało wielkie akwarium, w którym leniwie pływały kraby i ryby. Wzdrygałam się, ale nie mogłam przestać patrzeć. Czekałam, aż któryś z klientów zamówi świeżego stwora i ekspedient przyjdzie go wyłowić.

Wysokie półki zastawione towarami były oszałamiające, lecz kupowaliśmy niewiele, uważnie obserwując ceny i przeliczając je na złotówki. Moją ulubioną transakcją była duża paczka magdalenek – miękkich babeczek, które jadłam, popijając zimnym mlekiem. Pysznie, zagranicznie i niedrogo.

Autokar co dzień wiozł nas do Paryża, gdzie czekały sprawy monumentalne. Przede wszystkim wieża Eiffla. Musieliśmy na nią wejść – nie mogliśmy przecież wrócić do Polski bez takiego wspomnienia. Ale nie było nas stać, by wjechać windą na samą górę. Szliśmy więc pieszo, kto ile dał radę.

Pierwsze zetknięcia z Europą były przesycone ostrożnością i nadzieją. Zwiedzaliśmy nieśmiało, bojąc się zejść z turystycznego szlaku, żeby nie popełnić jakiejś gąfy. Przyglądaliśmy się architekturze, dziełom

sztuki, ludziom i codzienności już z bliska, ale jeszcze z zawstydzeniem. Nie byliśmy u siebie. Ten świat pozwalał się oglądać, jednak wcale nie był dostępny. Żeby się taki stał, potrzebne były edukacja i praktyka.

Namawiałam więc tatę, żebyśmy przestali gnać od Sacré-Cœur do Luwru, i zamiast tego przysiedli na kawę z rogalikiem. On wolałby pewnie jak najwięcej zobaczyć, ale ja nie podzielałam jego pośpiechu i łapczywości. Dla mnie życie dopiero się zaczynało, a granice stały się przejezdne w samą porę, bym mogła kosztować świat powoli, po kawałku. Nie popychały mnie stracone szanse i nieodbyte wyjazdy. Ulegał prośbom, siadaliśmy przy stoliku z małym okrągłym blatem. Nie czuliśmy się swobodnie. Tata tracił czas, mógłby już przecież oblecieć pieszo całą dzielnicę, a ja wierciłam się niepewna, czy będę umiała poprosić kelnera o rachunek. Powtarzałam w głowie francuskie zdanie, ale próbowałam cieszyć się chwilą i widokiem malarzy handlujących obrazkami, których tandetności nie byłam jeszcze świadoma.

Właśnie te rogalikowe chwile oboje zapamiętaliśmy jako szczególnie ważne. Była to może nieporadna, ale cenna lekcja przeżywania podróży – przymierzania cudzej codzienności, sprawdzania zagranicznej skóry na sobie. Choćby po to, by pozazdrościć, pozachwycać się przez chwilę albo zdjąć ją z ulgą i upewnić się we własnej.

Chrupiący rogalik popijany czarną kawą był też chwilowym azylem od smutnego pielgrzymkowego menu. Przez wiele dni jedliśmy w kółko to samo: razowy chleb z konserwą, pulpety i zupy z proszku. Gotowaliśmy je na przykościelnych trawnikach, polach namiotowych. Dyżurowałam przy takiej kolacji na leśnym parkingu, z którego roztaczał się widok na rozświetlone nocą Monte Carlo. Siorbaliśmy żurek z mięsną wkładką, a w dole migotały jachty, kasyna i hotele. Tak mi się przynajmniej wydawało, bo widziałam tylko światła.

Czasem dla urozmaicenia dostawaliśmy do obiadu po kilka słonych zielonych oliwek wielkich jak śliwki. Ogryzałam ich pestki w upale, siedząc na ciepłej parkingowej trawie. Towarzyszyły mi zapach wysuszonego moczu, huk pędzących samochodów i nadzieja, że w przyszłości zjem obiad w najprawdziwszej restauracji w Barcelonie albo Paryżu. Rzecz jasna, gdy mi się to już udało, zatęskniłam za smakiem zielonych oliwek w słońcu.

Stacje benzynowe, z małymi sklepikami, a przede wszystkim toaletami, zapisały mi się w głowie jako pierwsze doznanie różnicy. Łazienki w Niemczech czy Belgii inaczej pachniały, inaczej działały. Były w nich miękkie ręczniki, szumiące suszarki, mydła w płynie i nakładki na muszle klozetowe. Oraz czujniki sprawiające, że woda spuszczała się sama i zaczynał działać niedotknięty nawet kran. Inteligentne sanitariaty wpędzały nas w okropne zakłopotanie – nie chodziło nawet o nasze babcie klozetowe, mydła w kostce ani dodatkowo płatny szary papier, ale o tę zaawansowaną technologię i czystość. My tak eleganckich łazienek nie mieliśmy nawet we własnych domach. Luksus nastęrczał trudności. Podchodziliśmy do kranu bez kurka z lękiem, że to urządzenie – mądrzejsze i bardziej światowe od nas – okaże się nieprzystępne, odmówi ciepłej wody. A wtedy pocujemy się głupio.

Pielgrzymowaliśmy tak – moi rodzice, kuzyni i znajomi z osiedla – przez całe lata dziewięćdziesiąte, poznając kilkanaście krajów. Nasze paszporty zapełniły się stemplami, albumy – fotografiami najważniejszych zabytków Europy. Kiedy tata miał szesnaście lat, prosto ze źniw popędził na autobus, a potem na pociąg i pierwszy raz zobaczył morze. W tym samym wieku ja kąpałam się już w Atlantyku i Morzu Śródziemnym, znałam Pireneje, Alpy, port w Rotterdamie, Genewę, Sewillę i Wiedeń.

Pierwszy głód został zaspokojony, niewiedzę i niepewność zastąpiły doznania. Polacy oswoili się

z Zachodem, wielokrotnie przedepłali granice. Minęła gorączka. Dobiegał końca czas pielgrzymek, wycieczek autokarowych, objazdówek. Ci, którzy chcieli tylko na własnej skórze poczuć, że świat zewnętrzny istnieje, na powrót osiedli w lokalnym życiu. Europeizacji i globalizacji doświadczali odtąd przez sieci handlowe, zagraniczne towary, programy telewizyjne.

Dla innych zaczęła się regularna turystyka, bardziej luksusowa i relaksacyjna. Oraz moda na samodzielne wyjazdy, poznawanie, osobiste badania kulturoznawcze. Teraz już odbywane spokojniej, bez zachłanności i pośpiechu.

Dołączyliśmy do globalnego przemysłu podróży. Mamy swoje, chętnie uczęszczane szlaki – do ośrodków all inclusive w Egipcie, Grecji i Turcji. Czekają tam na nas handlarze z podręcznym zestawem fraz z języka polskiego: „Jak się masz?”, „Bardzo tanio!”, „Jesteś piękna” i „Do widzenia”. Zorganizowany pobyt z trzema posiłkami dziennie, prywatną plażą, basenem, wycieczką na bazar i limitem drinków – opłacony z góry relaks kontrolowany. Zamknięte luksusowe ośrodki są enklawami fikcyjnego dobrobytu, otoczonymi zwykle ubogim życiem. Odwiedzając je, za radą znajomych zabieramy plik jednodolarówek na napiwki. Teraz to nam przypisana jest rola obywateli zamożnego świata. Chwyciliśmy w żagle wiatr historii i zdobyliśmy lepszą pozycję w systemie nierównej dystrybucji dóbr. Świadomie czy nie, bierzemy turystyczny odwet za skradzione półwiecze. Korzystamy z obsługi, hotelowych leżaków i cudzego słońca. Za płotem bieda, tym razem nie nasza.

Razem z przyjaciółmi należeliśmy do nowej generacji polskich podróżników, którzy chcieli doświadczać świata indywidualnie i na własnych warunkach, przemieszczając się nie tylko na Zachód. W nowym stuleciu zaczęliśmy więc jeździć i latać z plecakiem, szukając tańszych, mniej przewidywalnych ścieżek. Nasycenie Europą szybko przekształciło się w modę na unikanie jej, odcinanie się od sfery przewidywalnego luksusu, by zaznać czegoś nieznanego, przygody.

Moi rówieśnicy zasilili armię globtroterów. Lądujemy w Bangkoku, Meksyku i Addis Abebie, wsiadamy do pociągów, rozklekotanych autobusów, wynajmowanych dżipów. Chcemy poznawać świat tuż przy skórze, bez komfortu i poczucia wyższości. A w każdym razie chcemy w to wierzyć. W globalnym rozdaniu znaleźliśmy się przecież po stronie uprzywilejowanej. Dla przyjmujących nas gościnnie Hindusów, karmiących domową kuchnią Kolumbijczyków i wiozących na safari Kenijczyków jesteśmy wizytatorami zza luksusowej kurtyny. Obserwujemy ich gorączkę, tak podobną do naszej, niedawno ostudzonej.

Dalekie podróże stały się elementem wielkowiejskiego statusu. Młoda klasa średnia bywa, poznaje. To niemal obowiązkowy etap przed zakładaniem rodziny, osiadaniem na swoim. Zebrane doświadczenia budują kosmopolityczną tożsamość, której sami się po sobie, mieszkańcach prosperującego kraju Unii Europejskiej, spodziewamy.

Ale bywają też okazją do wyższościowego rewanzu. Po powrocie, podczas pokazu zdjęć dla bliskich i znajomych, w anegdotach bierzemy odwet na „cygańskiej” Rumunii, „zacofanej” Ukrainie, „brudnych Arabach” i „beżowych żebrakach” z Indii. Daleki, odmienny od naszego świat, którego pragnęliśmy, przydaje się dziś także do poprawiania sobie samopoczucia.

Dogoniliśmy zagranicę, długo gloryfikowaną i wyczekiwaną – jesteśmy jej częścią. Od tej pory wszystko będzie trudniejsze i mniej jednoznaczne. Nasza wschodnia granica stała się nieprzekraczalna dla migrantów spragnionych lepszego losu. Nasi celnicy robią srogie miny, zerkają milcząco w paszporty, mają w rękach wszechmocne stemple. Dawne zniecierpliwienie i chęć przebiccia się przez mur zamieniliśmy na niewdzięczną rolę stróżów pilnujących zamkniętych drzwi.



7

Na drabinie

Zaczął się lato 1995 roku. W osiedlowych „slumsach” wszystkie poranki wyglądały tak samo. Chudy Piotrek, teraz już nastoletni i nieszczerbaty, siedział na ławce przed blokiem. Obok niego – Daniel, który wrócił po dłuższej nieobecności z kropkami wytatuowanymi w kącikach oczu. Obok łąziły brzydkie, sympatyczne psy.

Spędzali tak całe dni. Rozpierali się, szeroko rozkładali nogi w dresach, szurali butami po ziemi. Mieli zawsze czyste, wypielęgnowane adidasy. Przed ławką zamiast trawy był wytarty szary placek. Mówili mało. Spuszczali ślinę powoli w dół, przez zęby, a potem ją przydeptywali. Mieli przy sobie tylko klucze na pasku. Kręcili nim w tę i z powrotem – zawijał się wokół wyprostowanych palców.

Czasem przestawiali ławkę, żeby mieć lepszy widok. Obserwowali ludzi przechodzących ścieżką wydeptaną na ukos pomiędzy ich blokami i przez dziurę w murze. Akurat tamtędy, tuż obok uchylonych okien i sznurków z praniem, mieszkańcy osiedla spieszyli się za tory i na stację kolejową, wracali z pracy i zakupów. Ja też mijałam chłopaków codziennie w drodze do pierwszej wakacyjnej pracy. Rzucaliśmy sobie uśmiechnięte „cześć!” i zamienialiśmy parę zdań, ale coraz krótszych. Gdy wracałam, wciąż tam siedzieli. Byli jak boja, od której odpływałam.

Wirus przedsiębiorczości unosił się w powietrzu, dzieci zarażały się natychmiast – zamiast bimbać i leniuchować, spieszyliśmy, żeby robić, poznawać, stawać się kimś. Opuszczaliśmy plac zabaw bez żalu – przyciągały nas sprawy dorosłe i bardziej fascynujące.

Bardzo chciałam pracować. Wszyscy chcieli, tylko nie każdy wiedział, jak zacząć. Kończyliśmy podstawówkę. Koleżanki roznosiły ulotki, sprzedawały lody. Mój starszy brat mył samochody i rozkręcał silniki w warsztacie samochodowym, jego koledzy uczyli się tynkować na budowach, zbierali truskawki. Ja pomagałam w sklepie, jednym z pierwszych, w których można było dostać z grubsza wszystko. Dojeżdżałam zdyszana, rowerem przez górkę. Pakowałam ziemniaki do toreb, ważyłam kiełbasy, ogórki, podawałam mydła i butelki wódki. Wszystko mi się w tym podobało. A najbardziej – uczucie, że idzie mi coraz lepiej i dostaję poważniejsze zadania: nabić na kasę, wydać resztę. Wcale nie planowałam zostać ekspedientką, a jednak nie było mi żal ani jednego upalnego dnia spędzonego w sklepie. Uczyłam się, że trzeba być miłą dla klientów, nie stać beczynną – poprawić towar, wypucować ladę. Obserwowałam sprzedawczynię – osiem godzin na nogach, z przerwą na herbatę na zapleczu. Nie narzekały. Schodziły ze zmiany rozgadane, a rano od drzwi znów paplały.

Wieczorami jeździliśmy po osiedlu na deskorolkach. Teraz tematem rozmów były nie klasówki i egzaminy, tylko co kto fajnego robił „u siebie w pracy”. Czuliśmy, że to początek czegoś wielkiego.

Niektórzy dorośli w tamtych latach dorabiali się fortun, majątków. My mieliśmy inną kategorię – dorabialiśmy sobie. Nie musieliśmy, pchała nas raczej chęć robienia czegoś ważnego. Atmosfera postępu. Pieniądze jeszcze się nie liczyły, od początku jednak ważne były chęci i ambicje. W liceum dawaliśmy lekcje angielskiego i korepetycje z matematyki, przepisywaliśmy dokumenty na komputerze, wprowadzaliśmy dane, robiliśmy proste tłumaczenia. Chodziło o to, żeby próbować różnych rzeczy. Powtarzaliśmy za dorosłymi, że ważne jest zbieranie doświadczeń, bo nigdy nie wiadomo, co się w życiu przyda. W życiu, które miało nijak nie przypominać losu rodziców i dziadków, przez dekady wykonujących

ten sam zawód w tym samym miejscu. Nasze zapowiadało się po amerykańsku: częste, szybkie zmiany, niekończące się wyzwania i perspektywy. Im kto lepiej się przygotował, tym lepiej miał później wylądować.

Nie traciliśmy ani chwili. Czas wolny to było pojęcie do zagospodarowania – wykorzystywaliśmy go, żeby mieć więcej. Nicnierobienie nie wchodziło w rachubę. Nasi rówieśnicy i przyjaciele byli również konkurentami. Nie przysiadaliśmy, bo peleton nie czekał.

Podjęcie nowych zadań było już wtedy sprawą wyuczoną – każde kolejne potwierdzało, że się idzie w górę. Rozwój stał się obietnicą, że osiągnięty szczybel poprowadzi dalej, do zajęć jeszcze ciekawszych i bardziej wartościowych. Ścieżka miała się już zawsze wznosić.

Stawka szybko rosła. O ile w liceum wystarczało czyszczenie komputerów i roznoszenie przesyłek, o tyle podczas studiów chodziło już o zdobywanie kwalifikacji. Najlepiej za granicą. To było w ogóle najważniejsze pytanie – zostać czy wyjechać? Kierować życiem i nauką tak, żeby znaleźć się na stałe w Europie, czy zdobywać zagraniczne doświadczenie, żeby potem lepiej radzić sobie w Polsce? Wszystkie zachodnie lekcje, od stypendiów po wakacyjne eskapady, były ważnym zasobem. Okazją do ćwiczenia języka, obserwowania „jak to się robi u nich”, poznawania innych sposobów myślenia, zapożyczania obyczajowości. Zawodowo najcenniejsze były staże i kontrakty w zagranicznych firmach, ale nawet wyjazd na kurs językowy z zakwaterowaniem u angielskiej rodziny, letnia praca jako au pair we Francji czy sprzątanie niemieckich hoteli miały ogromną wartość edukacyjną.

Na przełomie stuleci legalny pobyt czy oficjalna i udokumentowana praca w którymkolwiek kraju Unii były dla nas nieosiągalne. Mieliśmy jednak możliwość zaglądania z wizytą – poprzez programy stypendialne i szkoleniowe albo na czarno. Szukaliśmy sposobów, żeby wyjechać i tam pobyc. Żeby „się zacześcić” i zostać. Albo żeby choć „popróbować” Europy. Jak najwięcej „skorzystać” i wrócić. Możliwości zależały od determinacji i pieniędzy.

Szczytem marzeń stał się program „Work & Travel” w Stanach Zjednoczonych. To była opcja dla zamożniejszych. Opłata zapewniała legalny wjazd, kilka tygodni pracy w resortach i zwiedzanie Ameryki, dopóki nie wygasła wiza. Trend był taki, żeby zostawać najdłużej, jak się dało. Wartość zagranicznych pobytów mierzyliśmy wtedy ich długością – trzy miesiące robiły wrażenie, dwa tygodnie kwitowaliśmy półuśmiechem. Wielu moich znajomych było wychowawcami na letnich obozach dla dzieci, kelnerami w ośrodkach wypoczynkowych, pomocnikami ratowników w przyhotelowych basenach, młodszymi krupierami w kasynach. Wracali z pysznymi opowieściami o podróżach samochodowych przez Nevadę, nowojorskich klubach i muzeach, choć wcale nie bezkrytyczni. Nawet rozczarowanie takim wyjazdem było godne pozazdroszczenia. Bo kto pojechał, wiedział. Był o krok do przodu.

Wzdychałam, zazdrościłam, ale nie było mnie na to stać. Wybrałam podróż z dreszczykiem i razem z przyjaciółką pojechałyśmy do Londynu autobusem. Dwadzieścia sześć godzin w towarzystwie pięćdziesięciorga równie młodych niby-turystów. Czekał nas trudny sprawdzian po zejściu z promu w brytyjskim Dover. Stawaliśmy w kolejce dla obywateli spoza UE. Kto mógł, szykował zasłonę dymną: numer telefonu do rzekomo goszczącej go rodziny, pokwitowanie opłaty za kurs językowy, pokaźną sumę gotówki, kartę debetową z dużym limitem. Jakikolwiek przekonujący dowód, że mamy pieniądze na wizytę. My miałyśmy jedynie niewinne uśmiechy i adres marnego hoteliku w pobliżu Victoria Coach Station, gdzie mogłyśmy spędzić najwyżej dwie noce, bo tyle przewidywał nasz budżet. Do oficerów imigracyjnych podchodziło się wówczas z łomoczącym sercem – siedzieli z surowymi minami, zadawali demaskujące pytania, wykonywali szczególnie niebezpieczne telefony, sprawdzając rezerwacje i adresy. Dwoje pasażerów naszego autokaru musiało zabrać bagaże i wsiąść znów na prom. Dostali stempel z zakazem

wyjazdu do Wielkiej Brytanii, a do domu wrócili na własny koszt. Tego właśnie baliśmy się najbardziej – że ktoś zatrzaśnie nam drzwi przed nosem.

W Londynie chodziłyśmy z przyjaciółką ścieżkami wydeptanymi przez nieco starszych znajomych, którzy tę przygodę mieli już za sobą. Najpierw „ściana płaczu” – mała tablica w szczelinie między budynkami przy stacji metra Earl’s Court, zawieszona ofertami pracy, mieszkań i pokoiów do wynajęcia. Potem godziny w budce telefonicznej i wycieczki do różnych dzielnic: oglądanie mieszkań, zachodzenie do każdej restauracji czy hotelu z tym samym pytaniem. Wzięłybyśmy wszystko: zmywanie, sprzątanie, podawanie do stołu. Kręcące przecząco głowy, rozkładane ręce albo najgorsze – pytanie, czy mamy pozwolenie na pracę. Odpowiadało się: „oczywiście!” i nie wracało nigdy więcej. Zamieszkałyśmy w suterenie, w dusznym pokoju podnajętym nam przez dwóch miłych braci, Libańczyków. Największą zaletą mieszkania było przejście do zamkniętego ogrodu – wieczorami leżałyśmy w trawie, patrząc na samoloty. Przyjaciółkę przyjęli do sprzątania i podawania śniadań w pobliskim hotelu. Ja szukałam dalej, z pomocą agencji pośrednictwa pracy, działającej pod przykrywką chińskiej restauracji przy skądinąd wytwornej londyńskiej ulicy. Spędzałam godziny w poczekalni, z dziewczynami z Kosowa i Ukrainy. Moja matura, certyfikaty językowe i kursy komputerowe okazały się nieprzydatne.

Dobrze płatna praca w sklepie z kanapkami w biznesowym City przeszła koło nosa. „Przykro mi, skarbie, nie masz doświadczenia”, wyjaśniał pulchny kierownik, wskazując na chłopaków w fartuchach, którzy sprawnie przerzucali bułki w powietrzu i w minutę robili wieloskładnikowe cuda.

Wylądowałam na obrzeżach miasta, w podupadającej włoskiej knajpce, w której neapolitańskie sosy przygotowywali Albańczycy i Polacy. Nie wytrzymałam długo.

Przyjaciele, którzy pojechali do Londynu przede mną, harowali. W Warszawie byli studentami prawa, wiedzy o teatrze, orientalistyki. W Anglii zmywali, nosili gruz, remontowali mieszkania. Spali na jednym łóżku, w norze polskiego Cygana, którego żona robiła im awantury. Inni zbierali truskawki, kładli dachy, wozili mięso, sortowali spodnie w szwalni. Zbierali funt do funta. Ale to już nie były te czasy, gdy w dwa miesiące można było zarobić dużą forszę. Jak w legendach z pokolenia rodziców – o mieszkaniach lub samochodach kupionych za saksy w Szwecji. My czuliśmy się szczęśliwi, gdy po dwóch miesiącach pracy udało się kupić komputer – większość prac magisterskich powstawała na takich trofeach. Własny laptop oznaczał powrót z tarczą.

Ja nie miałam się czym chwalić. Może tylko biletem z koncertu Madonny. Stałyśmy w ostatnim rzędzie, królowa popu była maleńka jak Calineczka. Nie mogłam uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Dawno, dawno temu, gdy nie umiałam jeszcze czytać, siadaliśmy z bratem na zielonym dywanie w dużym pokoju i podłączaliśmy magnetofon do telewizora. Po wąskim kablu płynął do nas fantastyczny, nieosiągalny świat. Nagrywaliśmy sam dźwięk z teledysków w programie Marka Niedźwieckiego. Wtedy zobaczyłam ją po raz pierwszy. Wiła się w falbaniastej sukience, z utlenionymi włosami. Uczyliśmy się jej piosenek ze słuchu, na trzepaku robiliśmy fikołki, nucąc *La Isla Bonita*. Tamtego lata w Londynie wyśpiewałam z Madonną całe dwugodzinne show. Do Warszawy przyjechała dopiero dziesięć lat później, gdy już nikt nie miał wątpliwości, czy Polska leży w Europie.

Wakacyjne wyjazdy na Zachód okazały się przygodą, ale dla wielu z nas słodko-gorzką. Za granicą czuliśmy się obywatelami drugiej kategorii: bez dokumentów, ubezpieczenia, zatrudnieni na gębę. Wówczas w kraju czekały już większe możliwości. Dla tych, którzy planowali dla siebie lepszą przyszłość, wakacje z pracą na czarno szybko zmieniły się w anegdotę o młodszej brawurze. Nie wpisywaliśmy ich nawet w zawodowe CV, bo polski rynek szybko się profesjonalizował. Kto chciał grać

w pierwszej lidze, starał się o staże i praktyki. A kto zachował europejskie ambicje, musiał zmienić strategię – skończyć zagraniczne studia i tam zdobyć legalną, prestiżową pracę. Nie było żadnej drogi na skróty. W karierę od barmana do maklera nikt już nie wierzył.

Wchodziliśmy na rynek pracy w ekstazie pierwszych lat XXI wieku, gdy w polskiej gospodarce wszystko pęczniało, pięło się wzwyż. Nic nie zapowiadało, by ten trend miał się odwrócić. Rosły więc nasze apetyty, od dekady podsycane obserwacjami rozkwitających interesów.

W latach dziewięćdziesiątych do języka powszechnego weszło określenie „wyścig szczurów”. Miało obrazować ostrą rywalizację tych, którzy zwęszyli nagrodę – sukces – i byli gotowi po nią pędzić. Takie szczury mają dobry instynkt i złe intencje, są inteligentne i niebezpieczne. Definicja dotyczyła przede wszystkim ludzi młodych, od początku życia zawodowego poruszających się w kapitalistycznych trybach: szybkie tempo, kolejne szczeble, nagrody i nowe zadania, zgodnie z rozrysowaną na lata ścieżką awansu. Skupieni na sobie, bezwzględni w osiąganiu celu, pozbawieni ludzkich odruchów. W tej definicji zamykano również moich rówieśników, tak jakby bezwzględność wolnorynkowych realiów była naszym pomysłem albo jakbyśmy to my odpowiadali za reguły gry, do której zostaliśmy mimowolnie włączeni.

Dorastaliśmy wśród przykładów szybkich, niesamowitych karier. I wśród przegranych, którzy nigdy nawet nie wystartowali. Ludzie, którzy zaczęli jako sprzedawcy wietnamskich bluzek w stalowych szcękach pod Pałacem Kultury i Nauki, kilka lat później byli zamożnymi właścicielami sieci sklepów. Małe agencje reklamowe rozkwiły w błyskawicznym tempie. Przybywało gazet, telewizji, stacji radiowych, banków i funduszy powierniczych. Otwierały się sklepy, restauracje, hotele, stacje benzynowe, uczelnie, kliniki zdrowia, warsztaty i salony samochodowe, kancelarie prawne i biura nieruchomości. Wystarczyło znaleźć się we właściwym miejscu i czasie z głową na karku. Nie brakowało przestrzeni do zagospodarowania, trzeba było tylko szybko rozstawić swój kram i zacząć. Wielu przepadło, ale wielu rośło. Potężniejące firmy potrzebowały ludzi obrotowych i zaradnych, nawet jeśli niewykształconych. Wtedy jeszcze można było uczyć się w działaniu. Nie obowiązywały sztywne procedury, przepisy nie wszystko zdążyły uregulować. Wiele spraw załatwiano się po ludzku, pod stołem, na słowo honoru. Zamieszanie pierwszych lat kapitalizmu dawało swobodę działania i szansę właściwie każdemu, kto nie bał się zaryzykować.

Jako nastolatki chłoniliśmy tamtą atmosferę i z niej brały się nasze śmiałe plany. Oglądaliśmy inspirującą opowieść o niepohamowanych możliwościach. Na naszych oczach wyrastało coś z niczego. Ruszyła budowa lepszego świata, w którym hasła „sukces” i „kariera” były szczególnie istotne. Ich znaczeń nikt nam nie tłumaczył. Dziś łatwo mówić, że są wydmuszkami, oszustwem w pozłocie, tropem donikąd. Wtedy tego nie wiedzieliśmy. Stanowiły jedyny fason szczęścia, jaki oferował nowy system.

Mieliśmy powody, by w siebie wierzyć. Wyobrażać sobie, że pewnego dnia usiadziemy w fotelu dyrektorskim, wyjdziemy na lunch ze szklanego biurowca albo założymy własną firmę i po pracy wrócimy samochodem do domu na przedmieściach. Że z hukiem zdemaskujemy polityczną aferę, zaprezentujemy jesienną kolekcję ubrań na londyńskich wybiegach, wygramy ważny proces, zostaniemy ministrami albo zaprowadzimy pokój na świecie jako specjaliści wysłannicy ONZ. Marzenia mieliśmy wielkie i nie takie znów niedorzeczne. Problem w tym, że się spóźniliśmy.

Przez ponad dziesięć lat szykowaliśmy się w pośpiechu, żeby zdążyć na lot rakieta w kosmos. Ale kiedy wbiegliśmy do hali odlotów z naszymi dyplomami i certyfikatami, płynną angielszczyzną i znajomością świata, okazało się, że kursy raket wstrzymano do odwołania. Teraz na szczyt prowadziła długa i wąska

drabina, po której wchodziło się powoli, przystając na każdym szczeblu. Żadnego omijania, przepychania się. Grzecznie i po kolei. Innej drogi nie było.

Około 2000 roku polski kapitalizm miał już wyraźny kształt – powstała hierarchia, okrzepły przepisy. Skończył się czas pomysłowej improwizacji i dzikich kart. Po studiach znaleźliśmy się w rzeczywistości wysokich wymagań, kształtowanych już nie tylko przez nas samych, ale dającą się wyczuć globalizację: w naszym kraju rozgościły się korporacje, wraz z nimi – ściśle planowane działania. Firmy szukały młodych z doświadczeniem. Wiedzieliśmy, że będziemy musieli szybko udowodnić, co potrafimy, i jeszcze szybciej się uczyć.

Ale nas – wytrenowanych do adaptacji i wysiłku – nic nie zniechęcało. Zostać po godzinach, spędzić weekend w biurze, trzy razy poprawiać raport, brać dodatkowe zlecenia – to było normalne. Większość moich przyjaciół od razu pracowała dużo, intensywnie, poświęcając inne aspekty życia. Wstydziliśmy się przyznać, że czegoś nie umiemy, więc co dzień potrafiliśmy więcej. Nikt nie spodziewał się, że będzie łatwo. Jeśli udało się znaleźć ciekawe zajęcie z perspektywami, angażowaliśmy się. Narzekali tylko ci, którzy nie mieli pracy. Wciąż najważniejsze było budowanie kompetencji, tankowanie baku na przyszłość.

Może dlatego mieliśmy umiarkowane oczekiwania. Do horyzontu naszych marzeń było przecież daleko. Rozumieliśmy, że nie od razu będziemy dużo zarabiać. Cieszyły nas dodatki: szkolenia, służbowe telefony i samochody, zagraniczne delegacje, imprezy firmowe. Wyglądało to jak uczciwa transakcja: ktoś w nas inwestuje, a gdy zobaczy, że się odwdzięczamy lepszą pracą, zarobki wzrosną. Tego byliśmy pewni – tak wskazywała logika rynku i trwający wzrost gospodarczy. Firmy zatrudniały kolejnych pracowników, otwierały nowe oddziały, hipermarkety pękały w szwach od produktów i klientów, miasta się rozbudowywały, podnosiły się pensje, wszystkiego było więcej. Słowem – maksymalizacja. Byliśmy spokojni o to, że pracowitość zagwarantuje spełnienie.

Po kilku latach pracy okazało się jednak, że wolnorynkowa rzeczywistość ma granice. I nie będzie rosnąć w nieskończoność, a w każdym razie – nie w tempie, do jakiego przywykliśmy. Zdaliśmy sobie sprawę, że ruch na drabinie sukcesu zwolnił, a na szczytach panuje już tłok. Najlepsze, najciekawsze stanowiska były obsadzone. Zajęli je ci, którzy weszli do gry wcześniej. My zdążyliśmy się wydostać z sektora debiutantów, dostaliśmy stanowiska średniego szczebla, część z nas umowy o pracę, kontrakty menedżerskie. To już było sporo. Jednak dalej pójść się nie dało.

Moi rówieśnicy latami czekali na obiecany awans, stanowisko, ważniejsze zadania, podwyżki, premie. Zamiast piąć się, staliśmy w miejscu. Zaczęliśmy tracić: spadały pensje, kurczyły się apanaże, rosły tylko liczba obowiązków i odpowiedzialność. Można było zmienić firmę, by wkrótce utknąć w podobnej pozycji. Niektórzy zawędrowali bardzo wysoko, nad nimi byli już tylko prezesi, właściciele i rady nadzorcze. Osiągnęli zamierzony cel i też musieli się zatrzymać. Tak czy inaczej, dochodziliśmy do ściany.

Mój przyjaciel mawia, że jesteśmy pokoleniem, które wpadło do szczeliny. Transformacyjny rodowód po raz kolejny usadowił nas w korytarzu. Znaleźliśmy się pomiędzy starszymi menedżerami, redaktorami, kierownikami, szefami, dyrektorami i prezesami a młodszymi rywalami, których oddech czujemy już na plecach. Nie zastąpimy swych przełożonych, bo gdy wreszcie awansują lub odejdą, będziemy już za starzy. Na ich miejsce wejdą ludzie urodzeni w latach dziewięćdziesiątych. Ich przewaga na rynku pracy bierze się nie tylko z usytuowania czasowego, ale też z jednoznacznie nowocześniejszą tożsamością. My na zawsze pozostaniemy nowi i starzy zarazem. Analogowo-cyfrowi, mniej swobodni w globalnych i wirtualnych realiach niż ci, którzy chłonęli je od początku życia. Możliwe więc, że jesteśmy tylko przecinkiem oddzielającym dwie szczęśliwiej urodzone i lepiej wyposażone generacje.

Mnie też doskwierało, że nie awansuję i że przestałam się rozwijać, pracując przez osiem lat w tej samej redakcji. Ale wkrótce ten problem zniknął – dostałam wypowiedzenie. W pustym pokoju, przy niewielkim stole, czekał na mnie człowiek, którego nigdy wcześniej ani nigdy później nie spotkałam. Oraz sympatyczna kadrowa o współczującym spojrzeniu, która taki sam dokument musiała tego dnia wręczyć wielu innym, od tej pory już byłym kolegom: fotografom, dziennikarzom, korektorkom, redaktorkom, grafikom, pracownikom drukarni. Zwalniano nas nie z powodów merytorycznych, tylko systemowych. A dokładniej: redukowałam nas system w osobie człowieka wynajętego do przeprowadzenia zwolnień grupowych z powodu niskiej rentowności spółki. Staliśmy się tylko ogniwem złożonego procesu ekonomiczno-cywilizacyjnego, który rozpoczął się wiele lat wcześniej w jakimś dalekim kraju, a jedną z jego licznych pobocznych konsekwencji był spadek czytelnictwa prasy drukowanej i kryzys polskich redakcji, który doprowadził nas do pustego pokoju i smutnych oczu kadrowej.

Było czymś niezwykłym odczuć na sobie drugi koniec wolnorynkowego kija. Zawód dziennikarza, który dziesięć lat wcześniej wybrałam, okazał się dla gospodarki i społeczeństwa nie tak opłacalny i nie tak niezbędny, jak założyłam. Przypomniały mi się demonstracje górników, rolników, producentów samochodów osobowych i traktorów, a nawet gdańskich stoczniovców – bojowników o wolność, gdy we wczesnych latach dziewięćdziesiątych zostali powiadomieni, że nie są już potrzebni i jeśli chcą pracować, to tylko w jakimś innym, bardziej przydatnym zawodzie. Wtedy przyznawałam nowemu systemowi rację – na wolnym rynku rządzą: popyt, podaż i opłacalność. Teraz także musiałam się z nim zgodzić. W gruncie rzeczy działa się przeciw to, co przed laty planowaliśmy: życie zawodowe miało być pełne zmian, wymagać elastyczności, zdolności do adaptacji. Ale choć po drodze starałam się wykorzystywać wszelkie szanse i gromadzić różnorodne kwalifikacje, nie zdołałam przygotować się na wstrząs.

Należałam do małych pionierów nowoczesnej gospodarki – nie przyszło mi do głowy, że mogłaby nie potrzebować akurat nas i naszych umiejętności, specjalnie dla niej zdobywanych. Tymczasem ścieżka, po której z zapalem maszerowałam, urwała się. Z wielu stron popłynęły sygnały o pierwszym w naszej niedługiej zawodowej historii załamaniu. Kolejne sektory zaczęły się kurczyć, ubożec, obumierać. Pojawiały się inne, ale to nie rekompensowało strat. Przede wszystkim nic już nie mogło uratować iluzji o życiu, w którym każdy następny dzień będzie lepszy od poprzedniego.

Tuż przed trzydziestką dla wielu z nas zaczęło się spowolnienie. Mieliśmy mięśnie wyćwiczone do ciągłego ruchu, doskonałą kondycję wyrobioną dotychczasowym maratonem. Przywykliśmy do nieustannego notowania postępów, wręcz od niego uzależnieni. I nagle to – zaciągnięty hamulec. Brak wyników, kolejnych wrażeń do kolekcji.

Dopiero wtedy nasze głowy – wreszcie wolne od obowiązku analizowania i uczenia się nowości – zaczęły wspominać. Znalazł się czas na podsumowanie, rachunek zysków i strat, uważne oglądanie przeżyć zaliczonych w pośpiechu. Dogoniło nas pozostawione w tyle zmęczenie. Najpierw z trudem się do tego przyznawaliśmy. Nie wiedzieliśmy, jak odpocząć bez poczucia winy. Niełatwo uciszyć wewnętrznego trenera, który dotąd mierzył czas co do sekundy. Wreszcie, jeden po drugim, zwalnialiśmy.

Było to niejasne uczucie – coś pomiędzy wyczerpaniem a nasyceniem. Przez ostatnie dwie dekady żyliśmy na haju, bo niemal każda rzecz, którą robiliśmy po raz pierwszy, była przełomem. Osobiste przeżycia zlewały się z szerszym, cywilizacyjnym wymiarem. Od 1989 roku towarzyszył nam przyjemny rausz – symbioza między własnym życiem a tworzeniem historii. Jakby wszystkie nasze szczęśliwe chwile stawały się cegiełkami ogromnego aspiracyjnego gmachu.

Kłopot w tym, że odnieśliśmy sukces. Niesprecyzowany i wcale nie podzielony uczciwie między wszystkich, ale według wielu wskaźników oraz politycznej mantry – niekwestionowany. Weźmy sprawy

codzienne. Jemy, nosimy, posiadamy z grubsza to samo, co mieszkańcy innych krajów rozwiniętych. Dzięki internetowi i otwartym granicom nie musimy czekać na nowości. Ma to i gorsze strony: trudniej o dreszcz emocji, gdy się odkrywa coś unikatowego, bo dostępność jest właśnie cechą dobrobytu i globalizacji. Polska stała się naczyniem połączonym ze światem. O tym marzyliśmy.

Zakupy robimy w klimatyzowanych centrach handlowych i międzynarodowych sieciach spożywczych. Wypoczywamy na egzotycznych plażach dalekich krajów. Za butelkę wody i paczkę papierosów płacimy fortunę jak inni Europejczycy. Nasze produkty chętnie kupują obcokrajowcy. Cały Zachód zazdrości nam pysznego chleba i zna polską wódkę, my zaś w kawiarniach zamawiamy świeżo wypieczone bułki paryskie oraz lekko schłodzone prosecco. Nasi obywatele nie tylko zbierają niemieckie szparagi i budują domy w Norwegii, pracują też jako finansiści w londyńskim City czy na dolnym Manhattanie.

Jeśli Paul McCartney, Beyoncé lub Madonna ruszą w trasę, na pewno odwiedzą także Polskę. Mamy już stadiony, hotele i lotniska, które mogą ich przyjąć, oraz publiczność, którą stać na drogie bilety. Zamiast cuchnących łazienek na dworcach czekają czyste kabiny z dozownikami mydlanej pianki. Nasze miasta przyciągają zagranicznych turystów, a w ciepłe noce tęnią ulicznym gwarem nie gorzej niż metropolie Hiszpanii czy Włoch. Wyeliminowaliśmy ostatnie ważne powody, dla których świat mógłby kręcić na nas nosem, a my mielibyśmy wyrzucać sobie niedostatek czy niską jakość życia. W wielu aspektach dogoniliśmy przyszłość i teraz wystarczy już iść równo z nią. Pokoleniowa misja została wykonana, a wielka przepaść – zasypana. Trzydziestoletni i spełnieni, możemy odetchnąć, bo niewątpliwie się do tego przyczyniliśmy, przeżywając jednocześnie niesamowitą przygodę.

Gorzej, że cywilizacyjna meta wyznacza też kres wyścigu. Jesteśmy wciąż sprawną armią, której przedwcześnie rzucono rozkaz: „spocznij!”.

W naszym miasteczku, z którego wyprowadziłam się do Warszawy, by mieć bliżej na budowę polskiego sukcesu, niemal wszystko zostało już zrobione. Są nowe chodniki, krawężniki, kosze na śmieci, pojemniki na psie odchody, zatoczki autobusowe, place zabaw oraz plenerowa siłownia. Pięć szkół, sale gimnastyczne, aquapark ze zjeżdżalniami wodnymi, publiczne i prywatne przedszkola, biblioteka z dostępem do internetu. Nowa poczta, nowy urząd gminy, nowa siedziba policji. Wytyczone i oświetlone alejki parkowe, wylane gładkim asfaltem i wyraźnie oznakowane drogi oraz kilkaset bezpłatnych miejsc parkingowych dla zapracowanych użytkowników systemu „parkuj i jedź”, co dzień przesiadających się ze swych samochodów do pociągów Szybkiej Kolei Miejskiej. Zniknęły zrujnowany szalet miejski oraz chaszczce, są ławeczki, przyszczyżone żywopłoty i trawniki. Nawet szlaban, w przeszłości wielokrotnie łamany i wyrywany, teraz trzyma fason.

W miejscu dawnego osiedlowego basenu, zamiast jego pustego cielska, dumnie pręży się nowy kościół. Do głównych drzwi prowadzą szerokie schody, jest dzwonnica i są okazałe ławy. W Boże Ciało procesje przechodzą stąd aż do drugiego kościoła, tego na górcie za torami, gdzie wymalowana przez Jerzego Nowosielskiego na kopule Matka Boska rozciąga opiekuńcze ramiona. Ustała międzyparafialna rywalizacja – obie strony miasteczka żyją w zgodzie i dobrobycie.

Nawet popadający w ruinę klub garnizonowy, ostatni relik minionej epoki, wrócił do życia po remoncie. Znowu działają w nim biblioteka, sala kinowa oraz kawiarnia. Tylko wejście jest z drugiej strony, żeby goście nie pili wódki z widokiem na kościół. W miasteczku właściwie nie ma już czego poprawiać. Lepiej ani piękniej być nie może.

Podobno nie ma nic gorszego niż spełniające się marzenie. Trzeba natychmiast wymyślić nowe. Moi rówieśnicy, którzy odnieśli sukces albo przeciwnie – utknęli w drodze do niego, podejmują ciągłe próby. Odchodzą z dużych firm, zakładają własne. Spuszczają chybotliwe łupiny na wodę i starają się nie płynąć

z konsumenckim prądem. I ja, po utracie pracy w medialnej korporacji, poszłam na swoje. Razem z przyjaciółką, która studiowała wiedzę o teatrze, a jednocześnie zbierała wszechstronne doświadczenie, przez dziesięć lat pracując w agencjach public relations, prowadzimy teraz małą firmę i fundację. Organizujemy wydarzenia kulturalne, promujemy literaturę. Mniej zarabiamy i mniej śpimy, ale odkąd współtworzymy życie społeczne, mamy poczucie bycia we właściwym miejscu – tam gdzie nagromadzone przez lata kompetencje, samodzielność i wyćwiczona pracowitość potrzebne są najbardziej, a pieniądze liczą się mniej.

Rozstanie z wyobrażeniem kariery w dużej firmie okazało się pożegnaniem iluzorycznego bezpieczeństwa. Nie mam gabinetu w oszklonym wieżowcu i nie chodzę na lunch do restauracji. Wynajmujemy biuro w starej kamienicy, gotujemy same. Mojej przyszłości nie ochrania żaden pakiet ubezpieczeniowy przypisany do pensji. Nie obciąża jej też żaden kredyt. Uczę się żyć z niepewnością i z wiarą we własne siły.

Gdy rozmawiam ze znajomymi, słyszę, że są podobnie rozczarowani, znużeni systemem, w którym wiele drzwi okazało się zamkniętych, a rynek zdominowali wielcy, międzykontynentalni zawodnicy. Towarzyską normą jest narzekanie na „swoją” korporację – na schematyczne procedury, bezmyślne zmiany i rozwiązania przeczące ludzkim talentom, na bezsens pracy w organizacji zbyt wielkiej i rozproszonej, by służyła czemukolwiek poza namnażaniem własnego bogactwa. Gdzie nie spojrzeć – masowe, identyczne mechanizmy, te same smaki, obrazki, spowszedniałe hasła. Dlatego coraz liczniejsi są ci, którzy decydują się na samodzielność. Otwierają firmy, kawiarnie, gabinety, które oprócz możliwości rozwoju zapewniają też wpływ na rzeczywistość – bliską i prawdziwą, a nie na tę abstrakcyjną, wielką i karmiącą ambicje. Dla nas upływ czasu i dojrzewanie przebiegają równoległe z odczarowaniem kapitalistycznej fikcji. Dorosłym już dzieciom, wychowanym w atmosferze demokratycznego zrywu, coraz trudniej znosić wolność na nieuczciwych warunkach.

Być może próbujemy zawrócić czas – zacząć od zera, ożywić przedsiębiorcze duchy lat dziewięćdziesiątych, gdy ludzka pomysłowość i odwaga dokonywały niemożliwego. Raz jeszcze pocuć się pionierami czy kowalami własnego losu. Ale może chodzi o coś więcej – przejście do opozycji, pojedyncze, lecz dokonywane jednocześnie przez wielu. Naprzeciw korporacyjnych olbrzymów płynie flota liliputów, którzy działają na małą skalę, uprawiają własne ogródki i dobrze czują się w niszy. Wcale nie pragną zawojować świata, jedynie odzyskać to, co zgubili w pogoni za sukcesem.



8

Pożyczone szczęście

Warto było złamać rękę. Trochę płakałam, bo spuchła i popsuła mi wakacje na Helu – nie mogłam się kąpać z gipsem. Ale tata obrócił sprawę w żart i pocieszał, że jeszcze wyjdzie to na dobre. Po powrocie zawiózł do PZU zaświadczenie lekarskie, a wkrótce przyszło odszkodowanie. Dokładnie czternaście tysięcy złotych polskich, co w 1986 roku wystarczyło na zakup dwóch krzesłek – dla mnie i dla brata. Były niesamowite – jeździły na kółkach, ich siedziska się obracały, a specjalne pokręta pozwalały regulować wysokość i oparcie. Krzeselka przyjechały ze sklepu w częściach, tata składał je w przedpokoju cały wieczór, a my krążyliśmy wokół jak rozradowane satelity. Siedzenie na nich było taką frajdą, że przez dłuższy czas nie dało się nas oderwać od biurek. Dopiero później odkryliśmy ich inne zastosowania, urządzając wyścigi na dywanie, zabawy w ciągnik i domową odmianę bobslejów. Wakacyjny wypadek okazał się świetną inwestycją.

Pojawienie się w naszych domach nowych mebli za każdym razem było nadzwyczajnym zdarzeniem. Najczęściej wymagało planowania i cierpliwości. Pamiętam opowieść wuja, który – gdy już wykupił talon na duży segment – co miesiąc ustawiał się w kolejce pod pawilonem po jego odbiór. Wracał z pustymi rękoma, wreszcie po roku mu się udało. Zakup nie następował nagle – był najpierw zapowiadany, poprzedzany zbieraniem oszczędności i wieloma wyrzeczeniami, bo wymagał zaangażowania poważnych środków. Gdy już do niego doszło, świętowaliśmy kanapę czy komplet wypoczynkowy jak pojawienie się nowego domownika, który zostanie z nami na długo. Meble należało szanować, traktować delikatnie, nie nadużywać.

Lubiłam niewzruszoność ciężkich szaf, cierpliwość oblewanej herbatą stołu i wytrzymałość krzesel zmienianych z uporem w huśtawki. Szczególnie podziwiałam enerdowski regał z dużego pokoju. Jasnobrązowy, pokryty śliską przezroczystą politurą, z której mama regularnie ścierała ślady naszych małych palców. Niezmiennie trzymał fason, choć był w rodzinie znacznie dłużej niż ja. W latach siedemdziesiątych rodzice zobaczyli go na wystawie pawilonu meblowego „Emilia”. Zapłacili od razu, lecz musieli poczekać kilka miesięcy, aż zakończy ekspozycyjną misję. Był to pierwszy tak poważny zakup w ich młodym małżeństwie, sponsorowany przez ojca mojej mamy.

„Wtedy wszyscy tak zaczęli”, mówi tata, opisując pusty pokój, który wynajął dwa tygodnie po przyjeździe do miasteczka, do pracy w jednostce. Pokój znajdował się na piętrze, w domku jednorodzinny za torami. Miał czternaście metrów kwadratowych oraz nieotynkowaną łazienkę z umywalką i sedesem, dzieloną z innymi lokatorami. Kąpiele odbywały się na parterze, dzięki uprzejmości gospodarzy.

W pokoju tata postawił swoją tekturową walizę i drugą – skórzaną, którą dostał razem z mundurem i płaszczem jako część oficerskiego wyposażenia. Z magazynu w koszarach wypożyczył łóżko polowe i dwudrzwiową szafę na ubrania. Był 1972 rok, mama jeszcze studiowała. Przez kolejne dwa lata przyjeżdżała w odwiedziny z akademika w innym mieście.

Tata odkładał pieniądze z niewielkiej pensji. Wkrótce łóżko polowe zastąpiła wersalka, pojawiły się serwantka i kwiaty doniczkowe, które specjalnie wyhodowała jego mama. Założył też własną kolonię kaktusów. Koledzy pomogli mu zrobić dwie druciane lampy z abażurami z żółtego adamaszku obszytego

drobnymi frędzelkami. Kupił też niską ławę, której potem dorobił długie nogi, żeby jego młoda żona miała na czym pisać pracę magisterską. Przeprowadziła się do niego ponad rok po ślubie, gdy już była w ciąży. Na razie wzięła ze sobą z domu rodzinnego tylko to, co mogła wtaszczyć do pociągu – trochę pościeli, serwety, obrusy.

Po narodzinach mojego brata, w samym środku dekady Gierka, otrzymali wyprawkę i comiesięczny dodatek rodzinny. Kupili trochę pieluch, łóżeczko, wanienkę, część ubranek pożyczali. Dopóki mama była na urlopie macierzyńskim, utrzymywali się z jednej pensji. Tata mówi: „Nikt się nie zastanawiał, czy go stać na dziecko, bo wtedy z dziećmi nie wiązały się żadne szczególne obciążenia finansowe. Jak ktoś nie chciał zakładać rodziny, nie brał ślubu. A jak wziął, to szybko pojawiały się dzieci. Taki był model życia i już”. Nawet po latach w jego głosie nie ma cienia wątpliwości. Z jego wspomnień nie wyłania się żaden lęk, lecz sama pewność płynąca ze wspólnoty losu, równoległego budowania na niczym.

Pokój za ścianą też wynajmowało małżeństwo z małym chłopcem. Mamy miały się z wanienkami w ciasnej łazience, mleko podgrzewały na maszynie elektrycznej, a ponieważ nie miały kuchni, na obiady chodziły z wózkami do wojskowego kasyna. Przez te same tory, po których później będę skakać z kolegami. W kasynie spotykały się z koleżankami, które również wychowywały dzieci bez pomocy i z daleka od swoich doświadczonych mam. Wymieniały się poradami, podpowiadały, gdzie kupić takie ładne błękitne śliniaki i gdzie najłatwiej dostać mleko w proszku.

Po trzech latach oczekiwania oficerowi – już żonatemu i z dzieckiem – przysługiwało niewielkie mieszkanie na wojskowym osiedlu. Rodzice wprowadzili się do dwóch pokoi z kuchnią i łazienko-ubikacją, wszystkiego trzydzieści pięć metrów. Co prawda na czwartym piętrze bez windy, ale za to nowe, wyłożone płytkami PCV, z widokiem na Pałac Kultury i Nauki w oddali, za niskimi jeszcze lasami. To tam wstawili regał z „Emilii”. Z wynajmowanego pokoju dojechały też lampy, łóżeczko dziecięce i wersalka. Pojawił się dywan. Ława z dorobionymi nogami wciąż udawała stół. Mama jeździła do nowej pracy, brat był odprowadzany do osiedlowego przedszkola, a tata awansował.

Kiedy ja przyszedłam na świat, zgodnie z normami wojskowymi, przewidującymi po dziesięć metrów kwadratowych na członka rodziny oraz dodatkowe dziesięć za wyższy stopień oficerski, mogliśmy się przenieść do czteropokojowego mieszkania w nowym bloku z wielkiej płyty. Cały dobytek został załadowany na wózki akumulatorowe – trasa przeprowadzki liczyła wprawdzie ledwie trzysta metrów, ale czas naglił. Rodzinna legenda głosi, że moją ulubioną kołysanką były wtedy hałasy robotników – mieszkanie wykańczaliśmy powoli. Na początek udało się wytapetować trzy pokoje, przywieźć przedwojenną szafę z domu mamy, kupić prawdziwy stół. Rodzice urządzili mieszkanie dopiero pięć lat później, podczas wakacji, które mój brat spędził na koloniach, a ja u cioci, wśród wspaniale pachnących pomidorów szklarniowych oraz w towarzystwie wielkiej sznaucerki o imieniu Erina. Kiedy wróciłam, w moim pokoju czekała różowa tapeta w maleńkie białe kwiatki. W kuchni stały czerwone szafki przykryte długim blatem, a we wszystkich pokojach leżał gładki, polakierowany parkiet. W korytarzu tata zrobił łuk, przykryty – jak cała ściana – tapetą imitującą marmur. Wydawało mi się, że mieszkamy w pałacu.

Mieliśmy już wtedy samochód, choć zjawił się w nieszczęśliwych okolicznościach – zmarł nagle ojciec mojej mamy. Ten sam dziadek, któremu zawdzięczamy enerdowski regał, niebieską poduszkę w kształcie kaczki i który patrzył na mnie śmiało z wiszącego na ścianie portretu – retuszowanej fotografii. Znam na pamięć jego ufryzowane loki, krawat w ukośne prążki, gładką twarz i piękne, młodzieńcze usta. Znam go tylko takiego. Rozminęliśmy się o kilka lat.

Za pieniądze ze spadku rodzice kupili w Peweksie zieloną jugosłowiańską zastawę. Tata odebrał ją z fabryki na Żeraniu. Prawo jazdy zrobił kiedyś na wojskowym starze. Teraz uczył się prowadzić swój pierwszy samochód, koszulę miał mokrą od potu. Silnik gasł, a z przejeżdżającego obok żuka wychylił się

kierowca: „Co, prundu zbrakło?”.

Zastawa była z nami aż siedemnaście lat, wielokrotnie łamana i naprawiana. Jeździliśmy nią do kościoła, na wycieczki, do rodziny. A w dzień Wszystkich Świętych na groby – do dziadka i babci, której także nigdy nie poznałam, mam po niej tylko piękną skórzaną torebkę i maszynę do szycia firmy Singer; jej blat służy mi do dziś jako stolik na książki. Zastawa skończyła na słupie. Brat rozbił ją podczas jednej z pierwszych samodzielnych przejazdów. Żal po stracie był ogromny, ale nie większy niż radość, że on wyszedł z tego cało.

Rodzice zaczęli wspólne życie, nie mając niczego poza sobą nawzajem. Budowali odtąd z kawałków – zaoszczędzonych, wypracowanych, podarowanych przez rodzinę i los. Przez lata byli w drodze, bez żadnej pewności, że czas przyniesie im więcej pieniędzy, przedmiotów, wygod. Bez pośpiechu i bez ponaglących marzeń. Pragnienia mieli takie, na jakie było ich stać. Te potrzeby zależały od realnych ograniczeń. Jeśli mieli gotówkę, to jak na złość nie mogli nigdzie dostać terakoty. Kiedy do sprzedaży trafiły pralki automatyczne, to im akurat brakowało pieniędzy. Część dorobku zawdzięczają przypadkom – oszczędności wydali na to, co udało się kupić. Rzeczywistość bywała sojuszniczką albo złośliwą przeszkodą, ale zawsze miała decydujące znaczenie, ponieważ nie pozwalała się ominąć.

Moje pokolenie idzie wbrew rzeczywistości – dysponujemy pieniędzmi, których nie posiadamy. Nasze życia, często spełnione i wygodne już na starcie, przez lata pozostają zdeponowane w instytucjach finansowych. Śpimy w mieszkaniach, których właścicielami są banki, przykryci kołdrami, za które zapłaciliśmy kartami kredytowymi. Dzwonimy z telefonów udostępnionych przez zatrudniające nas firmy. Jeździmy drogimi samochodami, bo są przypisane do stanowisk, wzięliśmy je w leasing albo dlatego, że bank dał pożyczkę. Nie mamy czasu być w drodze, niczego nie pozostawiamy przypadkowi. Zamiast oszczędności zbieramy długi do spłacenia. A nasza przyszłość jest dokładnie skalkulowana.

Stanowimy przeciwieństwo długodystansowych wspinaczy, jakimi byli nasi rodzice. Oni niespiesznie wdrapywali się w górę, najpierw z gołymi rękoma. Nie wiedzieli, jak wygląda ani czy w ogóle istnieje jakikolwiek wierzchołek. Bogacenie się nie było dla nich synonimem przyszłości. To, w co obrosli, nazywają dorobkiem życia. Mówią: „wszystko, co udało się zgromadzić”, zamiast „zarobić” czy „zbić majątek”. Bo w uzbieranej przez lata własności chodzi przede wszystkim o sumę doświadczeń, zapis dziejów. Każdy mebel, element biżuterii, dom czy kolejny samochód niósł ze sobą jakąś zwycięską historię. Telewizory się zdobywało, firanki się trafiały, inne rzeczy były kombinowane, wystane w kolejce, sprowadzane, przywożone z wymiany, uzyskiwane sposobem. Były nagrodami za pracowitość, pomysłowość, spryt.

Po latach składały się na rodzinną listę osiągnięć. Fotele przywiezione na dachu fiata 126p z drugiego końca Polski w samym środku zimy stulecia. Altanka zbudowana z wyproszonych desek i papy. Stół z kompletem krzeseł załatwiony w zamian za kilka worków cementu. Szafa pełna oryginalnych sukienek uszytych z zasłon. Płaszcz przerobiony z namiotu turystycznego. Zebrać to wszystko – to znaczy być kimś. Wiedzieć, ile jest się wartym i co się potrafi.

Nam przyszło poruszać się w przeciwnym, przedziwnym kierunku. Startujemy na szczycie, a później drepczemy, często w miejscu, z nieodłącznym towarzyszem – długim cieniem kredytu. Wielkomiejski styl życia wymaga, by od razu kupić mieszkanie, urządzić je i wyposażyć. Nie kochamy jak dawniej naszych sof, nie przyjaźnimy się z komodami. Kiedy zaczną szwankować, wymienimy je. Wypada zresztą co kilka lat przearanżować swoje życie. To, co posiadamy, rzadko jest naszą zasługą, wynikiem starań, a w każdym razie – jeszcze nie. Uczciwiej byłoby chyba powiedzieć, że jest oszustwem z rozłożonymi w czasie

konsekwencjami. Albo tymczasowo zamieszkiwaną iluzją.

Czy marzymy na wyrost, wbrew swoim prawdziwym możliwościom, dowiemy się nieprędko. Zaciągnęliśmy wieloletnie kredyty jako ludzie bardzo młodzi, wierzący w swoje siły, rozwijającą się gospodarkę i przychyłność zdarzeń. W dniu, w którym wyjdziemy na swoje, będziemy blisko emerytury. O ile uda się oddać bankowi to, co nam pożyczył, i dużo więcej w odsetkach. O ile nasze dzieci i bliscy nie będą dziedziczyć naszych zobowiązań. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, powiemy kiedyś, że spłaciliśmy długi. I że na koniec nasze życie okazało się jednak nasze.

Niecierpliwość i ambicja gnały nas od początku transformacji, kazały mieć i przeżyć jak najwięcej, jak najszybciej.

Wśród moich znajomych pierwsza stała praca była zwykle pretekstem do wzięcia pierwszego kredytu – najczęściej na samochód, wczesny wyznacznik statusu. Spieszyliśmy się do niezależności finansowej, chcąc na własną rękę osiągnąć dobrobyt. A on nie sprowadzał się już do tapet i kompletu wypoczynkowego, lecz przestronnego mieszkania z dobrym widokiem, wygodnym dojazdem do centrum miasta, balkonem, dużą łazienką, urządzonego co najmniej w Ikei i wyposażonego w ekspres do kawy, okazały telewizor, a także wysoką lodówkę, w której będziemy z trudem mieścić obfite zakupy przywożone co tydzień z hipermarketu. Do tego samochód z dużym bagażnikiem, by wozić arsenał przedmiotów znacznie większy niż ten, jakim dysponowali nasi rodzice nawet po długich latach wspólnego życia.

Dla nas samodzielność znaczyła, że nie pożyczasz się od szwagra czy brata. I nie mieszka z rodzicami – standardem była szybka wyprowadzka na studia albo tuż po nich. Zresztą bliscy zwykle nie mogli zapewnić wystarczającej pomocy, bo zamierzaliśmy dokonać dużego skoku – znaleźć się w szeregach zamożnej klasy średniej. Taki awans wymagał ogromnych kwot, de facto równych temu, na co zapracowuje się przez kilkadziesiąt lat. Nieliczne rodziny było stać na podarowanie dzieciom mieszkania albo gotówki na start.

Moi rodzice nigdy nie wzięli kredytu, a niewielkie pożyczki od krewnych spłacali regularnie. Długo gromadzili oszczędności, dzięki którym, kawałek po kawałku, budowali dom. Rósł powoli, przez całe lata dziewięćdziesiąte. Tata kupił plac i zaczął budowę na fali transformacyjnego entuzjazmu. Jak inni, chciał stworzyć coś swojego. Spędzał na budowie każdą wolną chwilę. Ściany obłożył kamieniem – czerwonym piaskowcem, który sprowadził z rodzinnych stron. Nie wiedział dokładnie, komu dom będzie służyć. Po latach okazał się inwestycją, zabezpieczeniem przyszłości dla mnie i brata. Pieniądze z jego sprzedaży pozwoliły kupić dwa mieszkania – dzięki temu startowaliśmy bezpiecznie, od razu na swoim. Jednak wielu naszych kolegów nie mogło otrzymać takiego wsparcia. A wtedy pomocną dłoń podały banki. O ile symboliczną pokoleniową walutą, w której uzbierane oszczędności liczyli nasi rodzice, był dolar amerykański, o tyle moi rówieśnicy pocą się zgodnie na myśl o rosnącym kursie franka szwajcarskiego, od którego zależy wysokość comiesięcznych rat. Gospodarcze i cywilizacyjne przyspieszenie ukształtowało nowy model życia – najpierw brało się ślub przed doradcą finansowym, dopiero potem przed Bogiem i prawem. Małżeństwo poprzedzały lata znajomości, wspólne mieszkanie, rozważne planowanie. Przed ołtarzem stawali ludzie niespełna trzydziestoletni – po ukończeniu jednego albo dwóch kierunków studiów, z ustabilizowanymi zarobkami i kilkoma zagranicznymi podróżami na koncie. Decyzja o małżeństwie była zgodą na stabilizację i akcesem do świata komfortu.

Mój brat mieszka w domu pod miastem, z rodziną i dwoma samochodami. Ja wybrałam życie w pojedynkę, nie założyłam rodziny. Mam małe mieszkanie blisko kin, galerii i kawiarni, do których jeżdżę tramwajem albo rowerem. Należę do grupy, na której określenie wciąż brakuje dobrej nazwy. Single, samotni, poszukujący, stare panny i kawalerowie, wolne atomy, partnerzy – żadne z tych pojęć nie

obejmuje różnorodności motywacji i ról, jakie reprezentuje rosnąca grupa „młodych niepołączonych”. Składają się na nią ludzie, którym nie udało się jeszcze spełnić marzenia o małżeństwie i dzieciach, ale i ci, którzy nigdy takich pragnień nie mieli albo spróbowali i zmienili zdanie. Pojedynczość nie równa się samotności i nieszczęściu, tak jak rodzina nie zabezpiecza przed osamotnieniem czy krzywdą. Znam z gazet ponure opowieści o singlach, którzy harują i imprezują. Jednak w rzeczywistości spotykam ludzi, którzy pracują z pasji – nie z przymusu. Relacje rodzinne zastępują bliskością ze sklepikarzami, kelnerami i sąsiadami. A spędzając czas poza domem, ocieplają i wypełniają życiem całe miasto.

Moi niezamężni i nieżonaci znajomi tworzą różnorodną gamę związków – tych intymnych i tych utrzymywanych ze światem. Świętujemy Boże Narodzenie z rodzinami, przyjaciółmi i partnerami albo omijamy je, lecąc na azjatyckie plaże. Mieszkamy sami, czasem z kotem i psem albo w nieformalnych parach. Zmieniamy współlokatorów, kochanków, partnerów. Lub spędzamy długie lata z tym samym człowiekiem, bez przysięgi czy dokumentu poświadczającego miłość i wierność.

Wszystkie te formy współżycia i odrębności istniały zawsze. Ale teraz domagają się uznania i definicji. Mojemu tacie jest chyba obojętne, jak co się w tej mozaice nazywa. Kiedy łamiemy się opłatkiem, mówi po prostu: „Życzę ci, żebyś miała kogoś przy sobie”.

Mamy w naszych domowych albumach zdjęcia ze ślubów rodziców – skromnych uroczystości, celebrowanych bukietem gerber, sukienką ze zdobytego cudem bistoru, zamówioną pod kościół taksówką i małym przyjęciem dla najbliższych. W kieliszkach wódka, na stole zimne zakąski, ciasto. W prezencie od bliskich zegar, patera, trochę dolarów albo tradycyjna zrzutka na wózek dla dziecka. Podróże poślubne, jeśli w ogóle były, to na Mazury lub do Żółtych Piasków. Często zresztą odkładane przez dwadzieścia lat i przeżywane dopiero, gdy dzieci już dorosły.

Teraz śluby wyglądają inaczej i chyba co innego znaczą. Są nie tyle skromnym początkiem, świętowanym w prywatnym gronie, ile mocnym wejściem we wspólne życie. Wysyłanym szeroko zawiadomieniem o materialnym i społecznym statusie, osiągniętym przez małżeństwo już na starcie. Organizacją i produkcją ślubów zajmuje się specjalistyczna branża usług okołomałżeńskich, wymagająca zaangażowania ogromnych nakładów finansowych i czasu. Samo planowanie trwa zwykle rok, zaczyna się od rezerwacji sali i terminu mszy, wyboru strojów, które będą szyte na zamówienie, a przecież są jeszcze menu, wodzirej, didżej, dekorator wnętrz, fryzjer i makijażystka, limuzyna albo bryczka, bukiety, fotograf, filmowiec. W podróż poślubną leci się na Bali lub Maderę, do Włoch albo do Stanów.

Zawarcie małżeństwa wiąże się ze srogą inwestycją, łożą na nią obie rodziny. Nieraz wbrew woli samej pary młodej, której jednak nieczęsto udaje się oprzeć zapałowi krewnych. Kameralne i ciche śluby, zawierane w opozycji do wystawnych mód, są rzadkością. Od maja do września polskie domy restauracyjne i weselne, pałacyki, hotele, remizy oraz zamki zmieniają się w scenerię rodzinnej fety i zapowiedzi szczęśliwego życia przepełnionego radosną konsumpcją.

Współczesna rodzina jest nie tylko uczuciowym związkiem kilku osób – ma wyraźny profil finansowy i rynek traktuje ją jako jednego z najlepszych, najbardziej chłonnych klientów. O ile młode małżeństwo stanowi ideał kredytobiorcy, o tyle rozrastająca się rodzina jest wymarzoną zjawiskiem dla niemal każdej gałęzi usług i handlu. Zupełnie inaczej niż w opowieści mojego taty sprzed trzydziestu lat, dziś pojawienie się dziecka jest poważnym wyzwaniem finansowym. Pociąga za sobą serię zakupów oraz decyzji inwestycyjnych, ponieważ rzeczywistość, w której dorasta kolejne pokolenie, wymaga spełnienia precyzyjnie określonych standardów. „Życie podróżowało”, mówimy, czując, że na każdym kroku determinują

nas pieniądze. I że prawie niczego, co uważamy za potrzebne i cenne, nie możemy osiągnąć bez nich. Liczba przedmiotów, ekspertów i opiekunów, doradców i usługodawców, bez których nie wyobrażamy sobie dobrego funkcjonowania dla siebie i dzieci, jest wprost nie do pogodzenia z faktem, że jeszcze niedawno cała ta infrastruktura komfortu nie istniała, mało kogo zresztą przyprawiając o nieszczęście.

Na wczasy nad Bałtyk nie da się już pojechać pociągiem z dzieckiem i kilkoma walizkami, jak robili to moi rodzice z małym bratem. Teraz potrzebne są dwa wypchane po dach samochody. Nie sposób pomieścić się z rodziną na trzydziestu pięciu metrach kwadratowych, jeśli się używa zmywarki, mikrofalówki, dwóch telewizorów, około stu dziecięcych zabawek, nie licząc rowerka, a także czterech różnych płynów do czyszczenia podłóg, glazury, mebli oraz zlewu. W ciągu jednego pokolenia przenieśliśmy się do nieporównywalnych realiów, słusznie nazywanych przez naszych rodziców innym światem.

Różnice materialne, których oni prawie nie odczuwali, podobnie jak nie myśleliśmy o nich my, bawiąc się z rówieśnikami w piaskownicy jedną łopatką, na nowo stały się faktem. Zredukowane przez wojny, stłumione za sprawą politycznych i gospodarczych mechanizmów powojennego socjalizmu, wracają z nową mocą.

Odmieniony jest też świat wartości i ideałów. Mama i tata wzięli ślub kościelny dopiero dwa lata po cywilnym, w tajemnicy przed znajomymi z wojskowego osiedla, którzy własne sakramenty również trzymali w sekrecie. Na zdjęciu w drzwiach do kościoła stoją: mama w krótkiej sukience, tata w ciemnym garniturze, świadkowie i dziadek. On wygląda najbardziej uroczyście, bo założył kapelusz z dużym rondem. Miny mają pogodne, ale nieupozowane. Fotograf, pewnie kolega, dobrze uchwycił moment.

Formalność urzędowa była wówczas obowiązkiem, przysięga przed ołtarzem – ślubem prawdziwym. Szczególnie jeśli do kościoła co niedzielę chodzili sami młodzi i ich rodzice. Katolicy „wierzący” nie byli dla władz PRL szczególnym problemem, przeszkadzali raczej „praktykujący”. Obrządek religijny pozostawał jednak stałym elementem życia i tradycji, pomimo reżimowych ograniczeń, a często im na przekór.

W demokratycznej Rzeczpospolitej nic nie stoi na przeszkodzie, by okazywać swą wiarę. Klimat jest po temu nawet bardziej sprzyjający niż przez ostatnie kilka stuleci. A jednak przemiany zabrały nas daleko od życia duchowego – od czasu Pierwszej Komunii, gdy popędziliśmy do importowanych atrakcji, nie widywaliśmy się przed kościołem. Kolejnym wspólnym stąd wspomnieniem stały się dopiero pospiesznie odbywane bierzmowania i nauki przedmałżeńskie. Te ostatnie zmieniały się w towarzyskie żarty o obowiązkowych lekcjach planowania rodziny metodami naturalnymi, udzielanych ludziom, dla których seks przedmałżeński, prezerwatywy i pigułki antykoncepcyjne są normą. Nie jesteśmy generacją oddającą swój los boskim wyrokom – zabezpieczamy się, zarządzamy swoim życiem, podporządkowujemy sobie naturę.

Powrót do kościoła po latach skupienia na sprawach materialnych, zmienionej obyczajowości oraz uczenia się tolerancji i różnic kulturowych był ostrym światopoglądowym zderzeniem. Zwykle przemilczanym w imię tego, co najważniejsze – uzyskania ślubu. Kompromis jest korzystny dla obu stron – młodzi kupują święty spokój, opłacając nauki przedmałżeńskie, msze ślubne, przystrojenie ołtarza i popisy organisty. A księża ułatwiają formalności i przymykają oko na fasadowość ceremonii, żeby statystyki małżeństw katolickich nie słabły i żeby za kilka lat udzielić chrztu ich dzieciom, włączyć do Kościoła kolejne pokolenie.

Mimo coraz bardziej zeświecczonego życia śluby kościelne pozostają niezbędne. Być może wynikają z potrzeby rytuału, są dla nas jedyną szansą na uczestniczenie w prawdziwie podniosłej ceremonii, w której padają przysięgi, wielkie słowa, odwołania do świętości. Dzielimy się radością, szukamy

uroczystej symboliki w życiu, którego pragmatyczność ma nas już nigdy nie opuścić. Wreszcie – chcemy baśniowej oprawy, uzasadniającej poniesione wydatki. Lecą pod niebo balony i tresowane gołębie. Młoda para pozuje do zdjęć w uzgodnionych wcześniej okolicznościach. Teraz modne są sesje w stylu retro lub kina nowej fali, ale dominują ujęcia ogrodowe, czyli romantyzm po polsku. To coś więcej niż malowane fotografie ślubne naszych dziadków i pradziadków, uwiecznionych z poważnymi minami. I znacznie więcej niż ten naturalny uśmiech mamy i taty, uchwycony po wyjściu z kościoła. Powstaje dokumentacja chwili doskonałej – zdjęcie dwójki alpinistów na szczycie, który zdobyli, zanim w ogóle wyruszyli w drogę.

Idea szczęścia, komfortu i zamożności jest prawdopodobnie tym, co najbardziej utrudnia teraz wspólne życie. Moi rodzice pozostają małżeństwem od czterdziestu lat, ponieważ przeciwności losu i problemy, z którymi się zmagali, związały ich silniej niż różnice, jakie na przestrzeni lat dostrzegli między sobą. A także dlatego, że nigdy nie dążyli do założonego z góry wielkiego celu, nie ciążył im obowiązkowy ideał. Ich wspólne życie nie zostało zaprojektowane, raczej wydarzyło się, ułożyło. Sojusznikiem jego trwałości był świat zewnętrzny, który nie podszeptował zmian. Jeszcze długo po ślubie uzmysławiał im raczej, jak niewielkie mają pole wyboru. Najlepsze, co mogli zrobić, to chwycać nieczęsto pojawiające się szanse. Trzymać się razem, bo tak łatwiej mierzyć się z życiem i ponieważ tylko wspólnie udawało się coś zbudować. Byli jednocześnie dzielnymi ludźmi i praktykami kompromisu.

Dopiero moje pokolenie zaczęło odmieniać spełnienie marzeń w liczbie pojedynczej, wyraźnie mówić o życiu w zgodzie z indywidualnymi potrzebami, z samym sobą. Lata „inwestowania w siebie” stały w sprzeczności z „rezygnowaniem z siebie” dla rodziny. Codzienne negocjacje ze swoim ego, dotąd szybko zaspokajanych. Pojawiły się nieznane nam wcześniej wyzwania: odsuwanie własnych potrzeb, dawanie pierwszeństwa temu, co wspólne. Rodzenie dzieci, które pozbawiają prawa do myślenia wyłącznie o sobie.

Zaczął się bolesne ćwiczenie nowych umiejętności i niewygodnych pozycji. Statystycznie przybywa małżeństw, które tej próby nie wytrzymują. „Wytrzymywać” to w ogóle nie jest kategoria z bieżącego świata – wytrzymywali nasi dziadkowie i rodzice, bo nie mieli wyjścia. My wierzymy, że stanowimy część obiegu niewyczerpanych możliwości. Zresztą niemal wszystkie nasze dotychczasowe przeżycia wskazują, że nie warto zadowalać się tym, co się ma – należy to aktywnie modyfikować, poprawiać albo zmieniać. Zmiana najszybciej prowadzi do lepszych rozwiązań, tak w każdym razie było w przypadku komputerów, butów do biegania, zakładów kosmetycznych oraz firm, z którymi rozstawaliśmy się, by zaraz poznać inne. Podobnym zabiegiem, zastosowanym wobec człowieka, jest rozwód.

Rozstajemy się z niezliczonych, zawsze osobistych przyczyn. Ale wśród nich dwie wydają mi się szczególnie istotne dla mojego pokolenia. Pierwsza, optymistyczna, to ta, że nie widzimy sensu trwania przy błędnie podjętej decyzji. Ani obyczaje, ani żadna norma społeczna nie wymagają już unieszczęśliwiania siebie i drugiego człowieka, skoro przestaliśmy się rozumieć, pragnąć czy kochać. Złożoną przed urzędnikiem i księdzem przysięgę można dość łatwo rozwiązać lub unieważnić, a kredyty też okazują się elastyczne – wystarczy je na siebie wzajemnie przepisać albo sprzedać mieszkanie i od razu spłacić. Rozwody są akceptowane, a nowe początki – możliwe i dostępne, czasem nawet podziwiane i celebrowane jako przykład odwagi, by podjąć jeszcze jedną próbę.

Druga przyczyna jest przygnębiająca. Częstsze rozwody mogą świadczyć o zamiłowaniu do komfortu i przyzwyczajeniu do życia, które idzie gładko, bo przeszkody można obejść, opłacić. Co innego, gdy trzeba je wspólnie pokonywać, dopasowywać się do najzwyklejszych i przyziemnych ograniczeń, trwać w bliskości pomimo nieporozumień, nie wpaść w panikę i nie uciec. Rozwody przypominają, że dotąd trwalibyśmy w czymś, co przypomina usługę uszytą na wymiar najbardziej indywidualnych oczekiwań. I że wolimy wrócić do tej wygodniejszej, nieobarczonej ryzykiem pojedynczości. Albo spróbować z innym

partnerem.

Małżeństwa przestały być nieodwołalne, ale łatwość ich zawierania i kończenia jest pozorna. Opuszczamy się częściej niż dawniej, w złudnej zwykle nadziei, że nowy człowiek stanie się lepszą odpowiedzią i potwierdzi, iż kłopot leży nie w nas, lecz na zewnątrz. Nie w naszym lęku czy nieumiejętności trwania w relacji, tylko w niesprzyjających okolicznościach. Im bardziej towarzyszy nam zmienność, tym mniej ufamy w sens przysięgi: „I że cię nie opuszczę aż do śmierci”. Nie wierzymy w ostateczność, wyznajemy odnawialność.

Większość z nas wyszła z rodzinnego domu z wyobrażeniem, że nie powtórzy doświadczeń rodziców. Rodziny w naszym wykonaniu miały być nie tylko zamożniejsze, ale przede wszystkim emocjonalnie i społecznie lepsze, oparte na partnerskich relacjach, równouprawnieniu płci oraz bardziej otwartym i bezpośrednim kontakcie z dziećmi. Ten wyobrażony model okazuje się trudny do zrealizowania. Moje przyjaciółki i znajome stają na głowie w podwójnych rolach – mam i profesjonalistek, zaś przyjaciele i koledzy aktywność zawodową podwajają zabawami i spędzaniem czasu z dziećmi. A jednak udaje im się – coraz więcej jest rodzin ze zrównoważonym podziałem ról i bez międzypokoleniowego dystansu. Dzieci, których pojawienie się jest najczęściej zdarzeniem planowanym i wyczekiwanym, zajęły centralną pozycję – wokół ich dobra i rozwoju koncentrują się wysiłki kilkorga dorosłych.

Po latach cywilizacyjnego rozłączenia my, dotąd zajęci budowaniem sukcesu, stajemy się młodymi rodzicami, zaś nasi rodzice, których pozostawiliśmy z tyłu w czasie wielkich przemian, teraz znów są nieodzowni – w roli dziadków, opiekunów i autorytetów.

Obok ideału ze ślubnych fotografii powstają alternatywne wersje szczęścia. Rodzina ma dziś wiele znaczeń i nie dla wszystkich składa się z mamy, taty, dzieci, ślubu oraz wspólnego rozliczenia podatkowego. Wychowujemy także dzieci pozamałżeńskie, poczęte dzięki pomocy znajomych i osiągnięciom medycyny. Albo nie mamy ich wcale. Nie mówimy już „rodziny rozbite”, unikając piętnowania, a może zwykłego przyznania, że coś pękło. Wolimy „rodziny patchworkowe”, pozszywane w kolorową mozaikę z drugich mężów, żon, przyrodnich braci i siostr. Nie żyjemy na „kocią łapę” ani „kartę rowerową”, lecz w „związkach partnerskich”. Podkreślamy atrakcyjność nietypowych relacji, płynącą z nich naukę tolerancji. A do grona najważniejszych w życiu osób dopisujemy terapeutów.

Wszyscy – nieważne, jaki wybraliśmy scenariusz – na równi boimy się samotnej starości, przeżytej w cierpieniu i ubóstwie. Nigdy jeszcze nie była tak prawdopodobna jak w czasach wyjść awaryjnych, niedotrzymanych obietnic i renegocjowanych przysięg.

Nikt z nas nie ma tej pewności przekonania, jaka płynie ze wspomnień mojego taty. Odszedł przywilej tworzenia własnego życia od zera, bez zabezpieczeń, raz a porządnie. Oddaliśmy go w zamian za sformatowane szczęście i złudny spokój. Swobodę losowych wzlotów i upadków zastąpiliśmy bankowymi procedurami i gwarancjami. Staramy się na co dzień nie pamiętać, że biegniemy torem przewidzianym przez system. Udajemy self-made menów, a przecież urządzamy życie z gotowych już komponentów, dopasowując się do jednego z dostępnych globalnych schematów. Kupujemy dziś, bo rachunek przyjdzie jutro. I dopóki mamy otwarte linie kredytowe, stać nas na wiele, na wszystko. Poza odwagą wejścia do pustego pokoju i budowania z niczego.



9

Szklanka cukru

Przed blokiem, w którym się wychowałam, nie ma już podwórka. Boisko, piaskownica i ławka zniknęły. Plac zabaw znajduje się teraz na obrzeżach osiedla, przy wojskowym płocie. Pod oknami mieszkania moich rodziców pozostały tylko gładkie trawniki oraz chodnik, którym można przejść do swoich spraw.

Tam gdzie dawniej w sercu osiedla stał kiosk – centralny punkt wymiany informacji pochodzących z gazet, plotek i sąsiedzkich rozmów – rosną dziś krzewy. Kiosk przeniósł się bliżej stacji kolejowej, służy teraz do pospiesznych transakcji, dokonywanych po drodze. Ta przeprowadzka była konieczna, bo nikt nie ma czasu zbaczać nawet o kilkadziesiąt kroków czy przystawać na pogawędkę. Życie zagęściło się i skumulowało wzdłuż jednego ciągu komunikacyjnego, prowadzącego poza osiedle, na zewnątrz.

Nie istnieje też przecinająca „slumsy” ścieżka, przy której Piotrek i jego kumple spędzali słoneczne dni. Mieszkańcy tamtejszych bloków – zgromadzeni we wspólnocie – zażądali, by ich omijać. Zagrozdzi, a potem rozebrali chodnik biegnący wzdłuż dawnej ścieżki. Na środku wybudowali śmietnik, który zmusił ludzi do zmiany uczęszczanej trasy. Teraz nie prowadzi ona pod niczymi oknami. Nikomu nie przeszkadza, ale też nie pozwala przejść blisko czyjś życia, tylko obok, bezkolizyjnie i bezosobowo.

Trzepaki, na których robiliśmy fikołki, nie są już potrzebne. Zamiast wywijać trzepaczką, zamawia się wizytę firmy czyszczącej dywany. W miejscu kontenerów na śmieci, po których skakaliśmy ku rozpacz naszych mam, stoją zadaszone budynki, kryjące odpadki dostatniego życia. Są zamykane na klucz, niedostępne dla osób niepowołanych, żaden społeczny rozbiitek nie skleci więc sobie ubożego losu z niepotrzebnych butelek, puszek i innych resztek. Dla dzieci śmietniki też nie są już atrakcyjne. Do zabaw, bardziej niż podwórkowa wyobraźnia i umowne światy, służą gotowe zabawki i urządzenia. Rzeczywistość staje się – nie tylko dla najmłodszych – czymś na kształt przestrzeni obowiązkowej, która nie wytrzymuje porównania z wersjami cyfrowymi. Służy za scenografię życia, o tyle uciążliwą, że nie da się jej przeorganizować jednym ruchem palca na ekranie.

Osiedle robi wrażenie opustoszałego, choć liczba zaparkowanych przed blokami samochodów podpowiada, że w mieszkaniach są ludzie. Spędzają czas w wygodnie urządzonej pokojach wśród swoich sof, malakserów, telewizorów i dekoderek. Łączą się za pośrednictwem lokalnej sieci internetowej.

Jedyną oazą tętniącą życiem społecznym pozostają ogródki działkowe. Przetrwały transformację i nadejście ery konsumpcjonizmu w niezmiennym stanie – można nawet mówić o ich renesansie. W czasach socjalizmu niewielkie działki otrzymywali wszyscy chętni mieszkańcy osiedla – miały ograniczyć wakacyjne wyjazdy i trzymać oficerów blisko jednostki. Były sezonowym sposobem na odciążenie domowych budżetów: uprawialiśmy z rodzicami warzywa i owoce, a nawet hodowaliśmy króliki i kury, ale wykorzystywaliśmy je także do odpoczynku. Opalanie się na leżaku turystycznym zastępowało mamom urlopy, ojcowie pokazywali gołe brzuchy, obrywając porzeczki, a my moczyliśmy małe pupy w gumowych basenikach i udawaliśmy się na przejażdżki taczkami. Działkowicze składali sobie wizyty, by popijać chłodną wodę z syfonu, a wieczorami piec kiełbasę na ognisku.

W latach dziewięćdziesiątych ogródkowe mody się zmieniły – część grządek musiała ustąpić miejsca równo strzyżonym trawnikom, klombom i oczkom wodnym. Zwiększyła się strefa relaksu i komfortu. Warzyw i owoców mieliśmy pełno w sklepach, zresztą przez jakiś czas polskie truskawki i agrest

przegrywały z importowanymi nektarynkami, kiwi i ananasami. A zamiast ognisk zjawily się grille. Gdy ja i moi rówieśnicy wyprowadziliśmy się do większych miast w Polsce i Europie, rodzice podtrzymywali tradycje działkowej gościnności. Wciąż przechodzą do siebie przez niezamykane furtki, wymieniają się najlepszymi warzywnymi okazami, gałązkami bzu i storczykami. Rozmawiają do późna, opędzając się od komarów.

Dziś działki odżyły dzięki modzie na zdrową żywność i znów przyciągają młodych. Latem pełno tam ludzi, furczą kosiarki, grają radia, piszczą kąpiące się w basenikach dzieci, szczekają psy. Sąsiedzi wołają do siebie przez krzewy, obrywając porzeczeki. Można uwierzyć, że czas się zatrzymał. Zniknęły tylko syfony.

W moim dzieciństwie osiedle miało wiele części wspólnych. Jego przestrzeń służyła nie tyle do przemieszczania się, ile przebywania. Łączyły nas jej znajomość i korzystanie z niej, co sprowadzało się do spędzania czasu na rozmowach, zabawach, obchodzeniu terenu. Szliśmy tylko po to, by zobaczyć, że nasz świat nadal stoi, odnotować drobne zmiany, a przede wszystkim spotkać kogoś. Przez przypadek, czy raczej dlatego, że ów ktoś także wychodził na poszukiwania. Łatwo było na siebie wpaść i utrzymać kontakt. Po prostu zamieszkivaliśmy to samo miejsce i czas. Nie przychodziło nam do głowy, że wkrótce nastąpi rozszczepienie, spowodowane nową technologią życia. Mieszkańcy naszego osiedla, i tysiące innych, wyprowadzą się do terytoriów wirtualnych i prawdopodobieństwo wpadania na siebie zostanie ograniczone niemal do zera.

Z Karolą, która mieszkała nad nami, najchętniej spotykałyśmy się na klatce schodowej. Przesiadywałyśmy obok stopnia, na którym jeszcze podczas budowy bloku jakiś robotnik rozlał białą farbę. Została plama przypominająca baśniowy zamek, który widzę w niej i dziś za każdym razem, gdy wspinam się do mieszkania rodziców. Mijający nas sąsiedzi pytali z uśmiechem: „A wy co, domu nie macie?”. „Nam tu dobrze”, odpowiadałyśmy, przyklejając się do ściany. I zostawałyśmy na kolejną godzinę lub dwie, zjeżdżając po drewnianych poręczach i obrywając listki pelargonii z doniczek na półpiętrach. Gdy przychodziły dzieciaki z innych bloków, stawaliśmy gromadą na parterze, przy skrzynkach na listy, niemiłosiernie maltretując ich drzwiczki. A latem przed klatką, dopóki nie przegnali nas sąsiedzi. Zaprzyjaźniał nas czas – wspólnie przestany, przegadany, przemilczany, przenudzony. Decydujące wcale nie było to, czy jesteśmy dla siebie atrakcyjni, czy mamy jakieś unikatowe cechy, dla których warto się lubić. Rośliśmy razem i to wystarczało.

Tamta osiedlowa geografia oszczędziła mi wiele trudu, jakim było późniejsze poszukiwanie bliskich związków. Dzieciństwo w świecie lokalnym, ale też w czasach życia podwórkowego, nie zostawiało wiele pola dla samotności.

Żeby się skontaktować, nie potrzebowaliśmy żadnych narzędzi. Wystarczyło, że weszłam na parapet, nachyliłam się do rury ciepłowniczej biegnącej pionowo między mieszkaniami i zawołałam. Karola nachylała się w swym pokoju piętro wyżej, odkrzykiwała, i tak stworzyłyśmy sąsiedzki telefon. Przeciągałyśmy też na sznurkach między oknami zapisane karteczki – dla zabawy, bo przecież znacznie łatwiej było do siebie przyjść. Fascynowała nas możliwość skontaktowania się w inny, wyjątkowy sposób. Być może ta sama skłonność, element zabawy, kieruje ludźmi dziś, gdy zamiast usiąść twarzą w twarz, wysyłają SMS-y, e-maile, piszą do siebie przez komunikatory, dzwonią.

A jednak niczego, co naprawdę ważne, nie przekazywałyśmy sobie z Karolą na odległość. Zwierzałyśmy się na trzepaku, na odkrytej w lesie zwalonej brzozie albo pod kołdrą, gdy odwiedzałyśmy się w piżamach, żeby odświętnie zanocować w gościnnej pościeli. Wtedy, i tylko wtedy, mogłyśmy powiedzieć wszystko. O końcu naszej przyjaźni zdecydowało przede wszystkim fizyczne oddalenie.

Zaufania i szczerości nie udało nam się do siebie przesać, wyświecić. Żaden z elektronicznych gadżetów nie zdołał zaprzeczyć odległości.

Po pierwszym roku studiów wyprowadziłam się do centrum Warszawy, do piętnastopiętrowego bloku, w którym numery mieszkań szły w setki. Tam poznałam tylko panią Aurelię, staruszkę, którą choroba bioder uwięziła w mieszkaniu. Wychodziła na próg i zaczepiała każdego, byle trochę pogadać. Pytała: „Czy bardzo dziś ślizgo?”. Chciała wiedzieć, czy pogoda pozwoliłaby jej na spacer, czy też groziłaby upadkiem. W jakimś innym życiu, w którym spacer byłby możliwy.

Z początku przystawałam, żeby zamienić z nią kilka słów, ale później – wzorem innych sąsiadów – nauczyłam się przemykać po cichu, by odgłos kroków i przekręcanego w zamku klucza nie przywołał jej na próg. Nie miałam czasu dla samotnej starszej pani. Nie miałam też zamiaru się z nikim zaprzyjaźniać. Pomieszkiwałam tymczasowo, szukałam osobności. W bloku, z którego wyniosło się wielu „tutejszych”, a zastąpili ich przybysze – jak ja i wietnamscy imigranci, z którymi nie mówiliśmy sobie nawet „dzień dobry” mimo długich chwil spędzanych razem w powolnej windzie. Zjawiłam się w cudzej rzeczywistości bez intencji wtopienia się w nią, a nawet zbudowania powierzchownej relacji. Przez jakiś czas myślałam anonimowość z dorosłością, wolnością i prawem do decydowania o sobie. Chętnie uczyłam się wielkomiejskiej obcości, ponieważ pasowała do wyobrażeń o nowoczesnym, dynamicznym życiu. O byciu częścią potężnego wiru, w którym ludzie nie zapuszczają korzeni, bo są zapracowani, pochłonięci sprawami wykraczającymi daleko poza najbliższe otoczenie, spieszą się do czegoś większego i ważniejszego.

Sąsiedztwo jest pojęciem niechcianym, szczególnie dla tych, którzy chcą z czymś zerwać. Wciąż ich przybywa w mieście, a stosunki międzyludzkie stają się trudniejsze. Mieszkania przemieniamy w twierdze. Chronimy się drzwiami antywłamaniowymi, alarmem, kodem, a przede wszystkim postawą obronną. Progi naszych domów to strażnicy intymności nieznoszącej intruzów, nawet tak niepozornych jak sąsiad spotkany na korytarzu, łaszący się pies z klatki obok czy dźwięki dobiegające z innych mieszkań. Oznaki czyjś istnienia bywają niepożądanym zakłóceniem w życiu, które staramy się maksymalnie prywatyzować, projektować jego kształt, okoliczności i komfort. Aranżujemy je, wybierając zamknięte i strzeżone osiedla, okna wychodzące na miejski park, miejsce na parkingu podziemnym, do którego suniemy z innej podziemnej przechowalni pojazdów. Starannie wykrawamy indywidualne korytarze prowadzące przez codzienność. Normą stało się rozstanie – obcość, w której przyjscie z sąsiedzką wizytą jest nie do pomyślenia.

Nie znam swoich sąsiadów z czteropiętrowego powojennego bloku, choć widuję ich od dekady. Kłaniamy się sobie, mieścimy się w konwencjonalnej uprzejmości, ale nic o sobie nie wiemy. Prędzej pojedziemy taksówką do supermarketu, niż zapukamy do swoich drzwi z prośbą o pożyczenie szklanki cukru. Dziś nie wypada czegoś nie mieć i nie być samowystarczalnym, zależność od innych jest skutecznie wykasowywana. Całodobowe sklepy i apteki dbają o to, żebyśmy nie musieli o nic prosić. Zamiast zaprzyjaźnionych sąsiadów mam więc niewielki kawałek plastiku, którym płacę za zaspokojoną potrzebę, zapewniając sobie samotność o każdej porze dnia i nocy.

Mało jest okazji, by uczyć się wzajemności czy wyrozumiałości. Doskonale natomiast opanowujemy relacje oparte na transakcjach. Wszystko, co wymaga bycia klientem, sprzedawcą, konsumentem czy oferentem, mamy w małym palcu. Tam gdzie podstawowym narzędziem są pieniądze, zyskaliśmy olbrzymią sprawność. Rozmawiamy ze światem jak z usługodawcą, który może spełnić wszystkie oczekiwania, jeśli tylko nas na nie stać. Wiemy, jak żądać więcej, zgłaszać reklamacje, korzystać z promocji. Wykształciliśmy potężne branże dotyczące komunikacji i wymiany informacji. Jesteśmy

specjalistami reklamy, public relations, mediów, marketingu, zarządzania zasobami ludzkimi, ale gdy wracamy do naszych kamienic i bloków, zachowujemy się jak społeczni analfabeci.

W środkach komunikacji miejskiej kultura podróży nie istnieje, w jej miejsce wykształciliśmy zaawansowane sposoby unikania kontaktu. W niewielkim zamkniętym wagonie metra czy autobusie, którym jadę do pracy, kilkudziesięciu ludzi doskonale potrafi się nawzajem nie dostrzegać. Skanujemy otoczenie chłodnym spojrzeniem, ignorujemy jadące obok twarze.

W naszych mieszkaniach i apartamentach, gdy trzeba się dogadać, wymienić albo zawrzeć kompromis, zapominamy języka w gębie. Wzywamy na pomoc prawo, piszemy skargi do zarządu wspólnoty, wywieszamy kartki w windzie, zamiast zapukać do czyichś drzwi i porozmawiać – wynegocjować warunki współżycia. Moi sąsiedzi nie prosili o ściszenie muzyki, od razu stukali młotkiem w sufit i dzwonili na policję. Wyprawy mediacyjne na nic się zdały. A teraz ja, gdy przeszkadzają mi ich nocne imprezy, tłukę w ścianę albo wzywam pomoc. I tak już od kilku lat prowadzimy sąsiedzką wojnę z udziałem organów porządkowych. To, co najprostsze – rozmowa – przerasta nas, choć przecież wszyscy byliśmy wychowanymi na podwórku dziećmi, które do sąsiadów z naprzeciwka wchodziły jak do siebie.

Gdy dorastałam, większość otaczających nas dorosłych to byli przyszywani wujkowie i ciocie. Sąsiedzi, wychowawczynie w przedszkolu, ekspedientki. Do cioci chodziło się na obiad, do wujka po landrynkę i żeby się pogapić, gdy pracował w garażu. Sąsiedzka rodzina stanowiła bardzo rozległy twór, a dzieci odtwarzały tę serdeczność między sobą. Oczywiście, zdarzały się spory i ciche dni, ale leczył je czas albo rozsądek – prędzej czy później ktoś piekł sernik na zgodę lub przychodził pożyczyć śrubokręt.

Wieczory imieninowe zaczynały się od tego, że tata razem z sąsiadem – obaj już wyperfumowani i w krawatach – przenosili krzesła. Od nas do nich albo na odwrót, w zależności od tego, kto obchodził imieniny. Spotkanie towarzyskie bez udziału najbliższych sąsiadów nie wchodziło w grę. Świątowało się wspólnie i dotyczyło to także nas – małych. Pomagaliśmy z bratem pucować filiżanki i talerzyki, za co dostawaliśmy kilka kawałków ciasta i mogliśmy pójść w odwiedziny do chłopców z naprzeciwka, by pobawić się w pokoju tymczasowo ogołoconym z krzeseł.

Znaliśmy się dobrze, a progi swoich mieszkań przekraczaliśmy bez skrupowania. Była to trasa często ćwiczona. „Dzień dobry, ciociu, mama prosi o pół szklanki mąki”. „Czy nam ciocia pożyczy pół kostki margaryny i tortownicę?”. „Czy wujek ma dwa wkrety, bo tacie zabrakło?”. Przy okazji takich misji dostawało się co najmniej cukierka, a zwykle jakiś towar na wymianę. Byliśmy posłańcami życzliwych gestów, którzy w zamian za placek ze śliwkami przynosili nóżki w galarecie albo furę pierogów, a za oddaną porcję cukru dostawali żartobliwą burę, że nie trzeba było, bo przecież jeszcze się nadarzy okazja do wzajemności. Zdumiewa mnie dziś, jak wiele sobie dawaliśmy, gdy mieliśmy niewiele. Jak naturalne było, że się prosi, dostaje, dziękuje i odwzajemnia.

Większa była też moc słów. Pewnie dlatego, że nie mieliśmy okazji rzucać ich na wiatr. Ani urządzeń, które sprawiają, że szybkość kontaktu staje się ważniejsza niż jego treść.

W mojej dziecięcej pamięci mama, gdy już znajdzie czas, by się spotkać, robi to porządnie: poważnie i długo. Siedzą z ciocią Grażyną na fotelach, po dwóch stronach niskiej ławy nakrytej bieżnikiem. Rozmawiają. Stygną kawy zaparzone w szklankach z wiklinowymi koszyczkami. Wypełniona cukiernica czeka cierpliwie. Potrzebna czuje się tylko popielniczka, w której – wypalone, pobrudzone szminką – gasną kolejne papierosy. Wiarusy w sztywnej czerwonej paczce albo pachnące miętą zefiry w miękkim zielonym opakowaniu. Na środku pokoju, tuż nad moją głową, zastyga gęsty dym. Przeszkadzam mu, nurkując i burząc rękoma jego gładki spokój.

Mama i ciocia, pochłonięte sobą, nie zwracają na mnie uwagi. Z ich ust sączy się jakiś ważny świat, z ich skupienia i powagi wyrasta coś nieodwracalnego. Wycofuję się z pokoju, jako jedyne świadka potoku słów pozostawiając niewielkiego ciemnego żółwia. Chodzi powolutku wzdłuż regału, a one gadają i gadają.

Rozmowy telefoniczne były wówczas wydarzeniem. Tym bardziej że uzyskanie połączenia przez wojskową centralę przychodziło z trudem. „Zamawiam palmę” – mówiła mama, dyktowała telefonistce numer i odkładała słuchawkę. Od tej pory nikomu nie wolno było tknąć aparatu. Bo mama, choć pozornie zajmowała się innymi sprawami, czekała w kolejce. Nie wiadomo było, ile to potrwa – godzinę, może dłużej. Telefon rozdzwaniał się wreszcie, przesywając nas nagłym dryndnięciem. Kiedy używała kryptonimu „czeremcha”, centrala łączyła ją z Kielcami, czyli ciocią Leną lub Krysią. Gdy prosiła o „palmę”, dzwoniła do mieszkającej już w Legionowie cioci Grażyny, natomiast „zamek” oznaczał rozmowę z mieszkającą w Warszawie koleżanką z pracy. Gdy siostra mamy dzwoniła do nas ze Śląska, łączyły ją trzy różne centrale, a cała operacja zajmowała kilkadziesiąt minut.

Telefon był urządzeniem tak ważnym, że miał specjalnie urządzony kącik w przedpokoju. Aparat został przytwierdzony do ściany, a pod nim na półokrągłej półeczce czekały notes z numerami, kartki i długopisy. Na wypadek, gdyby nadeszła jakaś ważna wiadomość.

Rozmowy mamy zaczynały się od razu od spraw najważniejszych, bo w każdej chwili telefonistka mogła przeszkodzić i nakazać rozłączenie. A wtedy zostawał tylko moment, by zapleść rozpoczęte wątki, prowizorycznie zabezpieczyć je do następnego razu. Potem, po kilku tygodniach czy miesiącach, mama z łatwością tknęła ciąg dalszy. Jej telefony były staranne. Miały znaczenie, ponieważ nie wiedziała, kiedy zdarzy się następny. To wywoływało poczucie odpowiedzialności za słowo, które na długi czas pozostanie ostatnim.

Teraz za sprawą noszonych zawsze przy sobie telefonów nie przywiązujemy szczególnej wagi do tego, co mówimy. Nadajemy często i dużo, byle jak. Bo zawsze można coś dopowiedzieć, odkręcić, w ogóle odwołać. Możliwość wykasowywania treści, ich poprawiania w komputerach czy telefonach oduczyla nas strachu przed potęgą słów. Poprzednia wersja nie zostawia śladów, można więc z łatwością powiedzieć coś zupełnie przeciwnego, zrobić to ładniej i mądrzej – albo skłamać. W natłoku komunikatów żadna deklaracja nie rodzi poważnych konsekwencji.

Mam w domu szufladę, a w niej setki pocztówek, przysłanych moim rodzicom z okazji świąt, urodzin i imienin. Znad morza, z gór i dalekich krajów. Leżą razem, w nieuporządkowanym archiwum dobrych życzeń, których nic już nie cofnie. Przychodziły regularnie, od przyjaciół, kolegów z pracy, rodziny. Podtrzymywały relacje mimo braku telefonów i długiego niewidzenia. Życzenia konwencjonalne albo spontaniczne, jednozdaniowe pozdrowienia składane „wraz z żoną i dziećmi” od kolegów z wojska albo ściubione aż po sam róg relacje przyjaciółek z dalekich wycieczek. Ślad, że ciocia była w Bieszczadach, gdy ja kończyłam roczek. Dowód, że ktoś lubił tatę, choć później o nim zapomniał. I że tęskniłam za rodzicami na moich pierwszych samodzielnych wakacjach – pisałam z błędami, roztrzęsioną ręką na odwrocie pocztówki z czerwonym fiatem 125p.

Kartki wyjęte ze skrzynki pocztowej wsuwaliśmy pod ramę lustra. Wisiały tam niczym domowa wystawa przez kilka tygodni, nie pozwalając zobaczyć, czy buty pasują do spódnicy. Odróżniałam autorów po charakterze pisma i stylu. Nie przepadałam za oficjalnym „wszelkiej pomyślności”, uwielbiałam natomiast radosne „całusy!”.

Teraz bardzo rzadko dostaję kartki, jeśli już to z daleka. Te kawałki papieru podróżujące między

adresami są zbyt retro na nasze elektroniczne możliwości. Brak im tempa, dynamiki – idą wiele dni. Wymagają wysiłku i staranności, bo – wbrew opowieściom o nietrwałości papieru – mogą w szpargałach przetrwać wiele lat, więc nie pisze się ich zdawkowo. Pocztywki świadczą o intencjach, nie o ulotnym nastroju. Mają swój uroczysty ton i może to właśnie tak zniechęca – perspektywa powiedzenia czegoś serio, na zawsze.

Żał mi wszystkich niepozostawionych śladów serdecznych myśli, niewysłanych dowodów na to, że ktoś nie jest mi obojętny. I – już na zapas – żał mi starości, której nie spędzę wśród pamiątek mówiących do mnie te wszystkie czułe słowa sprzed lat.

Dopóki najpopularniejszym sposobem łączenia się na odległość były telefony stacjonarne, zdarzało się na nich „wisieć”. Nieraz godzinami, bez zniecierpliwienia i obawy o upływający czas. Tata zaglądał do pokoju, w którym od dawna siedziałam z rozgrzaną słuchawką przy uchu, uśmiechał się i mówił: „Dam wam na kawę, wyjdzie taniej”. Dzięki zatrzymaniu w jednym miejscu, na krześle czy w fotelu, możliwe było snucie rozmowy. Miała charakter monogamicznego połączenia między dwoma osobami, zajętymi byciem ze sobą na przekór oddaleniu. Cały wysiłek nakierowany był na to, by wytworzyć poczucie bliskości i wyłączności. Jako nastolatka tak budowałam swoje najważniejsze przyjaźnie. Wiem jednak, że dla mojego dziadka mówienie po kablu pozostało krępujące i obce. Rozmawialiśmy przez telefon raz, gdy nie mógł przyjechać na moją Pierwszą Komunię. Bał się zostawić gospodarstwo bez opieki.

Telefony komórkowe jako pierwsze, jeszcze zanim pojawił się internet, dały możliwość prowadzenia rozmów przy okazji. Pozwalają być jednocześnie w wielu obszarach i czynnościach. Odzwyczajają od poświęcania się rozmowie, oddawania jej całej uwagi. Teraz każda chwila przynosi wiele możliwości, a my – zamiast dokonywać między nimi wyboru – łączymy je.

Telefon w kieszeni sprowokował ruch. Mówi się, że dzięki technologii nie musimy być przykuci do biurek, nie musimy być na miejscu. Ale stało się chyba odwrotnie – to ona wypędziła nas z krzeseł i foteli, to przez nią musimy być mobilni. Trudno stwierdzić, czy służy naszej gorączkowej bieżącej, czy też ją powoduje.

Pamiętam uczucie nonsensu, gdy się pierwszy telefon komórkowy odbierało w domu. Działały jeszcze aparaty stacjonarne, nasze mieszkania to był wciąż ich rewir. Komórka domagała się dynamicznego kontekstu. I wkrótce go jej zapewniłyśmy, pochłonięci manią przemieszczania się. Telefony z kablem kurzyły się, coraz mniej używane, by ostatecznie pójść w odstawkę. Jestem ostatnią wśród znanych mi rówieśników osobą, która taki telefon posiada. Dzwonią na niego tylko rodzice, koleżanka z Anglii oraz armia handlowców, oferujących poduszki elektryczne, odkurzacze i ubezpieczenia na życie. Nie odłączam go w nadziei, że wróci czas na długie rozmowy, których nie rozpoczyna pytanie: „Gdzie jesteś?”.

Możliwość łączenia się zawsze i wszędzie uszczknęła niemało z naszego poczucia intymności. Początkowo prowadzenie rozmów w obecności innych, na przykład w tramwaju czy restauracji, uchodziło za zwykłe chamstwo. Pasażerowie i stolikowi sąsiedzi udzielali sobie upomnień, wymownie chrząkali i przewracali oczami. A wtedy rozmówcy kulili się w sobie, ucinali szybkim: „Oddzwonię później”. Ale prędko zagadaliśmy tę wstydlivość, czy raczej przyzwoitość. Teraz rozmawiamy pełnym głosem o sprawach najzupełniej prywatnych lub zawodowych i poufnych – bez skrępowania, wśród obcych. Jakby ich nie było. I jakby każda chwila wymagała wypełnienia – czymś, czymkolwiek.

Charakter naszych rozmów przeszedł jeszcze głębszą zmianę za sprawą internetu. Przypominamy zbiór wielofunkcyjnych postaci, odgrywających jednocześnie różne role. Prowadzimy istnienia równoległe, z trudem odróżniając ich odmianę wirtualną i realną. Gdzie dokładnie jest nasze życie – nie wiadomo.

Wszędzie i nigdzie.

Świat cyfrowy zwałił się z całą swą globalnością, intensywnością i wieloznacznością na nasze – wciąż pojedyncze – głowy. Mamy tę samą co dawniej, ograniczoną zdolność jego przyjmowania i odczuwania. Nieopuszczające nas poczucie pośpiechu wynika nie tyle z większej liczby zdarzeń, co z większej wiedzy o nich. Z potrzeby ich porządkowania i rosnącego wysiłku, jaki wkładamy w przyjmowanie bodźców, ale także ich odrzucanie. Przybyło wszystkiego, co powinno lub wręcz musi nas obchodzić, a także lęku przed wszystkim, co moglibyśmy przeoczyć.

Na wykształconą przez polskie przemiany gospodarcze mobilizację nałożyła się wirtualna gorączka. Żyjemy w tempie turbo. Odłączenie się od biegu spraw grozi poczuciem zagubienia, jakie dopada mnie zawsze, gdy spotykam kogoś, kto jest bardziej na czasie. Wiele naszej energii pochłania poszukiwanie nieistniejącego epicentrum. Wydaje się, że zamieszkują je ludzie bardzo młodzi, nastoletni. Ale oni też cierpią na poczucie przedwczesnego starzenia i peryferyjności, powtarzają: „Nie ogarniam”. Zmian nie da się dogonić, odkąd dokonują się równolegle w nieskończonej liczbie miejsc.

Staramy się wiedzieć jak najwięcej, a tracić jak najmniej. Zadaniem urzędów jest umożliwienie porozumiewania się z dużą liczbą osób i innych narzędzi, często i skutecznie. Do tego właśnie – a nie do tworzenia więzi – służą elektroniczne i cyfrowe media. Ludzka rozmowa nie stawia sobie zadań, a czas jest jej sojusznikiem. Wymaga jednak prawdziwej obecności.

Pląsawica komunikacyjna przypomina wojnę wydaną osamotnieniu, ale powoduje także jego namnażanie. Bywam w kawiarniach – z przyjaciółmi, książką lub telefonem, otoczona ludźmi prowadzącymi ze sobą rozmowy i tymi, którzy przychodzą w towarzystwie elektroniki. Dziś nikt nie jest sam, jeśli tylko ma przed oczami ekran, a w nim – wirtualne powody do uśmiechu, marszczenia brwi, nerwowego przygryzania warg. Mogę spędzić wiele godzin, dzwoniąc i pisząc na zmianę, w przekonaniu, że przeżyłam ten czas dobrze, bo z kilkorgiem ludzi zamiast jednego, który siedząc ze mną przy stoliku, stanowiłby przecież ograniczone źródło danych i doznań. Co ważniejsze jednak, ten pojedynczy człowiek byłby prawdziwy, bliski, a przez to nieodwołalny. Wraz z nim przysiadłby się do mnie uczucia – może także więź, zobowiązania. Mogłoby nastąpić coś faktycznego, czego już nie wymażę. Łatwe wyjście, uczuciowa amnezja to przywileje wirtualne, dotyczące tylko tych osób, których naprawdę nigdy przy nas nie było.

Cyfrowe związki podlegają iluzoryczności, ale ona coraz silniej przekłada się również na rzeczywiste zbliżenia. Wielu znajomych, z którymi dawniej regularnie się spotykałam, teraz jedynie „widuję” na ekranach. Zamiast z nimi rozmawiać, dowiaduję się, co jedli albo jakiej piosenki dziś słuchali. Złudzenie, że wiemy, co u nas słychać, nie zapełnia jednak potrzeby bliskości. W ostatnich latach prawdopodobieństwo, że się z kimś zobaczę, znacznie zmalało. Wszelkie urządzenia, które miały nam ułatwić kontakt, oddaliły nas od siebie. Tłumią chęć bycia razem.

Bywa, że zadowolam się tymi powierzchownymi notkami, opiłkami treści, ponieważ ludzie i ich sprawy stają się zaledwie jednymi z wielu informacji, które mnie nieustannie zalewają. Zdarza mi się opędzać od znajomych jak od kolejnych bodźców, obciążających zmęczony ciągłym przetwarzaniem umysł.

Może dlatego wolimy krótką wiadomość, emotikon. Do perfekcji opanowujemy umiejętność zbywania innych. Zabójcze dla znajomości jest ciągłe odsuwanie rozmów, wspólnych kaw, spacerów i wyjazdów na nieokreślone potem. Wizyty, na które kiedyś moi rodzice bez uprzedzenia wpadali do przyjaciół, dziś są przedmiotem długich i skomplikowanych pertraktacji. Zwykłe odwiedziny poprzedzamy telefonami, SMS-ami. Wytwarzamy w ten sposób powłokę ochronną dla prywatności albo tylko symulujemy chęć spotkania, skoro ustalamy je całymi tygodniami.

Jest w tym spychaniu na później – tak już powszechne, że niezauważane – uprzedmiotowanie ludzi. Świat codziennie składa nam gigantyczną ofertę atrakcji, daleko przerastającą nasze pragnienia. Człowiek realny to zaledwie jeden z dostępnych scenariuszy i czasem przegrywa z wersjami wirtualnymi.

Coraz częściej bliskość wydaje się możliwa tylko pod warunkiem jednoczesnego oddalenia. Potrafimy być ze sobą za pośrednictwem technologii, ale bez niej czujemy się obnażeni, krusi, niezdolnie dla samych siebie faktyczni. Dopóki nie będziemy razem naprawdę i długo, nie przyjdzie wstrząs. Nie zagrażą nam ani bolesna strata, ani wspaniała przyjaźń i miłość. W gruncie rzeczy możemy być więc spokojni – nie przydarzy nam się nic.

Wirtualne życie nie zostawia głębokich emocjonalnych śladów. Niepokoi mnie prawdopodobieństwo, że moja śmierć nie wywoła w nikim uczucia dojmującej pustki. Być może nikt nie przechowa mnie w swojej pamięci. A więc koniec też będzie na niby.

Im jestem starsza, tym wyraźniej daje o sobie znać gen podwórkowy. Dojrzewanie to też wyrastanie z zachwyty nad oceanem możliwości – nieograniczonych, ale w większości zbędnych. Dawne marzenia o życiu pod każdym względem niezwykłym z przyjemnością zawężam teraz do małej, znanej codzienności. Niechętnie już odbieram telefon w tramwaju czy na ulicy. Czekam na moment, gdy możliwa będzie autentyczna rozmowa. Zauważyłam, że moi znajomi robią to samo. Oddzwaniamy z domów, z ciszy, w wolnej chwili. Dopiero gdy i ja, i ten drugi ktoś ma czas, nieruchomiejemy dla siebie na trochę. Przestałam wysyłać tysiące krótkich wiadomości, którymi podtrzymuje się iluzoryczne więzi. Za to znów nadaję pocztówki, dzwonię i zapraszam na spotkania. Znoszę niepewność, czekając na odpowiedź. Wytrzymuję rozłączenie i tęsknotę. Przeżywam utraty, gdy między sałatką a deserem okazuje się, że wirtualna życzliwość była jednak fatamorganą. Sprawdzam, z kim i dla kogo istnieję naprawdę.



10

Pobite gary

„Pic na wodę fotomontaż!”, mówiła mama, gdy w telewizji pojawiały się transmisje defilad, pochodów i oficjalnych wystąpień. Ja, kilkuletnia, siedziałam przed ekranem, wypatrując oddziałów marynarki wojennej. Wsłuchiwałam się w komendy: „Na ramięęę broń!”, „Prezentuuuj broń!” oraz meldunki, składane przez wyprężonych żołnierzy. Tata uczył mnie rozróżniać rodzaje wojsk po umundurowaniu, wyjaśniał, gdzie stacjonują i jaki utwór gra właśnie orkiestra przed Grobem Nieznanego Żołnierza. Podziwiałam równy marsz muzyków przez ekran, ich wypolerowane instrumenty, a najbardziej werble, które budowały atmosferę uroczystego napięcia. Z takim samym zaciekawieniem oglądałam transmisje z obrad sejmku, monotonne przemówienia mężczyzn w burch garniturach, konferencje prasowe rządu oraz poranne doniesienia o cenach zbóż i pasz.

Mama przechodziła tylko przez pokój, rzucając w kierunku telewizora i przedstawicieli władz państwowych jedno cierpkie zdanie. Było w nim wszystko. Cały jej stosunek do zakłamanej i groteskowej rzeczywistości polityczno-wojskowego spektaklu, w którym żyliśmy na osiedlu i w kraju. Odrobiną ironii i machnięciem ręki wyrażała swoją odrębność i niedowierzenie, jakby opędzała się od uciążliwej bzdury. Mama była w opozycji. Nie formalnej – osobistej.

Nie chciała się ułożyć z reżimem: nie podlizywała się ekspedientkom w mięsnym, nie przesiadywała w bufecie ani kasynie, nie słuchała i nie powtarzała plotek. Nie zapisała się też do Organizacji Rodzin Wojskowych, urządzającej wspólne wypieki i zabawy dla dzieci. W pochodach pierwszomajowych i defiladach nie brała udziału. Mówiła, co myśli, więc nie miała na osiedlu wysokich notowań. W przeciwieństwie do taty, który chciał i potrafił dobrze żyć z ludźmi. Bywał, wszystkich znał i chętnie pomagał. Kiedy potrzebne były krawężnik, siatka do badmintona albo transport na basen, on okazywał się niezbędny. Gdy mówił: „Wychodzę na chwilę”, to znaczyło, że nie będzie go dwie godziny: idzie na zebranie Klubu Działkowca, koła łowieckiego, spotkanie komitetu osiedlowego, debatę w szkole albo porozmawiać z proboszczem. Po drodze ze stacji kolejowej co rusz z kimś przystawał, załatwiał masę spraw, nie wypuszczając z rąk ciężkiej teczki. Był organizatorem, negocjatorem, animatorem – kwintesencją społecznika.

Dorastaliśmy z bratem pomiędzy życiem publicznym taty i życiem osobnym mamy. Między głównym traktem a własną ścieżką. W dwóch wzorcach wolności, które są naszą busolą teraz, w zupełnie zmienionym świecie.

Z czerwca 1989 roku zapamiętałam tylko słońce i gorąc. Nowe półbuty okute blaszką, szalenie modne wtedy „depeszki”, obcierały w upale. Widziałam zakurzone egzemplarze nowej „Gazety Wyborczej” gdzieś przy drodze, gdy jechaliśmy do babci na wakacje. Ale to dopiero kilkanaście dni później, już po wszystkim. W wolnej Polsce. Niedaleko za Warszawą tata spojrział w lewo i powiedział, że właśnie tam, w Magdalence, a nie przy Okrągłym Stole w Pałacu Namiestnikowskim, zostały zawarte najważniejsze porozumienia. Odtąd powtarzał to już zawsze, w tym samym miejscu. Przybył nam kolejny stały punkt podróży, bo wcześniej na Trasie Łazienkowskiej wypatrywaliśmy dzikich kaczek, a tuż przed domem babci, gdy samochód wjeżdżał na wysoką górę, jak na komendę wyłaniały się trzy kamienne wieże średniowiecznego zamku. W dziecięcej głowie polityka stawała się trwałą częścią krajobrazu.

Wyniki pierwszych częściowo wolnych wyborów do sejmku i senatu zostały wywieszane na szklanych

drzwiach w klubie garnizonowym. Zapanowało poruszenie, bo na naszym – oficjalnie proreżimowym – osiedlu wygrała opozycja. I było to zwycięstwo, jak w całym kraju, przytłaczające. Zazdrościłam rodzicom, że mogli głosować. Podobnie czułam się podczas niedzielnych mszy, gdy mama zostawiała mi rękawiczki, mówiąc: „Potrzymaj, zaraz wrócę”, i ustawiała się w kolejce do komunii. Też chciałam być częścią odświętnej, może świętej, sprawy.

W 1990 roku po raz pierwszy poszłam na wybory. Z mamą za rękę. Głosowałyśmy na prezydenta. Wsunęłam się za śliską kotarę, do wnętrza kabiny z dykty malowanej białą farbą. Na półeczce leżał tani długopis, przywiązany sznurkiem. Zaznaczyłam krzyżyk przy nazwisku, które wskazała mama. Przeżyłam uroczysty moment, ale i wielką złość. Bo mama, rozgoryczona przedwyborczym cyrkiem, raz jeszcze powiedziała: „Pic na wodę fotomontaż!”.

I z przekory zagłosowała na Stana Tymińskiego, który przybył nad Wisłę z dalekiej Amazonii, uwodząc wyborców niezłym garniturem, a przeciwników strasząc zawartością swej czarnej teczki. Podobała mi się jego żona o śniadej cerze, ale gdybym mogła decydować, wybrałabym Tadeusza Mazowieckiego i jego „siłę spokoju”. Pryncypialność dziesięciolatki kazała mi uważać, że nie pora na żarty. Śmiertelnie pogniewałam się na mamę.

Jednak ona nie była jedyna. Mama kolegi nie skreśliła żadnego nazwiska – zapisała natomiast całe marginesy karty do głosowania drobnym maczkiem, dając upust swojemu rozczarowaniu kandydatami i wściekłości, że wyczekiwana wolność zmieniają w hucpę. Pisała, wiedząc, że nikt tego nie przeczyta, a jej głos zostanie uznany za nieważny.

Mit wolnych wyborów jako misterium demokracji rozpadł się natychmiast. Gdy tylko wczorajsza opozycja stała się dzisiejszą władzą, pokazała kły. A wolność polityczna okazała się bezpardonową, brzydką walką, w której wygrywali sprytniejsi, bardziej efektowni. Choć to Mazowiecki był najpoważniejszym rywalem Lecha Wałęsy, współtwórcą sukcesu Solidarności w Stoczni Gdańskiej w sierpniu 1980 roku, pierwszym niekomunistycznym premierem i jednym z twórców transformacji, to już w pierwszej turze wyborów prezydenckich przegrał z hochsztaplerem, który lepiej wyglądał, ładniej mówił i więcej obiecywał. W drugiej turze znaleźli się Tymiński i Wałęsa – żaden nie miał wysokich kwalifikacji do rządzenia, ale to Tymiński był zagrożeniem dla kraju. Mama porzuciła ironię, pomyślała pewnie: „Nie chcę, ale muszę” i poparła Wałęsę, jak większość głosujących. Od początku uczyliśmy się wybierać mniejsze zło.

Nie przepadałam za nowym prezydentem – często mówił i robił rzeczy, przez które się za niego wstydziłam. Marzyłam o bohaterze – o kimś, kogo mogłabym podziwiać. O mężu stanu, który przemawiałby i rządził mądrze, znał kilka języków, miał dobre maniery i umiał porozumieć się z każdym – od robotnika po królową brytyjską. No i żebym czuła się dumna, widząc go wśród przedstawicieli innych państw.

Tymczasem na szkolnym korytarzu żartowaliśmy z wpadek Wałęsy, jego wąsów, powiedzonek i palców układanych w znak zwycięstwa. Wzdychaliśmy, robiliśmy niezadowolone miny i powtarzaliśmy za dorosłymi: „Cóż, taki prezydent, jakie społeczeństwo”. Mieliśmy nadzieję, że dojrzejemy, a po Wałęsie przyjdą lepiej przygotowani i bardziej kompetentni. To tylko początek – słyszałam nieraz – demokracji trzeba się nauczyć.

Polityka była częścią naszych zabaw i sporów. Pytaliśmy: „Na kogo głosuje twój tata?”, żeby ustalić

podwórkowe sojusze i określić się, naśladować czas wielkich decyzji. Odgrywaliśmy dyskusje, posługując się zasłyszonymi argumentami. Rozumieliśmy jeszcze niewiele, ale wiedzieliśmy dużo: znaliśmy nazwiska ważnych polityków, ich partie, odróżnialiśmy „komuchów” od „prawicowych oszołomów”, lubiliśmy dzinsowego Kurońa i pykającego fajkę Geremka, naśmiewaliśmy się z muszek Korwin-Mikkego i wielkich koków Małgorzaty Niezabitowskiej. Mieliśmy swoich politycznych idoli, tak jak się miało ulubionych muzyków i aktorów filmowych.

Byliśmy na czasie dzięki telewizji i słuchaniu rozmów rodziców przy imieninowych stołach zastawionych sałatką jarzynową i półmiskami wędlin. Mój ledwie trzynastoletni brat obejrzał całutką debatę Alfreda Miodowicza z Lechem Wałęsą. Rozumiał akurat tyle, że zaraz wydarzy się coś wielkiego. Jakaś słuszna sprawa, o której rok wcześniej w homilii do młodych na Westerplatte mówił Jan Paweł II. Porzuciliśmy Wieczorynkę dla Wiadomości, wertowaliśmy gazety ze stosu, który rósł na wiklinowej tacy w dużym pokoju, i nastawialiśmy radiomagnetofon na częstotliwość nowego, komercyjnego radia.

Nikt nam nie wykladał życia publicznego ani nie tłumaczył, co się dzieje. Chłoniliśmy informacyjne odłamki, nasiąkaliśmy wszechobecną atmosferą, w której było coś z ordynarnej przepychanki, ale też sporo historycznej powagi. Wiedzieliśmy, że ważą się losy kraju i nie jesteśmy jeszcze po bezpiecznej stronie.

Na ekranie telewizora nie było już maszerujących równo i zgodnie żołnierzy, obraz rozbił się na wiele niepasujących do siebie kawałków. Po pięćdziesięciu latach fikcyjnego monolitu oglądaliśmy jawną, niereżyserowaną awanturę niezliczonych partii i stronnictw. Przynosiła uczucie zamętu, niepokoju, prowizorki.

Wolność pozostawała dobrem wspólnym i wyższą instancją dopóty, dopóki znajdowała się w sferze aspiracji. A potem nagle zmieniła się w łup do podziału.

Kompromis w słusznej sprawie, wspólne zwycięstwo – to było ledwie okamgnienie, ale doświadczyliśmy go. Prawdopodobnie dlatego trwa w nas przekonanie o doniosłości polityki, o tym, jaka być powinna. Pierwsze widowisko życia publicznego, jakiego doświadczyłam w dzieciństwie, dotyczyło spraw największych. Od tego, jak zachowują się dorośli, zależało wtedy wszystko – kształt codzienności, cała przyszłość. Śledziłam wydarzenia jak baśń, w której trzyma się kciuki za szlachetnego księcia i drży ze strachu przed czarnoksiężnikiem zdolnym wszystko zniweczyć. Żadne późniejsze przeżycie polityczne, najbardziej nawet realne i gorzkie, nie unieważnia legendy o romantycznej wspólnotcie i jej opozycyjnych rycerzach w dzinsach i wyciągniętych swetrach. Od ćwierćwiecza jestem zakładniczką bitwy o wolność i demokrację. Czekam, aż ziści się obietnica tamtej chwili – powróci zgoda między walecznymi. Odeszli mędrcy przełomu: Kuroń, Mazowiecki, Geremek, Kozłowski, Skubiszewski. Wzniosłą baśń zastąpiła partyjna telenowela. Nadzieja na objawienie przywódców wielkiego formatu tli się we mnie mimo trwających pospolitych kłótni, przeciętniactwa i cynizmu polityki. Sen o dojrzałej demokracji pozostaje niespełniony, ale wciąż się śni.

W naszym miasteczku zgoda także szybko się skończyła. Tylko pierwsze wybory parlamentarne i prezydenckie przyniosły podobny rezultat po obu stronach torów. Wystarczyło kilka gospodarczych turbulencji i międzypartyjnych konfliktów, by osiedle zatęskniło za starym porządkiem. Dawny podział wojskowo-cywilny powrócił pod postacią różnic politycznych: u nas dużym poparciem cieszyli się postkomuniści, za torami – liberałowie.

W całym miasteczku wspólna była jednak chęć samostanowienia. W wyborach samorządowych do końca lat dziewięćdziesiątych najważniejszą rolę odgrywały komitety obywatelskie, a nie partie. Lokalna

polityka była areną obrońców praw zwierząt, społeczników, urzędników, oficerów, przedsiębiorców, nauczycieli. Ludzi, którzy poświęcali długie godziny, by za symboliczne diety poprawiać okoliczną rzeczywistość.

Mieliśmy na lokalną skalę swoich Krzaklewskich i Wałęsów, swoich Macierewiczów i Cimoszewiczów. Swoje afery, koalicje i opozycje, strategiczne przyjaźnie i nienawiści, nieustanny kocioł spraw i sporów. Bulgotał, a tymczasem wyłaniały się z niego nowe szkoły, pawilony, wodociągi, kanalizacja. I miejscowa klasa polityczna. To ona podjęła wszystkie strategiczne decyzje, dzięki którym senne satelickie miasteczko stało się jedną z najlepiej zarządzanych gmin w Polsce, wreszcie – częścią stolicy. Dopiero wtedy wkroczyła duża polityka.

Po roku 2000 dobiegła końca era niezależnych. Przydomek „niezależni”, który zaraz po 1989 roku budził zaufanie i był synonimem bezinteresownego zaangażowania, dziesięć lat później przeszkadzał. Scena polityczna się profesjonalizowała i – podobnie jak rynek gospodarczy – zdominowały ją duże organizacje. Ogólnopolskie partie wchłaniały cieszących się lokalnym zaufaniem działaczy tak, jak międzynarodowe korporacje i koncerny wchłaniały stworzone w kraju firmy. Krótco po rozpoczęciu transformacji polityka przestała być działalnością publiczną. Stała się wersją kariery zawodowej, alternatywą dla biznesu. Społecznicy i entuzjaści, którzy chcieli pracować bez partyjnej przynależności, zostali zmarginalizowani. Mój tata i inni niezrzeszeni działacze z miasteczka startowali w wyborach samorządowych, tworząc społeczne komitety obywatelskie, lecz w nowym stuleciu zaczęli przegrywać z oddziałami ogólnopolskich partii.

Dziś ścieżka polityczna jest właściwie zamknięta dla osób aktywnych, myślących niezależnie i nienależących do partii. Przenoszą się więc do sfery pozarządowej – prowadzą fundacje, stowarzyszenia. Ona daje możliwość budowania życia społecznego, jest rozproszona, zostawiła miejsce dla pojedynczych graczy i na nietypowe działanie. Polityka tymczasem stała się ekstraktem władzy, uprawianą etatowo rywalizacją retoryczną. Oddalona od realiów, unosi się wysoko nad nami i straszy niczym dziura ozonowa.

Prędko oduczyliśmy się myśleć w kategoriach zbiorowych, ponieważ przypominały relikty socjalizmu, lament noszony na transparentach przez zgrupowania wykluczonych, wylęknionych, słowem: przegranych. Okupacje, strajki, demonstracje, protesty, blokady, okrzyki, płonące opony i kukły – nastolatkom dorastającym w latach dziewięćdziesiątych kojarzyły się z obciachową awanturą i kazały trzymać się z daleka od polityki.

W naszym urządzanym na nowo świecie każdy miał wydeptywać swoją ścieżkę, pracować na własne konto i nie prosić o pomoc. Społeczeństwo atomowe było na czasie nie tylko w Polsce – zbliżał się koniec stulecia ideologii, totalitaryzmów, ruchów kontrkulturowych. Muzyka elektroniczna wprowadzała w pulsowanie globalną wioskę i jej wieloetniczny, obojętny tłum. Wspólnotowość wydawała się nam dobra dla hipisów albo punków, a wniosłe manifesty skończyły się wraz z supergwiazdami popu. My uczestniczyliśmy w obumieraniu subkultur i narodzinach niezliczonych nisz. Odrębność, osobność, mówienie za siebie, a nie za miliony – w naszym podzbiorze wspólnym leżała tylko jedna wartość: indywidualizm. Pojęcie wolności miało przede wszystkim wymiar osobisty.

Liczba pojedyncza i współzawodnictwo szybko zajęły puste miejsce po zdewaluowanych celach grupowych. Polskie realia przez pół wieku uczyły przecież, że państwo jest ciałem obcym, narzuconym, niechcianym i miażdżącym odrębność. W opozycji do niego, traktowanego na równi z reżimem i władzą, narodził się demokratyczny opór – żywe, spontaniczne relacje, wyraziste osobowości. W porównaniu z nimi państwo było nieruchomym, martwym głazem.

W latach dziewięćdziesiątych kompromitacja państwowości była tak silna, że jedynym obszarem jej przetrwania pozostała polityka zagraniczna. Wobec świata chcieliśmy uchodzić za kraj o dobrym wizerunku. Ale na wewnętrzny użytek Polska była chłopcem do bicia. Kpiliśmy z kolegami z urzędniczych posad i etatów, ponieważ stały się synonimem defensywności, nieporadności, wygodnego i nudnego letargu. Starać się o publiczne stołki to jakby kryć się pod spódnicą mamusi. My chcieliśmy grać odważnie, samodzielnie, bez osłon. Wszystko, co kojarzyło się z sektorem prywatnym, budziło respekt i podziw. A państwo – z jego zadłużeniem i bankrutującymi zakładami przemysłowymi – wyglądało na zramolałą maszynę, która tylko opóźnia modernizację. Widzieliśmy w nim instytucję zapomogową dla słabszych, nieprzystosowanych. Nam, przyszłym zdobywcom wolnorynkowych szczytów, ono do niczego nie mogło się przydać. Nie kochaliśmy go i nie mieliśmy powodu szanować, bo dorośli głośno na nie pomstowali – albo uważali, że jest go za dużo, albo że za mało. Jednym przeszkadzało robić interesy, innym niewystarczająco wspierało. Nie podobało się nikomu.

Wizja nieudanego państwa wciąż nam towarzyszy. W sferze idei nie powstała żadna nowa definicja, która mogłaby stanowić wspólną, symboliczną przestrzeń. Utrzymują się dwie wersje: narodowo-romantyczna, przepisana z dziewiętnastowiecznego słownika, oraz współczesna, ekonomiczno-pragmatyczna, sprowadzająca państwo do sumy podatków zarządzanych przez menedżerów wynajętych w drodze wyborów. Ta pierwsza pomija tożsamość globalną i indywidualną, ignoruje fakt, że w zjednoczonej, wieloetnicznej Europie tracą na znaczeniu kategorie narodowe, rasowe, religijne czy językowe. Podobnie jak terytorium, bo na czas pokoju i ponadgranicznej prosperity przyjmujemy, że Polska jest tam, gdzie posiadacze jej paszportów. Druga definicja zobowiązuje tylko do wywiązywania się z finansowych obowiązków i nieszkodzenia innym, a postawę obywatelską sprowadza do fundamentalnej przyzwoitości.

Obie te definicje wykluczają swoich zwolenników i dzielą współczesną Polskę mniej więcej na pół. Są jak protokoły rozbieżności – indeks spraw, w których nie chcemy się spotkać.

Nieokreślona, uwolniona państwowość jest jak kłopotliwy dzinn. Politycy próbują na powrót uwięzić ją w ikonach: fladze, godle, przemówieniach, wieńcach i wojskowych paradach – znów celebrowanych z powodu międzynarodowych misji sojuszniczych. Polskość nadal objawia się przed Grobem Nieznanego Żołnierza i w coraz większej liczbie manifestacji, marszów, obchodów oraz świąt namnażających się w oficjalnym kalendarzu.

Wszystkie te nowe okazje mają wspólną cechę – dotyczą przeszłości. Wskrzeszają ofiary, przywracają cześć pomordowanym, więzionym, torturowanym, zwycięzcom i poległym. Napychają wór narodowej pamięci, gdy współczesny jej wymiar pozostaje niezagospodarowany. Polska dzisiejsza staje się coraz bardziej wczorajsza. A im bardziej złożona jest nasza rzeczywistość, tym bardziej jednoznacznie próbujemy przedstawiać historię.

Sprawy dokonane jednoczą nas tak, jak nie potrafią połączyć żadne bieżące, zachodzące we wspólnym dla nas miejscu i czasie. Tańczymy patriotyczny kontredans wśród starych scenografii, wyciągając z szaf zmurzałe kostiumy, miecze i sztandary. Przypominamy czterdziestomilionową grupę rekonstrukcyjną, zgodnie zwróconą w tył, choć podzieloną na frakcje i stronnictwa, które szczególnie umiłowały sobie odmienne epizody i postaci z martwego repozytorium. O nieboszczyków spieramy się najzacieklej, licytujemy rangę ich cierpienia, należną porcję honoru, rozmiary pomników. Zakłęła nas minioną chwila, którą próbujemy ponownie zasiedlić, notorycznie opuszczając teraźniejszość.

Tu i teraz wspólne mamy przede wszystkim porażki i powody do narzekania. Odłączyliśmy państwo od takich pojęć, jak: dobro publiczne, racja stanu, wspólny interes. Przypisujemy mu wszystko, co się nie powiodło, sobie zaś gratulujemy postępu oraz przemian. To my dokonaliśmy skoku cywilizacyjnego. My wprowadziliśmy Polskę do Europy. My zbudowaliśmy jej wolnorynkową siłę. Lubimy wierzyć, że państwo nie miało z tym nic wspólnego. Że jesteśmy „my” i jakieś fatalne, niechciane „ono”.

W codziennych rozmowach i przekazach medialnych państwo istnieje jako winowajca, który podczas transformacji wyrzucił miliony ludzi na bruk, a teraz marnuje pieniądze, zamiast nam służyć. Wahamy się między pustą celebrą a nienawistnymi roszczeniami.

Polska współczesna jest naszym wspólnym rozczarowaniem. Materializuje się pod postacią publicznej służby zdrowia, Generalnej Dyrekcji Dróg Krajowych i Autostrad, Polskich Kolei Państwowych, urzędów skarbowych, Instytutu Pamięci Narodowej, Poczty Polskiej oraz kilku innych instytucji, na które bez umiaru narzekamy. Łączymy się w pretensjach, jednoczymy w krytyce.

A wszędzie gdzie to możliwe, rozstajemy się z państwem, opłacając prywatne ścieżki. Wykupujemy prywatną opiekę medyczną i miejsca parkingowe, wysyłamy paczki poprzez firmy kurierskie, oszczędzamy samodzielnie na emeryturę, podróżujemy swoimi samochodami, pieniądze trzymamy w międzynarodowych bankach. Tam gdzie państwa ominąć się nie da, traktujemy je jak zło konieczne. Płacimy składki zdrowotne i leczymy się w szpitalach, bo na inne rozwiązanie nas nie stać. Rozliczamy się z podatków, bo musimy. I choć wielu z nas uważa je za pożyteczne, zrobi wszystko, by zapłacić jak najmniej. Obchodzenie przepisów, wymigiwanie się od obowiązku, bycie cwańszym niż prawo – to wciąż powód do dumy i dobra anegdota. Dowód, że Polak potrafi. Nie wstydzimy się oszukiwać państwa ani głośno tym chwalić. Prawdopodobnie w przekonaniu, że ono oszukuje nas.

Jedyne, do czego jest nam naprawdę potrzebne, to wspólna przestrzeń konfliktu. Polska istnieje jako front, na którym ścieramy się światopoglądowo, politycznie, gospodarczo. Nie mamy agory, na którą przychodzilibyśmy ze sobą rozmawiać. Mamy jednak pole bitwy, gdzie zjawiamy się z arsenałem. W czasach pokoju polscy przywódcy utrzymują wojenną strategię i nomenklaturę. Dopóki wojują, czują się niezbywalni. Pokojowe współistnienie oznaczałoby dla nich złożenie broni, pracę wokół spraw istotnych, skomplikowanych. Byłoby sprawdzianem umiejętności, a nie wywijaniem drewnianą szabelką.

My – wyborcy – pozwalamy się uwodzić wojennym teatrem. Zamiast iść do życia i zwykłych zajęć, szwendamy się po okopach. Wolimy bić się o wolność, niż ją mieć.

Od początku transformacji poza życiem publicznym pozostaje około połowa Polaków. Nie głosują w wyborach. Nie wiemy, co myślą ani czy w ogóle czują się częścią odmienionej rzeczywistości. Nie chcą jej czy są w niej niechciani. Ich milczenie i niezaangażowanie należą do naszych największych rozczarowań – wolność miała być wspólna i solidarna. Tymczasem jest rozbita, niczyja.

Fenomen Solidarności i demokratyczne przemiany pojawiły się, ponieważ zaangażowały się w nie – po raz pierwszy wspólnie – decydujące grupy społeczne: robotnicy i inteligenci. Demokratyczna nawałnica dotyczyła wszystkich i po latach narzucanych z góry rozwiązań każdemu zapewniała udział w rządzeniu. Odkąd pamiętam, wolność nazywaliśmy przywilejem. Tyle razy ją nam odbierano, że gdy została odzyskana, była już nie prawem, ale obowiązkiem.

Niekorzystanie z uprawnień, jakie dała, wydaje się niewdzięcznością, nonszalanckim spacerem obok pomników i tablic upamiętniających poświęcenie ofiar. Do dzisiejszej wolności dołączony jest długi wykaz krzywd, nie da się ich rozdzielić.

Moje pokolenie, być może jako ostatnie, rozumie przedwojenną kategorię moralnego obowiązku.

Chcemy czy nie – jesteśmy zobowiązani wysiłkiem poprzednich generacji, skrępowani przeszłością. Żyją jeszcze ludzie, którzy byli gotowi umrzeć za wolność. Są w szufladach powstańcze opaski dziadków, rodzinne opowieści o aresztowaniach i wspomnienia, do których nikt nie chce wracać. Są mama i tata, którzy nie wierzyli, że doczekają końca socjalizmu, a w pawlaczu ukrywali solidarnościową bibułę. Wreszcie jesteśmy my, z bladym wspomnieniem reżimu, za to jaskrawą pamięcią przełomu, jego radości i całkowitej odmiany otaczającego świata. To my stanowimy ostatni epizod wolnościowego mitu. Jesteśmy starzy i nowi zarazem, przecięci na pół. Tylko jedną nogą przynależąc do wolnego świata, drugą zatrzymani w historii.

Lżej by nam było tego wszystkiego nie wiedzieć. Korzystać z wolności, niechby głupio czy nieodpowiedzialnie, ale dla siebie i w czasie teraźniejszym. Zamiast czcić ją w imię przeszłości, obchodzić się z nią jak z relikwią i niepokoić za każdym razem, gdy zbliża się termin wyborów. Byłoby, a jednak obojętność nam nie wychodzi.

Spieramy się o politykę jak dawniej rodzice, tylko na stołach mamy półmiski z sushi i szynką parmeńską. Straciłam kilkoro znajomych, gdy okazało się, że stoimy po drugiej stronie światopoglądowej barykady. Z innymi udaje mi się różnić pokojowo, ale zaczynamy spotkania od wzajemnej obietnicy – ani słowa o polityce. Wiara, że będziemy pierwszą generacją żyjącą w porozumieniu i dialogu, zbladła. Jesteśmy tolerancyjni wobec mniejszości i nieuprzywilejowanych, ale przeciwnikom politycznym stawiamy granice.

Z lat transformacyjnej ekscytacji została w nas potrzeba włączania się w nurt publiczny – bycia poinformowanym, świadomym, zdolnym do samodzielnej oceny obywatelem współczesności. Śledzimy wiadomości, komentujemy, przekazujemy znajomym. Cokolwiek zdarza się w polskiej polityce, natychmiast do nas dociera. Podpisujemy wirtualne petycje i protesty, klecimy naprędce internetowe żarty, demaskujemy niekonsekwencje i błędy aktorów publicznych. Wściekamy się, gromadzimy zwolenników podobnych poglądów. Swą irytację od razu upubliczniamy w internecie, by poczuć, że nie jesteśmy w niej osamotnieni. Angażujemy się wirtualnie, bardzo rzadko zdarza się nam jednak wyjść na ulice – w sprawie aborcji, homofobii, żołnierzy wyklętych, wolności w sieci. Na co dzień tworzymy przypisy do życia politycznego, notując w mediach społecznościowych wszystkie swoje rozgoryczenia. I choć czujemy się ignorowani przez adresatów tak samo jak mama kolegi, która przed dwudziestu pięciu laty wylała swój żal na marginesy karty wyborczej, zachowaliśmy kierujące nią wtedy przekonanie, że każdy głos ma znaczenie.

Raz na kilka lat staję nad kartą do głosowania. Tani długopis wciąż wisi na sznurku, ale kotarki już nie ma. Nie potrzebujemy się ukrywać ze swoimi przekonaniem. Wyrazamy je przecież głośno, potwierdzamy w sondażach.

Za pierwszym razem, gdy już wolno mi było oficjalnie uczestniczyć w wyborach, przyszedłam przygotowana. Miałam w głowie nazwiska kandydatów, wsuwałam kartę do urny z satysfakcją. Srogo zapłaciłam za ten debiutancki entuzjazm, oglądając potem degrengoladę moich faworytów. Później, by zachować wiarę w wartość demokratycznej decyzji, próbowałam wszystkiego: dokładnego sprawdzania dorobku kandydatów, pracy w sztabach wyborczych, dyżurowania w okręgowych komisjach, dawania politykom drugiej szansy, zaznaczania krzyżykiem mniejszego zła i minimalizowania ryzyka, taktyki ograniczonego zaufania, wyboru według płci, wieku i wykształcenia, a nawet zabawy w chybił trafił, oddawania pustej karty, dopisywania „żaden z powyższych”, wreszcie – niepójścia do wyborów.

To ostatnie było najtrudniejsze. Długo czekałam na przywilej podejmowania decyzji. Od tamtego pierwszego dziecięcego głosowania z mamą. Nie przypuszczałam, że po latach spotkam się z nią w gorzkiej bezradności, w poczuciu fikcyjności wyboru.

Nieuczestniczenie w głosowaniu pozostaje dla moich znajomych najmniej prawdopodobną z opcji, bo okupioną wyrzutami sumienia albo krytycznymi spojrzeniami przyjaciół. Nam zależy podwójnie – ze względu na przeszłość, ale i przyszłość, którą spędzimy w takiej rzeczywistości, jaką współtworzymy. Prawo do niewybijania trzymamy głęboko w szufladzie – sięga się po nie w ostateczności, gdy każda decyzja wydaje się sprzeczna z sumieniem. Kto by pomyślał, że staniemy przed takim dylematem – my, dzieci transformacji, urodzone pomiędzy porozumieniami sierpniowymi a obradami Okrągłego Stołu, w dekadzie nadziei.

A jednak coraz częściej mówimy: „Nie mam na kogo głosować”, „Nie oglądam telewizji”, „Nie czytam gazet”, „Polityka mnie nie interesuje”. Podejmowane odrębnie, po cichu, ale na masową skalę decyzje o wycofaniu się z kontaktu z życiem publicznym są naszą wersją wewnętrznej emigracji, małej niepodległości. Nowym etosem części młodych, wykształconych i zniechęconych. Nie manifestantów i nie dezertów, lecz rozczarowanych, którzy odchodzą od wolności politycznej do tej uprawianej prywatnie. Przekonanych, że nie istnieje żadna wspólna publiczna sprawa, pod którą pragnęlibyśmy się podpisać.

Dotąd tylko raz doświadczyliśmy jednoczącej chwili. Dokładnie pamiętam tamten wieczór. Szliśmy właśnie z bratem przez plac Zamkowy. Byliśmy już w parafii w Wilanowie, w Świętym Krzyżu przy Krakowskim Przedmieściu i w katedrze Świętego Jana na Starym Mieście. A teraz chcieliśmy jeszcze wejść do Świętej Anny. Po raz pierwszy od lat mieliśmy potrzebę modlitwy. Nie mogliśmy sobie znaleźć miejsca. W domu nie dało się wysiedzieć. W kawiarniach czuliśmy się źle. W telewizji spikerzy gadali, gdy wypadało milczeć. A więc do kościoła albo na ulicę. Na ulicach było już tłoczno. Sobotnie miasto szło, a jakby czekało, w jeszcze większym napięciu niż dzień wcześniej.

Kiedy rozhuśtał się dzwon, kolana ugięły się same. Ludzi wokół przyciągnęło do ziemi. Dzwonili we wszystkich kościołach.

Na ulicach było nas coraz więcej, coraz cichszych. Kelnerzy pospiesznie podawali rachunki. Barmani wyłączali muzykę. Gasły witryny. Nie wiadomo skąd o tej porze brało się tyle świec i kwiatów. Na chodnikach, pod murami, w oknach, wszędzie.

Wierzący i niewierzący, widywaliśmy się później z przyjaciółmi przez cały tydzień, każdego wieczora o 21.37. Szliśmy w łagodnym tłumie. Nie mówiliśmy prawie nic. Myśleliśmy chyba to samo. Odprawialiśmy bezgłośny rytuał.

Jan Paweł II był ostatnim strażnikiem wartości i słów, w których wzrastaliśmy. I których – wobec jego nieobecności – poczuliśmy się spadkobiercami. Wcześniej słuchaliśmy papieskich homilii jednym uchem, jeśli w ogóle, a do jego encyklik i książek jakoś nigdy nie mieliśmy czasu zajrzeć. Ale był skałą – figurą dobra. Jedynym duchowym przywódcą współczesnego świata. Wzorem świętości, a jednocześnie nieprzetrażonym świeckim autorytetem. Gdy mówił o życiu w odwadze, prawdzie, odpowiedzialności i miłosierdziu, nie dało się go zbyć wzruszeniem ramion. Mimo że od dawna żyliśmy po swojemu, po świecku – odeszliśmy daleko od nauk chrześcijańskich i lęku przed Bogiem.

Nawet nas samych zadziwiło, jak dobrze pamiętaliśmy drogę powrotną. Przyszliśmy nienakłaniani, żeby przez kilka dni spotykać się w znanym miejscu, na oczywistych zasadach. Tę jedną rzecz chcieliśmy zrobić razem – pożegnać ostatniego dostojnika epoki. Kończył się wiek XX, stulecie kwantyfikatorów dobra i zła.

Jeśli mieliśmy naszą wielką sprawę, to właśnie wtedy. W smutne wiosenne wieczory, gdy przez chwilę wydawało się, że znów jesteśmy na podwórku. Nie różni nas nic istotnego, potrafimy grać razem.

Od tamtego momentu coraz trudniej o przekonanie, że udział w życiu publicznym i politycznym polega na

budowaniu. Powstrzymuje nas niechęć do działań zbiorowych i zorganizowanych, na partyjnej szachownicy – nieuniknionych. Politykę obrzydziły lata wyrachowanej gry, uprawianej w złym stylu przez ludzi pozbawionych poczucia misji czy służby publicznej, wloty karierowiczów i przeciętniaków zbyt łatwo górujących nad autorytetami. O żmudnej i solidnej pracy, toczącej się w urzędach, ministerstwach i komisjach parlamentarnych, nie wie nikt poza jej wykonawcami.

Także dlatego pozostajemy wielkimi nieobecnymi polityki – nie ma nas w pierwszym garniturze ogólnopolskich partii. Moi koledzy ze studiów próbowali karier partyjnych i przekonali się, że obowiązują tam te same reguły, co w biznesie – kluczowe stanowiska zajęli ludzie o dekadę lub całe pokolenie starsi, bo zdążyli na wielkie rozdanie. Nieprędko wpuszczą następców. Chętniej więc angażujemy się w działania nieformalne i niezależne niż w rozgrywkę o władzę. Częściej niż partie zasilamy organizacje humanitarne, ekologiczne, edukacyjne czy kulturalne. Odkurzając wspomnienia z socjalistycznego podwórka, odtwarzamy modele spółdzielni, świetlic, osiedlowych domów kultury i wydarzeń opłacanych przez dobrowolne zrzutki. Na wiele niepozornych sposobów odsuwamy się od polityki i handlu, zapraszamy ludzi do bycia razem, nie przeciw sobie.

Światowy kryzys ekonomiczny i wysokie bezrobocie wśród młodych dotarły do nas w tym samym czasie, gdy rosło rozczarowanie klasą polityczną. Wzorem rówieśników z innych europejskich krajów spotykamy się w klubokawiarniach i klubach dyskusyjnych, a podczas warsztatów sąsiedzkich i ulicznych festynów odbudowujemy więzi – lokalne, niekomercyjne. Wracamy do wymiany. Uczymy się zapomnianego – pieczenia chleba i lepienia glinianych garnków. Pływamy odnowionym tramwajem wodnym po Wiśle. Namawiamy seniorów na opowieści o powojennej odbudowie, a odwodzimy się im lekcjami internetu. Hodujemy własne pomidory i pietruszkę, kupujemy używaną odzież i stroje od lokalnych projektantów, żeby nie karmić wielkich handlowych bestii.

Nie planujemy rewolucji ani obalenia systemu, który finansuje naszą iluzoryczną niezależność. Być może nigdy nie doświadczymy ekstazy zbiorowego buntu, bo nie będzie nas na to stać. Zadłużeni, związani umowami, lepiej niż demokrację znamy pułapki rynku. Zdobyta przez pokolenie rodziców wolność polityczna, prawo do wyrażania przekonań, zrzeszania się i podróżowania przysły w pakiecie ze zniewoleniem konsumpcyjnym. Nasze oswobodzone umysły mieszkają w uzależnionych od komfortu ciałach. Mamy niewielkie pole manewru i wiemy o tym.

Na razie część z nas odmawia polityce wstępu do swojego domu. Na razie tylko odwracamy się plecami do sztucznego bicia na alarm. Pozwalamy sobie nie słuchać bzdur, nawet jeśli dotyczą wolności. Próbuje patrzeć w przyszłość i cieszyć się życiem, zamiast ciągle ratować Polskę. Jeśli trzeba jej będzie bronić naprawdę, przyjdziemy bez wołania. Tymczasem powoli rodzi się świadomość, że jej dobro nie zależy wyłącznie od wysokości Produktu Krajowego Brutto czy wyniku następnych wyborów, tylko od mikroodpowiedzialności jednego z nas za drugiego. Od danego sobie nawzajem kredytu zaufania i pożegnania z egoizmem.

Dawniej na podwórku obowiązywała uczciwość, a samolubni tracili. Kto nie chciał pożyczyć wiaderka, łądował w smutnym kącie. Nie można samemu skakać w gumę ani bawić się w chowanego. Potrzebowaliśmy siebie. Wystarczyło, że ktoś wyszedł z piłką na boisko, a wkrótce zjawiali się inni. Wspólnie ustalaliśmy reguły, wyliczaliśmy sprawiedliwie: „Ene-due-rabe...”. A jak ktoś złamał zasady, zaraz ryczeliśmy: „Pobite gary! Pobite gary!”.

Wtedy, gdy coś nas poróżniło, rozwiązywaliśmy konflikty uczciwie. Padało pytanie: „O co się zakładasz?”. I dumna odpowiedź: „O honor” albo „O przekonanie”. I na oczach całej gromady sprawdzaliśmy, kto ma rację – kto szybciej przebiegnie dookoła bloku, kto pierwszy skusi. W kwestiach spornych decydujący głos oddawaliśmy najstarszym, bardziej doświadczonym. A jeśli było trzeba, szło się

na solówkę i tłukło przy świadkach.

Wszyscy widzieli, jak było, więc zostawało tylko podać sobie rękę na zgodę i bawić się dalej razem. Nie mieliśmy dokąd odejść. Dziś też nie ma żadnego innego podwórka. Od nas, już dorosłych, zależy, w co się gra tu, na naszym.

Wysoka Wieś, 2013

Imiona niektórych bohaterów zostały zmienione.

Rodzicom, bratu oraz Ani